

№2 WRZESIEŃ 1997

# Przekaz

## W numerze m.in.:

- ↳ Papież w Gdańsku
- ↳ Generacja jutra
- ↳ Pacjent ma się kiepsko
- ↳ Autobiografia Wałęsy
- ↳ Młyn "Lechii"
- ↳ Mówi płk. Kukliński...

# I modlić się nie przestanę ...

Gdańsk, 12 czerwca 1987. Pogoda dzisiaj łaskawa. Od rana świeci słońce, ale mamy też lekkie zachmurzenie, temperatura ok. 20 stopni. To dobrze, bo plac zgromadzenia na Zaspie jest niczym nie osłonięty i gdyby lało z nieba deszczem czy też śniegiem, byłibyśmy bez szans. Pierwsze wrażenie z miasta: odświętność, powaga, oczekiwanie. Wrażenie drugie: barierki - szlabany - ogrodzenia, a przy nich niebiesko od milicji. Funkcjonariusze okazują przy tym ostentacyjną obojętność wobec tego, co przeżywa dziś Gdańsk - wobec tej "inprezy", jak mówi się o pielgrzymce Ojca Świętego w niektórych "sferach". Przypomina się rok 1979, gdy wydawało się, że całe MSW klęczy na Placu Zwycięstwa i modli się z narodem o to samo. Gdzie te czasy? To przykre w sumie odczucie tonuje jakoś sympatyczny sierżant pod Węzłem Leningradzkim, wskazując z uśmiechem i niecodzienną życzliwością, jak można najszybciej dojechać ze Śródmieścia na Zaspę.

Pod Stocznią, koło przystanku kolejki, tłok niemiłosierny. Część ludzi, wracających z kościoła mariackiego, usiłuje złapać pociąg, który dowiozłoby ich możliwie najbliższej Zaspie. Część z kolei, przez otwieraną właśnie bramę Stoczni Gdańskiej ir. Lerina, wleka powoli na teren zakładu. Wydaje się to niezrozumiałe, skoro mamy dziś w całym Trójmieście dzień wolny od pracy. Ta zagadka wyjaśnia się po kilku chwilach intensywnego myślenia, kiedy kojarzę dwa fakty: "Papież pod Krzyżami" plus "publiczność organicowana" /czym mówił mi przedwcześnie znajomy stocznikowiec, podając, że werbowano u nich ludzi - zresztą bez większego sukcesu - by "spontanizmie" towarzyszyli Ojcu Świętemu pod Fornikier/. Na plac nie wpuszczone ani arcybiskupów

## SPIS TREŚCI

I modlić się nie przestanę ...	2
Generacja jutra	6
Pacjent ma się klepsko	16
Wejście w lukę	24
Autobiografia Wałęsy	28
I modlić się nie przestanę ... /cd/	42
Aktywność społeczna czy słoneczna	50
Młyn	54
Gniot charakterystyczny	62
Mówi pułkownik Kukliński	65
Z lotu orła - z lotu wrony	81
Raportujemy o dużej rozbieżności	89

NUMER ZAMKNIĘTO 15 WRZESNIA 1987

dziennikerzy, ani mieszkańców miasta. Nie wiemy, na jakich zasadach znalazła się tam nieliczna grupa osób cywilnych, którą można było dostrzec spoza milicyjnego kordonu" - napisała potem "Gwiazda Morza". Z tej samej potrzeby "dozoru" Papieża /a może z obawy, że na tym odcinku trasy przejazdu, który nie został nigdzie oficjalnie w Gdańsku potwierdzony, po prostu zabraknie publiczności/ wzięta się inna akcja "organizowania" widzów. Oto pod pozorem możliwości uczestnictwa w uroczystościach na Westerplatte, kierownictwa zakładów pracy w Pruszkach zapełniły ludźmi 10 autobusów, a następnie wywiozły ich do kina "Gedania" w centrum Gdańska, gdzie zostali zamknięci, a kina pilnowała milicja. Po ok. 4 godzinach pół tysiąca zdenerwowanych ludzi wyprowadzono w pobliże dworca PKP, gdzie kazano im witać Papieża, oczywiście bez słowa wyjaśnienia i przeprosin.

"Rozśrodkowanie" obywateli zgromadzonych chwilowo pod Stocznia przebiega dość sprawnie, toteż szybko wydostaje się na prostą i wolną już drogę prowadzącą na obrzeża Zaspy.

Na drodze od dworca we Wrzeszczu - do spotkania z Ojcem Świętym powoli, ale z uporem porusza się utykająca baboia z Lęborka. Malutka, z koczkiem na głowie. Idzie o kulach. Przyjechała tu zupełnie sama, bez niczyjej opieki. Dlaczego? - Bo głęboko wierzy, i chce do Papieża ... Za poprzedniej jego wizyty leżała w szpitalu po wypadku /potracił ją samochód/. Od tego czasu jest kaleką, ale jakoś się porusza - więc idzie! "W pociągu trochę - panie - omdlałam, ale docucili. Pojadłam pomidorka i czuję się dobrze. - Czy nie bałam się samotnej podróży? - Ee, nie, ludzie przecież pomogą ... "

Razem z babcią z Lęborka w drodze znajduje się także polski Kościół. Patrzę na przepływającą potęgę jego wspólnoty, a zarazem potęgę miłości, jaką darzy swój lud papież Jan Paweł II, a jaką tenże lud mu odwzajemnia - wielkim nań oczekiwaniem, upartym do niego dążeniem, wspólną modlitwą i wsiuchiowaniem się w każde słowo jego nauczania. Idą: zastępy harcererek przybijające "lewą" pod maryjnymi proporcjami i "turystyczne" grupki rodzinne; samotni więcejscy proboszcze i brodata młodzież oazowa; dwójkami, młodzieńkami siostry zakonne i społeczni porządkowi w białych furażerkach i niebieskich krawatach; przystojni zakonnicy i więcejscy pielgrzymi w garniturach ... Tysiące i setki tysięcy wiernych. Przypomina się jedno z piękniejszych haseł II Kongresu Eucharystycznego. Spotkałem je w postaci transparentu wkopanego pośrodku budowy kościoła Opatrzności Bożej na Zaspie:

"Eucharystia pokarmem wędrowców".

Przy ul. Burzyńskiego 8, około 300 metrów od placu zgromadzenia - pożar! Zapalilo się w dwu pionach zsymp równocześnie, odległych od siebie o kilkanaście metrów i oddzielonych kilkoma ścianami z betonu. Kto to zrobił? I po co? Czy to tylko przypadek? Harcerze i porządkowi w furażerkach, trzymając się za ręce, tworzą kordon okalający zagrożony obszar. A ludzie spokojnie płyną dalej ...

Na dachach wszystkich bloków otaczających park na Zaspie /Startowa, Burzyńskiego, Meissnera/ usadowili się strzelcy wybcrowi i obserwatorzy z lornetkami. Potrzebni tylko na wszelki wypadek, bo przecież nic złego jednak nie zaszło ani zająć nie "usiłowano". Los zdarzył, że pod jednym z takich dachów ktoś zawiesił długi i widoczny z daleka napis: "Witamy Cię Ojcze św. na Wybrzeżu Gdańskim". Powstała zupełnie niezamierzona kompozycja.



## Oczekiwanie

Dochodzi godzina 14.00. Wejście do sektorów "czerwonych" jest już mocno utrudnione. Narasta tłok, stopniowo jednak rozładowywany przez służbę porządkową, w szczególności na dzień dzisiejszy uszytych furażerkach z napisami: "Gedania semper fidelis" - "Gdańsk zawsze wierny". /Napisy wykonano charakterystycznym piśmem "Solidarności" opatrzonym białą-czerwoną chorągiewką/. Czapeczki te, których wszędzie jest pełno, znakomicie ułatwiają sytuację, gdy trzeba o coś zapytać lub prosić o pomoc. U porządkowych w innych rejonach miasta wczoraj ani dzisiaj takich napisów nie widziałem. Prawdopodobnie jest to niespodzianka przygotowana specjalnie na Zaspę. Jest coraz cieplej, ok. 25 stopni, świeci słońce, a w gęstniejącym tłumie wiernych temperatura jeszcze wzrasta. Biegają sanitariusze. /Życzliwy przeciek ze służby zdrowia, podaje, że jest ona w stanie pogotowia, przysposobiona na przyjęcie aż 200 ofiar śmiertelnych! Nie jestem w stanie wyjaśnić, na podstawie jakich kalkulacji wytypowano tę cyfrę. Może po wypowiedzi w telewizji wiceministra spraw wewnętrznych Pudysza, który sugerował, że oprócz gubienia i zadeptywania dzieci oraz osób starszych, w czasie pielgrzymki Papieża będą także następować wybruki znanych "ekstremistów"/. Idącej ostatecznie w swoim sektorze między młodym małżeństwem z lornetką a panią koło czterdziestki o całkiem sympatycznym wyglądem. Odległość od ołtarza ok. 250 metrów, a więc bliskość lornetki, to dar szczęśliwego losu. Lornetka, to wyposażenie własne, nie obowiązkowe. Do wyposażenia "obowiązkowego" uczestników Mszy św. na Zaspie należy gustowny mszalik oraz barwna chusta w kolorze przypisanym do danego sektora. Cobywa się właśnie próba głośników i mikrofonów, a zarazem próba generalna powitania. Wywoływane kolejno przez księdza - lektora sektory odpowiadają rytmicznym kołysaniem kolorowych chust; falujące morze ludzkich głów i rąk pulsuje na przemian bielą, czerwienią, błękitem i żółcią; dominuje biel, która z pozostałymi kolorami tworzy zestawienie barw symboliczne. Tak pozdrawiać będziemy Papieża.

Oczekiwanie.  
Czas oczekiwania na Cjca Świętego wypełnia program ewangeliczno-poetycki, przygotowany przez gdańskich aktorów. Repertuar skomponowany z tekstów biblijnych, z poezji naszych wieszczów oraz utworów współczesnych, odnoszących się do przeżyć lat ostatnich. Czytają aktorzy od lat zaangażowani w sprawę Sierpnia. Wśród nich ci, którzy w 1980 towarzyszyli swymi recytacjami na terenie Stoczni strajkującym robotnikom: Elżbieta Goetel, Jerzy Kiszkiś, Halina Szojewska, Halina Winiarska... W moim sektorze nie ma na razie żadnych transparentów. Ale w sąsiednich - z boku i z tyłu, w D4, D5, E i F, a także tych bliższych, znajdujących się jakby na osi symetrii ołtarza - pojawiło się wśród ludzi mnóstwo "podręcznych" dekoracji. Wniesiono je, jak widać, bez problemu i bez problemu uczestniczyły we Mszy do końca. Zapomniane już trochę, ale wciąż drogie nam słowa i symbole znalazły wśród nas swój "publiczny azyl", chronione przed napaścią przez całe 3 godziny. Chorągwie, flagi i transparenty:  
"Solidarność Gdańsk" z kotwicą - najpierw trzymana długo przez jej opiekunów, potem rozpięta między dwiema cienkimi brzoškami,

gdzie dotrwała do końca uroczystości.

"Niezależne Zrzeszenie Studentów Polskich".

"Wolność i Pokój".

"Solidarność" Ziemia Radomska".

"Kraków z Tobą" /"antysocjalistycznym" liternictwem/.

"Warszawa z Wami".

"Tak nam dopomóż Bóg - Region Mazowsze".

"NSZZ "Solidarność" - WSK Świdnik".

"Zjednoczeni w miłości wytrwają w walce - "Solidarność"".

"Z "Solidarnością" do niepodległości".

Wreszcie, pięknie wypracowany czerwony transparent "Solidarności" z Gdańska: "Boże chroń nas przed komunizmem".

Dominuje czerwień i biel i tylko hasło "wipowców" wykonano w bielej i czerni.

Treść dwóch przedostatnich hasła, to gotowe maksymy, które - okazało się potem - znakomicie współbrzmiały z głównym przesłaniem nauki Jana Pawła II wygłoszonej na Zaspie: Miłość warunkiem solidarności, a z taką budowaną solidarnością - Śmiało w przyszłość!

Z doskonałym pomysłem wystąpili gorzowianie, wymalowując artystycznie na długim płótnie szereg wędrujących ku Papieżowi pielgrzymów, z których każdy stworzył swą sylwetkę, stylizowaną literę wyrazu "Solidarność". Za ten efektowny występ w Gdańsku zapłacili gorzowianie już po wizycie Ojca Świętego serią rewizji i przesłuchań.

W moim - jak się wydaje cokolwiek prowincjonalnym sektorze - też zaczyna się coś dziać. Ktoś przywiązał do pobliskich latarni dwa małe związkowe proporzyski. Dobre i to.

Około wpół do trzeciej zaczyna się ruch na ołtarzu. Przybywają księża i biskupi. Lektor intonuje: "Jak szczęśliwa Polska sala..."

Ludzie wydobywają się z nastroju uroczysto-piknikowego, przechodząc w uroczysty. Wszyscy wstają.

## Niech żyje Papież!

Przybycie Papieża zapowiadane jest stopniowo. Że właśnie opuścił Oliwę; że wjeżdża na teren Zasp; że przebywa już wśród nas, posuwając się swym papamobilem w kierunku ołtarza ... Stopniowana jest też nasza radość: od coraz niecierpliwszego oczekiwania - po gigantyczny wybuch wspólnej radości. - Niech żyje Papież! - Niech żyje Papież!

I ten milion chustek, które wystrzeliły w powietrze w rękach miliona ludzi ... Niech żyje Papież! - Niech żyje Papież! Powszechne wzruszenie. Radość.

Jest piętnasta dziesiąta. To chwila, w której najszczęśliwszymi ludźmi świata wydają się ci, co trafili na miejsca wzdłuż głównej alei parku. Tamteży, na wyciągnięcie ręki, posuwa się papamobil.

Wreszcie jedzie. Wcześniej nieco niż było w planie - wspomina zaprzyjaźniony porządkowy, "dziesiątnik". - Przez otwarte okno wyciąga rękę właśnie w tę stronę, gdzie stoję pilnując mojego rejonu.. Tak blisko, że mógłbym swobodnie zrobić krok i dotknąć tej ręki. Ale z tyłu - tych dziesięciu facetów w

szarych garniturach i z zaradkową torbą pod nogami ... Nie

młodzież a opozycja

# GENERACJA jutra

Opinie głoszone przez "dorosłą" prasę podzielną w kwestii bar. opozycji młodzieżowej są tyleż różnorodne co potencjalne. Dla usprawiedliwienie publicystów trzeba jednak powiedzieć, że za rzadko wspiera ich wysiłki niezależna socjologia i pedagogika publikując wyniki swych badań. Ufam wszelako, że takie badania w ogóle są prowadzone, bo pozostawienie diagnozy wyłącznie w rękach żurnalistów byłoby ciężkim błędem. Stoiśmy przecież w obliczu zbliżającej się zmiany warty. Dla dojrzewającego właśnie pokolenia "Solidarność" to tylko zakurzone wspomnienie dzieciństwa, bardziej symbol niż realność. Przywódców i działaczy związku nazywa ono dość pogardliwie - "Zbowidom". Kiedy "Reduta", pismo gdańskiego Porozumienia Grup Niezależnych "Wolność" przedrukowało fragment wywiadu, jakiego udzielił Stefan Bratkowski Przeglądowi Wiadomości Agencyjnych /nr 26/ zadedykowało ów fragment właśnie: "Zbowidom "Solidarności" ". Równie symptomatyczny jak dedykacja był wybór treści. Cóż w cytowanym urywku Bratkowski, choć sam rencista - kombatanek powiedział m.in.: "... Rośnie nowe pokolenie. Stykam się z tymi ludźmi, którzy wiedzą, że nie ma wyjścia, że dotychczasowe metody, te negocjacyjne do niczego nie doprowadzą. Możemy mieć z czasem partyzantkę miejską. Do tego doprawdy nie trzeba wielu, a nikt sobie z tym nie poradzi." Gruntowna synteza tego, co dzieje się obecnie w głowach i sercach nastolatków, to zadanie ponad siły jednego publicysty. A na pewno ponad moje siły. Dlatego też zamiast wygłaszać kategoryczne uogólnienia, spróbuj... pisać funkcjonalnie kilku znanych mi grup młodzieżowych Trójmiasta.

## My, studenci

Na opróżnionej postronnej latwiej wstąpić się z przejawami aktywności uczniowskiej niż studenckiej. O tyle to dziwne, że zarówno potocznie intelektualny jak i możliwości organizacyjne młodzieży, większa niezależność przekazywać się uczelnianom.

A jednak studenci nie potrafili po 13 grudnia 1981 stworzyć żadnej liczącej się organizacji. W różny sposób próbowano wyjaśnić ich bierność i niesamodzielność. A to duża skala represji i infiltracja środowiska akademickiego przez SB, a to biedną koncepcją Regionalnej Komisji Koordynacyjnej, wedle której studenci mieli pełnić wyłącznie pomocnicze funkcje wobec "dorosłego" podziemia, a to niekorzystnymi wpływami Ruchu Młodej Polski na elitarne kręgi uczelniane. Pierwsze tłumaczenie być może miało rację bytu w okresie stanu wojennego, ale dziś jest zupełnie niewiarygodne. Drugie wielokrotnie dementowali wszyscy członkowie RKK, podkreślając, że nigdy nie ograniczali swobody studenckich inicjatyw, ale przeciwnie - zawsze zależało im na wzmocnieniu ruchu akademickiego. Wreszcie RMP wypowiadała się co prawda przeciw konspiracyjnym formom działania, ale przecież nie za marazmem, tylko za pracą w jawnych, możliwie legalnych strukturach. Ci z "młodoślaków", którzy mają jeszcze pokoleniowy kontakt ze środowiskiem, sami narzekają na nieruchawość akademickiej braci. /Jest ich zresztą - tak na marginesie - coraz mniej. Ruch Młodej Polski, jak wszystko, ulega wpływom czasu, przeradzając się w ruch jeśli nie staryj to na pewno dojrzałej Polski i jako taki nie mieści się w ramach niniejszego artykułu./

Niezależnie od przyczyn, "koń, jaki jest, każdy widzi". A co ciekawe pogodzyli się z tym również jednostki z inicjatywą /w końcu i na uczelniach takie się trafiają/, które szukają pola dla swej aktywności poza własnym środowiskiem.

### Licealiści - indywidualiści

Inaczej w szkołach średnich. Szczególnie w liceach, gdzie do ubiegłego roku szkolnego niemal każdy mógł znaleźć satysfakcjonujące zajęcie na własnym podwórku. Ukazywały się pisma uczniowskie. Efemerydy - oceni ktoś z lekczeniażeniem. "Jedynka", gazetka I Liceum Ogólnokształcącego w Gdańsku na ma swoim koncie ponad 20 numerów /pierwszy ze stycznia 1984/. Podobną liczbę numerów "Emisariusza" wydało Koło Oporu VIII LO. Czy można biuletyn wychodzący przez dwa i pół roku nazwać efemerydą? Czy większą efemerydą nie okazał się warszawski tygodnik "Tu i teraz" z takim impetem uruchomiony przez Kazimierza Koźniewskiego?

Warto też podkreślić, że najstarsza gazeta uczniowska liczy sobie ponad 4 lata. "Biuletyn Informacyjny "Topolówka", Pismo młodzieży III Liceum Ogólnokształcącego w Gdańsku wychodzi bowiem nieprzerwanie od września 1982 roku. BIT-owcy zmotywizowali podziemne życie szkoły przede wszystkim mając pomysły. I tymi pomysłami wygrywają z kolejnymi dyrektorami, z co gorliwymi nauczycielami, a także z policją. Bo jak pocięła "Mały konspirator": "Walka z czerwonymi sprawozda się do konfrontacji w sferze szeroko rozumianej kultury".

"Topolówka" nie miała jak dotąd problemów z brakiem nowych кадр. Częściowo jest to zasługa "świadomego kształcenia rewolucjonistów" /tak twierdzi szycująca się właśnie do matury dotychczasowa ekipa kierownicza/, częściowo skutkiem swobodnego sprzężenia zwrotnego, które trwa już od lat. Mianowicie szkoła ze swą opozycyjną legendą przyciąga wiele niespokojnych duchów, które z kolei własną działalnością w jej murach tę legendę dalej wzmacniają.



Powie ktoś, że zarówno "Tabolówka", jak i I czy IX Liceum Ogólnokształcące to szkoły z dawnymi tradycjami, wysokim poziomem nauczania, uznawane kiedyś za elitarne, a więc nietypowe. Odpowiem na to słowami apelu do pierwszoklasistów, jaki w listopadzie 1984 zamieściło pismo VIII LO "Emisariusz": "Znaleźliście się w szkole, o której krąży różne opinie. Najczęściej mówi się, że jest to liceum, do którego idzie się w ostateczności /.../ Średni poziom uczelni zasadniczo wynika ze złej sytuacji lokalowej, jak i z karygodnego wyposażenia klas. System, w jakim żyjemy, niestety woli utrzymywać milicyjną hołotę, niż łożyć na rozwój oświaty. Znacze chyba historię "szkółki milicyjnej" i naszej szkoły. Niestety kompleks budynków póżożnych naprzeciwko cmentarza w Zaborni, który miał być przeznaczony dla naszego liceum, został opanowany przez ZOMO ...".

Jak widać, nie tylko uczniowie elitarnych ogólniaków, ale także szkoły bez tradycji, póżożonej daleko od centrum, bo na Siedlcach, mają pełną świadomość, cóż wart jest system, który "woli utrzymywać milicyjną hołotę ...". I nie zmienia mojej opinii nawet fakt, że słowo "hołota" napisano na łamach "Emisariusza" przez "ch".

Gazetki wymienionych wyżej ogólniaków łączy wspólna niechęć do formułowania jakichś szerszych programów. Swe zadania określają krótko: podtrzymywanie oporu uczniowskiego. Drugą wspólną cechą "Jedynki", "Emisariusza", BIT-u jest unikanie ściślejszej kooperacji z innymi ugrupowaniami.

Ta bezprogramowość oraz izolacja połączona z "samouwielbi . ." spotykała się nieraz z krytyką, w której celował przede wszystkim organ Grupy Młodzieży Niezależnej wychodzący najpierw pod tytułem "Kierunki", a następnie "Głos Szkoły". Jego redakcja postulowała uruchomienie międzyszkolnego pisma o dużej objętości i nakładzie, które powinno "prowokować do myślenia, przedstawiać poglądy, informować nie tylko o tym, co się stało w naszej szkole /.../, ale o szkole jako takiej, o systemie szkolnym, nauce i wychowaniu, o tym, jakie są, jakie być powinny", a także organizować zbiorowe poczynania wykraczające poza tradycyjne przerwy milczenia, jak np. akcja opanowania samorządów szkolnych.

"Indywidualiści" pod wpływem rozsądnych argumentów już byli skłonni zrezygnować z części swej suwerenności i zacząć rozmowy na temat ewentualnej fuzji, ale kilka dni przed planowanym spotkaniem w redakcji "Głosu Szkoły" miała miejsce wielka wpadka ... BIT zyskał koronny dowód na to, że każda kooperacja przedzej czy później kończy się przy ul. Okoncowej, w siedzibie gdańskiej SB.

## Konfederacji

Forysty formułowane przez "Głos Szkoły" doczekały się realizacji nieco później, kiedy latem 1984 powstała w Warszawie Federacja Młodzieży Walczącej. Wiadomość o tym nadana w sędycji Radia Wolna Europa zmobilizowała do działania uczniów IX LO, szkoły o najbardziej rozbitym ruchu młodzieżowym: zupełnie niezależnie i bez żadnych wzajemnych kontaktów funkcjonowały w niej aż trzy środowiska.

W efekcie, w styczniu 1985 rozkolportowano pierwszy numer "Konitu". Gazeta ruszyła dzięki pomocy BIT-u, który zaopatrzył ją w matryce i wypożyczył watek. Farbę /nie nadzwyczajnej

jakości: musiano ją zagęszczać tówotem i ... smalcem, ale i tak druk wypadł nadzwyczaj blade/ udostępniła Oficyna Wydawnicza "Kres". Podtytuł "Monitu" - pismo Federacji Młodzieży Walczącej - był początkowo zdecydowanie na wyrost. Gazetka powstała bowiem jako typowy organ szkolny. Dopiero po paru numerach w redakcji zwyciężyła "linia porozumienia". Uznano, że po połączeniu wysiłków będzie można robić bardziej spektakularne akcje we wszystkich liceach a później i technikumach. Gdzieś po pół roku dotarła do "Monitu" wiadomość, że jest w Gdańsku facet dysponujący supernowoczesną maszyną drukarską, który szuka kogoś do pracy, proponując w zamian korzystanie ze swego sprzętu. Po bliższym rozpoznaniu facet okazał się przedstawicielem Biuletynu Informacyjnego Szkół Zawodowych, zaś maszyna - zwykłą ramką z sitem.

BISZ /wychodzący od listopada 1984/ początkowo obejmował swym zasięgiem Zespół Szkół Budowlanych we Wrzeszczu, Zespół Szkół Gdańskiej Stoczni Remontowej, Technikum Chłodnicze i Liceum Morskie w Nowym Porcie. Powstał staraniem wąskiego grona zapaleńców, uczniów jednej z wyżej wymienionych szkół, którzy uznali, że działalność na terenie zawodówek jest o wiele ważniejsza niż w ogólniakach. Do zawodówek chodzi około 80 procent młodzieży. Wiadomo, że kształcą one późniejszych robotników i średnią kadre techniczną największych wybrzeżowych przedsiębiorstw. Stąd daleko posunięta inokrynacja, którą dodatkowo ułatwiają specjalne rygory obowiązujące w tzw. szkołach mundurowych. Teren był więc ważny, ale i trudny a w dodatku zaniedbany. Zawodówki do powstania BISZ-u traktowano po macoszemu. Żadne z istniejących ugrupowań nie kwapiło się specjalnie, by objąć je swym oddziaływaniem. Przyjęty ze zdziwieniem ale i zainteresowaniem BISZ rychło powiększył swo aktywa: mniej więcej co dwa miesiące dołączała nowa szkoła, nakład zaś podskoczył z jednego do trzech tysięcy egzemplarzy.

Redakcje "Monitu" i BISZ-u ustaliły ramy współpracy a także /dopiero teraz!/ nawiązały kontakty z Warszawą. Jednocześnie trwała konsolidacja podziemia uczniowskiego w Gdańsku. Z "Monitem" połączył się Biuletyn "Siódemki", czyli VII LO, a następnie do porozumienia przystąpiły licea: V, X, VI, IV, później także ogólniaki z Gdyni. Najbardziej chodziło właśnie o szkoły bez tradycji ruchu wydawniczego, gdzie "Monit" /już dwutygodnik/ wypełniał istotną lukę.

Wbrew poglądom BIT-u kooperacja nie skończyła się natychmiastową wpadką. Nawiasem mówiąc, redaktorzy "Monitu" sądzą, że niebezpieczeństwo infiltracji większe jest w samych szkołach /nauczyciele i uczniowie - kapus'e/ niż poprzez kontakty międzyszkolne.

Jesienią 1985 oba środowiska utworzyły radę koordynacyjną Federacji Młodzieży Walczącej. W odróżnieniu od Warszawy/gdzie zadaniem FWW jest konsolidacja całego ruchu młodzieżowego, a więc środowisk uczniowskich, studenckich i robotniczych/, w Gdańsku skoncentrowano się wyłącznie na szkołach. "Monit" potraktował tę decyzję bardzo rygorystycznie, przekazując redakcję, sprzęt i materiały w ręce główne I i II-klasistów, co przejściowo, niestety, obniżyło poziom pisma - ukazał się na przykład numer z 15 błędami ortograficznymi. Przed wyborami do Sądu, pod naciskiem uczniów starszych klas i absolwentów odsuniętych od redagowania gazety, gdańska Federacja utworzyła tzw. grupy wykonawcze. Zajmują się one ulotkowaniem, malowaniem

napisów, plakatowaniem, mają na z im koncie także parę innych akcji, jak wywieszenie na stadionie plikarskim gdańskiej "lechi" / w czasie meczu, przy pełnych trybunach / ogromnego transparentu z napisem: "13 października - bojkot /patrz str. 544. Środowisko związane z BISZ-em /tzw. bisz-kopty/ mniej angażuje się w działalność grup wykonawczych, bardziej natomiast rozwija podziemne edytorstwo. Wydało samodzielnie około 20 plakatów rocznicowych /kiedy w nakładzie 1000-2000 egzemplarzy/ i wiele charakterystycznych postawek, zaś wspólnie z "Monitem" kasotę z wierszami Jacka Kaczmarskiego. Szczególną uwagę zwraca BISZ na czytelnictwo, z którym w szkołach zawodowych jest generalnie kiepsko. Tym niemiłej pozycje "latającej biblioteki" /w sumie około 150 tytułów/ cieszą się powodzeniem. Funkcjonują także koła samokształceniowe, a raczej szkoleniowe /jedno przy BISZ i cztery przy "Monicie"/ prowadzone przez studentów i pracowników wyższych uczelni. W ubiegłym roku szkolnym gazety uzyskały nowych czytelników. "Monit" kolportowano w dziewięciu liceach, BISZ w 16 zawodówkach. Liczba aktywnych członków Federacji, to znaczy takich, którzy regularnie działają w różnych jej strukturach, wzrosła do około 300 osób.

Jaki oba środowiska mają stosunek do "Solidarności"? Najogólniej mówiąc - ambiwalentny. BISZ: "Utożsamiamy się z ideami ruchu, choć konkretne posunięcia kierownictwa oceniamy krytycznie. Za dużo ogólnych decyzji, za mało demokracji". "Monit": "Mamy do "S" taki sam stosunek jak do każdej innej organizacji. Uczestnicy FWW mogą się angażować zarówno w strukturę "S", jak i Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego czy "Niepodległości"".

## Anarchiści

Najbarwniejszą i budzącą najwięcej kontrowersji grupą jest Ruch Społeczeństwa Alternatywnego. Skupia on ludzi młodych, lub nawet bardzo młodych, choć jego seniorzy podkreślają, że przekroczyli już czterdziestkę, zaś patriarsze stuknięto aż ćwierć wieku. Ci najstarsi działali jeszcze przed Sierpniem koncentrując się bardziej na niezależnej kulturze niż na polityce. Byli uczniami ogólniaka i zawodówki. Pochodzili w większości z rodzin robotniczych. Na pytanie, czy ten fakt ma jakieś znaczenie dla ich rozwoju, odpowiadają twierdząco: członkowie ze środowiska proletariackiego albo.

Intelektualistycznego /dodają w równej mierze ironicznie to "proletariackie" jest pozbawiony typowo-inteligentkich zahamowań, rządział go, częściej działa. Pochodzenie wywarło też wpływ na wybór orientacji anarchizacyjnej. /Ci, którzy mają mało do stracenia, nie opatują na ogół za konserwatyzmem/. Starają się dotrzeć i docierać do podobnych sobie: niezadowolonych, zbuntowanych, odrzuconych, a także do środowisk z marginesu, punków, hippiesów.

Po wprowadzeniu stanu wojennego początkowo współpracowali ściśle z RKK, kolportując wydawnictwa "solidarnościowe". Później kontakty osłabły. Region podobał im się za zbyt samodzielnymi i cofnął pomoc, czego nie żałują, bo dzięki temu usamodzielnili się jeszcze bardziej i zradykalizowali. 1 czerwca 1983 ogłosili manifest Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego, zaś we wrześniu wydali pierwszy numer "Honka". Manifestu od pierwszej chwili nie traktowali zbyt poważnie.



Opublikowali go, byle tylko zabrakłoby głosu, zaistniał. Wykrzyzczykali hasła radykalne, bardziej bałaśliwe niż przemysłowe, bracia i stylizowaną odwołującą się do tradycji kontestacji młodzieżowej końca lat sześćdziesiątych. Więc niechć do państwa, armii, propagandy /zarówno płynącej z ekranu telewizyjnego jak i z asbony/, więc przez z władzą, przemocą, własnością, pieniądzem, no i niech żyje wolność!

Szybko zaczęli przedkładać hasła na bardziej ich interesujące konkrety. Dział twierdzą, że jeżeli w ogóle prezentują jakies idee, to głównie dlatego, że domagają się tego ich rozmowcy. Ktoś na przykład mówi z nimi wywiad i pyta, co sądzą o tym, czy czym, choćby o dziedziczeniu majątków, a oni nawet bez zastanowienia walą coś na zasadzie "siekiery" czyli prowokacji, żeby było już powiedziane. Ale tak naprawdę, weale ich nie wiąże te idee. Bo w ogóle ideologia to parawan. Jeśli ktoś, założony, jest za pokojem, to może się na tym kryć zarówno niechęć do jakiegokolwiek armii, jak i koncepcja stworzenia armii najsilniejszej.

W tym odżegnywaniu się RSA od ideologii /jeśli ideologię potraktujemy opisowo jako zespół poglądów, pojęć społecznych, politycznych czy etycznych, a nie normatywnie/ tkwi pewien paradoks. Cóż niemal wszystkie grupy młodzieżowe w Trójmieście odcinają się od ideologii. Unikają wręcz nawet wyrażania opinii ogólnych. Jeśli na przykład "Was gazeta skrytykuje Kościół, to wyłącznie za konkretne posunięcia, na przykład za przeniesienie ks. Nowaka z Ursusa, jeśli Biuletyn Informacyjny Szkół Zawodowych dołoży Walęsie, to nie za całokształt, tylko za odwołanie zapowiedzianego na 28 lutego 1985 strajku robotniczego, choć być może redaktorzy tych pism nie wierzą ani w Boga ani w Walęsie. RSA i jego organ prasowy "Homek" - przeciwnie. Kiedy narazi mu się prymas Głomp, nie tylko jest "wściekły" ale i walczy do Śm. Okazyje i przekupniów wariaty, ale także wydawniczo specjalny poświęcony omówieniu niekiedy wprawy religii jako takiej. Podobnie jednak egibiona decyzja kierownictwa "Solidarności" może posłużyć jako punkt wyjścia do generalnego rozliczenia polityki opozycji /nie "opozycji" tylko "ucieczkowców" precyzyzują członkowie Ruchu/ już nie od 13 grudnia 1981 roku czy nawet powstania PRL, ale od czasów konfederacji barskiej.

"Homek" również niespromokowany wyraża globalne poglądy na gospodarkę, politykę społeczną, moralność, ekologię, kulturę, ciwilizację, prawo. Jak na pismo tak gwałtownie protestujące przeciwko ideologii głosi zastanawiająco dużo idei, przypominając w tym dyskutanta, który konieczność ograniczenia wielomówności uzasadnia w wielogodzinny przemówieniu.

Suchowi Społ. Zestawia Alternatywnego od początku jego istnienia przyklejano różne niepocholebne etykiety. Poczynając od tego, że jest to "siła niepolska" i niekatolicka /to ksiądz Jankowski/ do potęgi nia go o skłonności ... antysemitkie i "ChR-owskie" i "Z szarek", szczególnie po udanych demonstracjach przeciw majowych w 1985 roku, RSA stał się główny, co miało znaczenie dla sprawy podziemna, twierdzą uczestnicy Ruchu, dalej "siła" z nich piramidalne bzdury, że są kibicami "Lechii" z Górnika /zaiste trzeba być niefrancuskim warszawianinem, by nie mówić o "Lechii" z Górnika/ "Lechii" lokować na "Lechii" z Górnika, albo przekłamać o fioletowych barwach.



Tymczasem wszystkie dane na ich temat są ukryte w samej nazwie. Ruch - bo organizacja luźna, nieshierarchizowana, nieformalna, Społeczeństwa - bo interesują ich głównie kwestie społeczne a nie polityczne. Nie system decyduje, uważają, lecz ludzie. Jeśli społeczeństwo będzie dość aktywne, to w każdym ustroju wywalczą sobie prawa, jeśli nie, nawet w porządku idealnym systemie będzie mu bardzo źle. Alternatywnego - bo trzeba zbudować społeczeństwo obok państwa, dopuszczając wszystkie formy samorealizacji, wszystkie poglądy i opinie.

Czym jest dla nich anarchizm? Kiedy redakcja gdańskiego pisma "Solidarności Walczącej" przeprowadzała z nimi wywiad, chciała, by mówili źle o ks. Jankowskim i dużo o rzuceniu bomb. Wyobrażenie panuje takie, że anarchiści powinni rzucać bomby. Ale oni odpowiedzieli, że terroryzm ich już nie interesuje, z księdzem Jankowskim doszli do ładu. O anarchizmie sami piszą: "Jest w praktyce - dążeniem do niczym nie skrupowanej wolności, w teorii - idealnym bezpaństwowym systemem społecznego oracym wyłącznie na naturalnej ludzkiej solidarności. Cele anarchizmu nie mieszczą się w kategoriach politycznych, polityka jest bowiem grą o władzę, anarchizm zaś dąży do obalenia władzy." "tycie bez władzy" wcale nie oznaczają chaosu, jak to się niekiedy myśla. Grupy anarchistyczne cechuje na ogół duża sprawność działania, a to dlatego, że pozwalają poszczególnym członkom rozwijać inicjatywę i nie traktują ich jako narzędzi do wykonywania poleceń. Tak powinno funkcjonować całe społeczeństwo. Niepodległość to warunek konieczny, zgoda, ale nie wolno czekać na nią z założonymi rękami. Należy stwarzać fakty dokonane: władnie niezależny obieg informacji, także oświatę i kulturę. Choć po prawdzie ta ostatnia wcale nie jest niezależna, zmieniła tylko naczesa z państwowego na kościelnege. O programie Ruchu można by mówić jeszcze długo. Formy długo, ce nucho. Ale atrakcyjność oferty RSA dla młodzieży nie trwi wcale w warstwie słownych deklaracji, miejscami - co tu kryć - naimnych, utopijnych czy infantylnych, tylko w sferze konkretnych propozycji.

Te propozycje na dziś to udział w organizowanych przez RSA demonstracjach ulicznych i walka przeciw siłbie wojskowej. Co demonstracji Ruch podejchdzi w sposób zgoła nie anarchistyczny. Preferowane w innych dziedzinach luz i spontaniczność zastępują: perfekcjonizm i dobra organizacja. Dzięki temu udało się i naja 1985 roku zmienić bezbronny tłum w nintegrowaną całość uleającą przeciwstawić się milicji. Ubiegłorooczne demonstracje pierwszomajowe, w których po raz pierwszy oddziały KMO i SR poniosły o wiele większe straty niż manifestanci, odbyły się szerokim echem w kraju.

Oficjalnie firmowało je Porozumienie Grup Niezależnych "Wolność" powołane latem 1984 przez PSA, Polską Młodzież Walcząca i Gdański Ruch Cporu Młodzieży "Pokolenie" /co porozumienia przystąpiła także później Oficyna Wydawnicza "Kras" / dla lepszej koordynacji akcji bieżących. Świeim czynnikiem jednoczącym PGN nie jest idea, lecz wspólne działanie dla jakiegoś konkretnego celu.

Akcje bieżące to również ulotkowanie na wielką skalę. W jednym 1985 roku "zadymiono" Poznań, Zamość, Nową Hutę, Częstochowę w dniach sierpniowej pielgrzymki na Jasną Górę oraz festiwale muzyczne w Jarcinie, Mrągowie i Olsztynie. Są te festiwale rasowymi spotkaniami młodzieży z całej Polski, i to młodzieży, zdaniem RSA, alternatywnej, a więc różnych grup nieformalnych,

punków, hippiesów, skinów, pacyfistów, ekologów. Punki, mówią gdańscy anarchiści, nie są ani złe ani głupie. Agresywne stają się dopiero wtedy, gdy zmusza ich do tego otoczenie, odbierając im możliwość wyżycia się. Rozbicie w roku 1968, ruchu kontrkulturowego na Zachodzie zaoczcowało terroryzmem. To samo grozi obecnie Polsce. RSA opowiada się przeciw terroryzmutwi, ale dostrzega jego realność. Literatura terrorystyczna i instrukcje sprowadzane z Zachodu cieszą się ogromnym powodzeniem, przeszkody ideowe zostały usunięte, pozostały tylko niewielkie problemy techniczne.

"Solidarność" - RSA nie cieniunje swych sądów - nie daje młodzieży, szczególnie tej z marginesu, żadnych nadziei. Dużo mówi - nie nie robi. A jeśli już, to wygasa nastroje społeczne. "Samograniczająca się rewolucja" - świetne określenie. Nawet bez udziału władzy sama się ograniczy i zlikwiduje. Tymczasowa Rada "3" to właśnie komisja likwidacyjna. A oni, anarchiści, prowadzą permanentną walkę o poszerzenie przestrzeni indywidualnej wolności, aktywności, ruchu, no i - żeby od tych pojęć abstrakcyjnych przejść do konkretów - odmowę służby wojskowej.

Przeciw armii RSA występował konsekwentnie od momentu powstania, uważając, że jest to szkoła mordu i nienawiści oraz bezmyślnego postuszeństwa, grożącego całkowitą dewastacją ludzkiej osobowości. Zgodnie z tymi poglądami proponował rozwiązania radykalne: nie tam żadne zmiany roty przysięgi, tylko zastępcza służba cywilna dla tych wszystkich, którym sumienie nie pozwala na włożenie munduru. Mniej ważne w imię czego będę zabijał, ważniejsze, bym mógł nie zabijać w ogóle - brzmi dżwizła Ruchu, którego uczestnicy sądzą, że przy stałym nacisku społecznym uda się w ciągu paru lat wywalczyć zgodę władz na odroczenie wojska, jak to już jest możliwe w NRD. Oby tylko przekonano do tego wszystkie niezależne środowiska, szczególnie te, które jeszcze bredzą o honorze polskiego żołnierza i o wojsku z orzełkiem w koronie jako gwarancje niepodległości.

## Pacyfiści

Działania gdańskich pacyfistów zostały w pewnym sensie zdeteminowane przez wpływ RSA. Kiedy powstałe w marcu 1985 ugrupowanie "Wolność i Pokój" rozpoczęło akcję odsyłania książeczek wojskowych, gdańszczanie włączyli się do niej, traktując ją jednak nie jako wyraz protestu wobec rot przysięgi na wierność Związłkowi Radzieckiemu, czy wobec skazania Marka Adamkiewicza, który pierwszy odmówił jej złożenia, ale wobec obowiązku służby wojskowej w ogóle. Są przeciwnikami armii jako takiej a nie tylko Armii Czerwonej.

Pierwszą akcją masową "WIP" była próba złożenia w listopadzie 1985 na cmentarzu w Machowej koło Tarnowa wienca na grobie desertora z Wehrmachtu Otto Schinka. Co prawda, większość z kilkudziesięciu uczestników do Machowej w ogóle nie dotarła zatrzymana po drodze przez milicję, ale na wcześniejszym spotkaniu udało się uzgodnić treść deklaracji ideowej "WIP". Jej tematem na rzecz pokoju powiązane w niej z prawami człowieka, zwróceniem na wyzwolenia narodowego, ochroną środowiska, tolerancją światopoglądową, pomocą dla narodów objętych nędzą i masowym głodem. Twórczy wkład Gdańska w opracowanie deklaracji polegał na skreśleniu z preambuły dwóch pierwszych

zdań, uzasadniających dlaczego "wolność" i dlaczego "pokój", w których to zdaniach powoływano się na autorytet papieża i gen. Okulickiego - Niedziadka.

Jesienią 1985 roku wszyscy gdańscy WiP-owcy, którzy odesłali książeczki wojskowe, a więc Krzysztof Galinski, Wojciech Jankowski i Andrzej Miszk zostali kolejno aresztowani, co tylko umożliwiło rozwijający się ruch. W więzieniach siedzieli już albo mieli się tam niebawem znaleźć także uczestnicy "WiP" z Warszawy i Wrocławia. Akcje na rzecz ich uwolnienia trwały od początku 1986 roku i w efekcie doprowadziły do wypuszczenia wszystkich pacyfistów oprócz Jarosława Nakielskiego /który sam uciekł/ i Wojciecha Jankowskiego z Gdańska. W ich obronie zorganizowano najpierw masowe akcje petycyjne. Pod koniec lipca 1986 po mszy w kościele św. Brygidy w Gdańsku zebrano około 2000 podpisów. Apel o uwolnienie więźniów odczytał z ambony ks. Jankowski /niektórzy z obecnych w kościele byli przekonani, że Wojtek jest jego krewnym/, choć jeszcze przed rokiem Kościół powściągliwie odnosił się do odwołujących się do służby wojskowej. Człowiekiem skrokiem był "sit-in" przed domem "Centrum" w Murzewie. Kilkadziesiąt osób siedziało przez pół godziny na chodniku trzymając transparenty z żądaniem uwolnienia Nakielskiego /aresztowanego ponownie we wrześniu/ i Jankowskiego. Manifestację obserwowało wielu przechodniów. Reagowali różnie: "Mieroby, ożeryzujcie nie chcecie bronić!", ale także: "Pluszanie, chłoptaki, jesteście z nami!". Uczestnicy protestu satyrzowali co prawda milicję, a kolegium dołożyło im po 50 łps. Wskazywano przy tym /nb. nikt nie zapłacił/, ale w ciągu dwóch tygodni ciąż więźniowie znaleźli się na wolności, choć uprzednio Urban zapewniał, że ich zamestia nie obejmie.

Cel doraźny został więc osiągnięty. Cel długofalowy jest jeszcze odległy. Szanse na jego realizację są jednak obecnie większe niż przed rokiem, ponieważ w ciągu tego roku "WiP" przeszedł - pod gdańskim wpływem - znaczną ewolucję: od zabiegów o iryz kształt prąsyłgi do walki o prawo odwoły służy wojskowej i odroczenia jej w instytucji cywilnej. To uczestników "WiP" łączy. Dzieli ich natomiast poglądy polityczne. O ile np. Gdańsk skłania się do anarchizmu, o tyle Kraków skłania na postój niepodległościowe, post-III Rzeczki ogłaszając swym patronem Lecha Jendka, Polaka, który jako żołnierz spinał z Afganistanie walcząc u boku mullahedynów z socjalkami interwentami.

\*

Przedstawiony wyżej przegląd środowisk młodzieżowych nie jest oczywiście ani pełny ani wyczerpujący. To taki być nie może. Strukturę ideologiczną opozycji cechuje wielka dynamika wewnętrzna. Grupy łączą się, dzielą, zawierają sojusze strategiczne, czy tylko okazjonalne, zmieniają nazwy. Podobnie ich pisma. Ta płynność przypomina życie polityczne w II Rzeczypospolitej przed zamachem majowym, albo - co jest porównaniem właściwszym - sytuację we współczesnej muzyce młodzieżowej: zespoły czesem grają tylko jedno lato, migają jak w katedroskopie, ale pewne mody, kierunki rozwojowe zostają już wytyczone i trwają.

Inną cechą charakterystyczną jest niepełna krystalizacja poglądów wielu grup. Tylko nieliczne dokonują jakiejś wyrazistej samoidentyfikacji. Inne ewoluują od Sasa do Łasa, jak na


przykład wspomniana wcześniej Polska Młodzież Walcząca, która zaczęła swą publiczną karierę od tego, że w ogromnym nakładzie wydała ulotki wzywające do zbierania broni i oplakatowała nimi cały Gdańsk, a potem, zapewne przeczytawszy coś o walce bez przemocy, zaczęła rozdawać milicjantom kwiaty na manifestacjach.

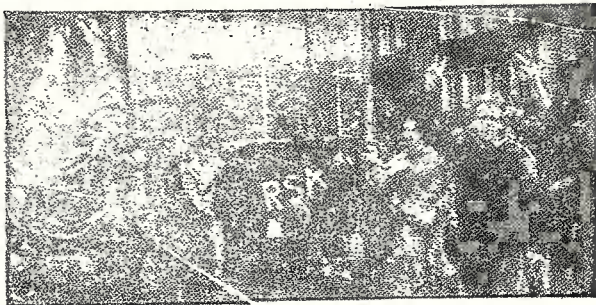
Można się z takich i większych niekonsekwencji śmiać /ja też w tym tekście miejscami piszę nie całkiem serio/, można piętnować naiwność albo nieodpowiedzialność zarówno programów jak i działań, można z lekceważeniem wzruszyć ramionami. Lepiej jednak, jak proponuje w "Kulturze" /nr 6-7/86/ Jerzy Surdykowski: "W kakafonii manifestów, okrzyków, potępieńczych swarów próbować usłyszeć mało jeszcze zrozumiałą, lecz coraz wyraźniejszy głos Jutra".

"Generacja utraconych złudzeń, pokolenie zmarnowanych szans" - brzmiał refren kabaretowej piosenki u jakże odległych siedemdziesiątych lat. Dopiero dziś słowa te nabrały wyrazistego sensu. Jakże napięcie kumuluje ta generacja, ileż energii wyzwoliłi ...

Listopad 1986

Marcin Polny

Ruch Społeczeństwa Alternatywnego (RSA) na ulicach Gdańska 





# Pacjent ma się kiepsko...

Gdzie jesteśmy? A ściślej mówiąc, gdzie wpadliśmy? A jeszcze ściślej, do jakiego szamba nas wepchnięto? Czy zdajemy sobie powszechnie sprawę z obecnej sytuacji ekonomicznej kraju? Z jej trygizmu i przewidywanej długotrwałości? Z konsekwencji, jakie ta sytuacja niesie dla egzystencji przynajmniej dwóch żyjących pokoleń Polaków oraz dla cywilizacyjnej pozycji Polski w świecie w najbliższym półwieczu? Większość naszego społeczeństwa - zmęczona coraz cięższą codziennością, skolonizowana oficjalną propagandą, podtrzymującą mit przemysłowego i konsekwentnego wychodzenia z kryzysu, a także społeczna "stabilizacji i normalizacji" - nie zdaje sobie w pełni sprawy z impasu, w jaki wpakowali kraj ludzie Gierka, a następnie socjalistyczni "odnowiciele" spod znaku WRN.

Niechby nawet uważnym obserwatorem polskiego życia politycznego i gospodarczego dała jednak ostatnio do myślenia rozpaczywa szarpanina wokół tzw. drugiego etapu reformy. "Bez wytłumaczenia" i pojawiające się w związku z tym niecierpliwie deklaracje z obozu reformatorów, a z drugiej strony trwający nadal opór, bezradność czynników decyzyjnych w realizacji reformy w praktyce - tworzą obraz wręcz żaloszny. Wartości reformy gospodarczej "na komendę" widać już gołym okiem.

A tymczasem Polska ginie! Nie najeżona wprost ze Wschodu /zwr. większe zło/, nie przywiązana do Germanii przez wraże ziomkostwo i nie rozłożona od środka przez rozpasane /do 13 grudnia/ "elementy" antysocjalistyczne. Ginie jako organizm gospodarczy, rozkładany niemotą jego wielkich i mniejszych sterników; ginie bez modus vivendi pomiędzy władzą i społeczeństwem /od kiedy władza wszelkimi siłami usiłuje zrobić z nas niewolników/; ginie jako państwo z pierwszej dwudziestki rozwiniętych państw świata ...

Przeciętny Polak wyczuwa to być może podświadomie - w postępującym brudzie i szarości naszych miast; w braku leków i podstawowych towarów; w nieobecności jakichkolwiek perspektyw mieszkaniowych dla swych dzieci; w nierozności odłożenia na miesięczne wczasy z rodziną; w widocznej kłóćce apatii i niezadowoleniu z wykonywanej pracy ... Zracjonalizowanie tych

odczuć na podstawie dostępnych oficjalnie w Polsce, ale tendencyjnie łagodzonych, danych i statystyk nie jest jednak łatwe. Ale należy ku temu zacząć, gdyż nawet trudna prawda lepsza jest od złudnych przeczuć i nieudomówień /na których zresztą lata całe budują wszędzie swe panowanie komuniści/. Powszechna wiedza o głębokości naszego kryzysu i rozmaitych, wynikających stąd konsekwencjach może okazać się mobilizująca, tak jak pobudzająca bywa czasami dla obumierającego organizmu kuracja wstrząsowa. Czas zastosowania takiej terapii wydaje się już najwyższy: pacjent ledwie dyszy. W ratowaniu gospodarki kraju władza, społeczeństwo i opozycja powinny jak najszybciej podać sobie rękę.

Prawdziwe dane i rzetelne interpretacje sytuacji Polski, jakie - w formie omówień - zamierzamy poniżej przedstawić, pochodzą z wiarygodnych źródeł zagranicznych, zajmujących się /z własnej inicjatywy czy też na zaproszenie polskich władz/ diagnozowaniem naszej sytuacji.

### "Polska jest krajem paradoksów..."

... zauważa jeden z zachodnich publicystów ekonomicznych w pierwszym tegorocznym numerze pisma "Ihr Auslandsreporter". Z jednej strony wielki przemysł, częściowo oparty na zachodniej technologii, z drugiej zaś niemożność wyprodukowania gwoździ, śrub, łopat, sznurka do snopowiązałek. Z jednej strony - wielki stabilny potencjał surowcowy, z drugiej zaś - niedożywione mieszkania. Rosnąca stopniowo produkcja dóbr konsumpcyjnych - ale pustawe półki w sklepach lub też zapełnione towarami zupełnie nieochodliwym. Coraz większe piace - z drugiej zaś strony brak pieniędzy na zwiazanie końca z końcem ... A obok tego - szumne zapowiedzi statystyków, że jest lepiej, mimo że zaprzeczyc temu może choćby monstrualny wciąż czarny rynek. Obrazu tego dopełnia dolar za ponad 900 zł, przy jego oficjalnym kursie czterokrotnie niższym /.../. Do tego dochodzą długi zagraniczne i wielki "boom" demograficzny. Wszystkie te sprawy są na pewno trudne do rozwiązania".

"Można by powiedziec romantycy - konkluduje autor tych syntetycznych obserwacji - jak zawsze, niepoprawni. Ale tak w rzeczywistości nie jest. Społeczeństwo chce zmian, lecz jest zupełnie bierno. Władza chce również zmian na lepsze. Obie zainteresowane strony nie potrafiły jednakże dotychczas zgodnie i z rozmachem wystartować ..."

Tyle wstępnej charakterystyki problemu, dokonanej przez dziennikarza. A oto kilka opinii cięższych gatunkowo: OECD, czyli Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju, zresztająca kraje kapitalistyczne Europy oraz USA i Kanada, podaje, że inflacja w Polsce w 1987 roku wynosi już 40-45 procent, i nazywa tę sytuację "krytyczną". Jest to inflacja, której nie można określić mianem galopującej /do 12%/, ani "hiperinflacji" /do 14%/. Inflacja w Polsce, która niszczy bezwzględnie siłę nabywczą społeczeństwa i potęguje jego bezradzkie ubóstwo, nie mieści się w pojęciach klasycznej ekonomii zachodniej! Z tego m.in. powodu, według szacunków OECD, ponad 75% społeczeństwa polskiego żyje dziś poniżej minimum socjalnego, czyli - według zachodnich kryteriów - w obszarze nędzy. Dochód na głowę mieszkańca PRL jest niższy niż w republikach bananowych /Ameryka Południowa/ i w afrykańskich krajach Sahelu /Senegal, Mali, Niger, Sudan/. Jest to wręcz niewiarygodne, lecz niestety stwierdzone przez poważną organizację międzynarodową.

W swej opinii OECD zauważyła ponadto, iż Polska jest jedynym krajem w Europie i jednym z bardzo niewielu na świecie, gdzie tak ważne dziedziny gospodarki, jak: przemysł kluczowy, przemysł dóbr konsumpcyjnych, rolnictwo i usługi przedsiębiorstw państwowych /kolej, poczta, transport samochodowy, łączność, itp./ - są nieefektywne i trzeba do nich dopłacać ...

Balsza ocena OECD jest równie szczerą, co brutalną: Zadłużenie Polski osiągnęło nie notowany poziom. Eksport jako źródło pozyskania dewiz praktycznie się nie liczy. Reforma gospodarcza poszła w najgorszym kierunku, w jakim pójść mogła - pogiębiła istniejący chaos. Sytuacja obywateli jest wyjątkowo trudna. Wszystko to zaś dopełnione jest niekorzystnym nastawieniem do reformy ze strony rozgoryczonej ludności: "zmiany i tak nie mają sensu, mówią Polacy, to nieodczuwalny jest ich pozytywny wpływ na warunki życia oraz gospodarkę".

Na temat reformy gospodarczej w Polsce wypowiedział się również zespół ekspertów z japońskiego Imada Institute. Oto jego zdanie: "Mimo podjęcia pewnych działań natury wewnętrznej, mających dopomóc w przezwyciężeniu kryzysu w Polsce, sytuacja ogólnoekonomiczna kraju stale się pogarsza /.../. Reforma gospodarcza nie przyczyniła się do polepszenia sytuacji. Przeciwnie, jej niekonsekwentne wprowadzanie spowodowało kolejne straty".

Amerkańscy specjaliści: A. Miller, R. Bonson, P. Pettly, w opracowaniu opublikowanym w lutym br. w prasie fachowej USA, stawiają tezę, iż zagadnieniem rozstrzygającym o przyszłości polskiej gospodarki będzie jej energochłonność. "Polski przemysł ledwie dyszy ze starości, PRL jest jednym z najbiedniejszych krajów świata, a mimo to stać ją na tak ciężkie marnotrawstwo energii - w przemyśle, w transporcie i w rolnictwie /choć tu w mniejszym stopniu/. Amerykanie podają przy tym kolejne szokujące dla nas liczby. Ośrodek energochłonność polskiej gospodarki jest wyższa nie tylko od: RFN - 34 razy, Japonii - 27 razy, Wlk. Brytanii - 9,3 raza i USA - 7,1 raza, ale również od ... Albanii - 2,3 raza, Nigerii - 2 razy, Konga - 2 razy i Bangladeszu - 1,8 raza. Jesteśmy pod tym względem również gorsi od najgorszych - tj. od wszystkich krajów bloku socjalistycznego, z Rumunią i Mongolią wliczając".

Innym ważnym parametrem, charakteryzującym jakość gospodarki, jest wydajność pracy. że "polska praca jest chora", mówi o tym głośno np. Kościół, natomiast, jaka jest skala tej choroby, podają konkretne /w tym przypadku amerykańskie/ porównania. Ośrodek wydajność pracy w PRL jest niższa: 25 razy niż w Japonii, 23 razy niż w RFN, 9,7 raza niż w USA, 9 razy niż w Wlk. Brytanii, oraz ... 3,9 raza niż w Boliwii, 3,7 raza niż w Egipcie i 3 razy niż w Zimbabw. Komentarz zbudny.

"Polska chora swymi długami" - tak zatytułowali wydawną w Marsylii publikację, kompetentni specjaliści francuscy, omawiając w niej wyniki bardzo dokładnych analiz komputerowych. Piszą w niej m.in.: "Od wielu już lat Polska znajduje się w dramatycznej sytuacji gospodarczej. Przeszłości wyrobę przemysłową nie znajdują zbyt za granicą. Twórczość jest niskiej jakości. Zadłużenie zagraniczne rośnie bezustannie. Stopa życiowa społeczeństwa osiąga poziom określony u nas jako granica ubóstwa. To tego dochodzi niestabilna i ... na sprzeżności polityka gospodarcza oraz najwyższe w Europie zanieczyszczenia środowiska naturalnego /.../. Nie istnieje tam żaden program, mogący przetrwać społeczeństwo do wzmoczonego wysiłku".

"Ostatnio jednak - stwierdzają Francuzi - zaszły dla nowe wydarzenia, których znaczenia nie należy jednak przeceniać, ale których wpływ na sytuację Polski może być przez dłuższy czas pozytywny. Mowa tu o zaproszeniu Polski do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i o wprowadzeniu ustawy umożliwiającej tworzenie spółek z kapitałem zagranicznym ..." Zaraz potem jednak następuje w tym tekście dokładna analiza wskaźnikowa wpływu tego nowego czynnika /ustawy o spółkach/ na sytuację w Polsce. I wypada ona znów niekorzystnie. "Wysiłki władz polskich - stwierdzają Francuzi - zmierzające do wciągnięcia kapitału zagranicznego, będą nieskuteczne ze względu na brak gwarancji stabilności polskiego systemu finansowego ...".

Ustawa o tzw. spółkach mieszanych, która miała być jednym z filarów ożywienia kontaktów z Zachodem, a przez to i ożywienia polskiej gospodarki, ustawa, na którą z uwagą oczekiwał świat businessu - została niemal powszechnie na Zachodzie skrytykowana jako nieodrodna dziełce socjalistycznej biurokracji, twór kunktatorski, a nawet wsteczny w stosunku do podobnych rozwiązań w innych krajach "obożu".

Tak więc nic nowego pod słońcem PRL-u: jeden krok do przodu i dwa kroki w tył. Doktryna i koryciarze z tzw. Centrum nie dopuszczają do śmiałych eksperymentów, a kraj marnieje w oczach. Ten cmentarny pejzaż doszkicujemy wisielczym cokolwiek kalamburem autorstwa jednego z ekspertów ekonomicznych MFV, przebywających niedawno w Polsce z misją sondażową Funduszu. Ludzie z MPW przeprowadzali wówczas kilkaset rozmów wyjaśniających stan "chorego", a wrażenia z nich wspomniany cudzoziemiec spuentował jednym zdaniem: "W Polsce egzystuje jeszcze gospodarka towarowo-pieniężna, ale bez towaru i bez pieniądza".

### Program partii - pomostem w XXI wiek

"Z przytoczonego materiału wynika, że Polska jeszcze przez kilkadziesiąt lat pogrążona będzie w głębokim kryzysie, zaś społeczeństwo ponosić będzie jego wielki ciężar w imię "lepszego przyszłości", która jednak jest jeszcze bardzo odległa; w każdym razie nie dotyczy już obecnego średniego pokolenia Polaków".

Francuskie prognozy, zawarte we wspomnianym wcześniej opracowaniu, sięgają wprawdzie do końca XI wieku, ale również i po przekroczeniu tego horyzontu - stwierdzają Francuzi - ekonomiczna sytuacja Polski zmieniać się będzie na lepsze w tempie, niestety, bardzo powolnym ...

Francuski Instytut Pracy i Spraw Socjalnych szacuje np., że w roku 2000 przeciętny Polak może być najbiedniejszym człowiekiem w Europie pod względem dochodu przypadającego na jego głowę /i żonędek/. Jeszcze drastyczniejszą prognozę stawia Instytut Badań Socjalnych w Nowym Yorku, stwierdzając, że w roku 2000 dochód przypadający na jednego Polaka uytunuje go pod tym względem na przedostatnim miejscu na świecie! Ten sam Instytut podaje również, że na początku XXI wieku już 90 procent naszych rodaków będzie żyło poniżej minimum socjalnego.

Infłacja w Polsce, o której opinii - według szacunków OECD - przytoczyliśmy w poprzednim rozdziale, miszcy i miszycy będzie nadal się nabywać, społeczeństwa. Jej wielkość w roku 2000 nieco się zmniejszy, ale i tak utrzymywać się będzie na poziomie 30-35%, czyli bardzo wysokim. Prognoza angielskich badaczy problemu zaudera nawet sformułowanie, że o ile PRL nie uzyska pomocy z zewnątrz, to pod koniec wieku stanie się



państwem największej inflacji na świecie. Władza, a częściowo i społeczeństwo pod wpływem jej propagandy, jako cenzura w procesie wychodzenia z kryzysu traktuje fakt przystąpienia Polski do Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Włączenie do MFN ma być panaceum lub - jak kto woli - trampolina ustawiona na dnie, od którego na razie nie możemy się odbić. Czy są to nadzieje uzasadnione? Najwym dedykujemy w odpowiedzi dwa trzeźwiące cytaty:

"Przystąpienie Polski do MFN powinno w dłuższym okresie - co najmniej 35 lat - przyczynić się do stabilizacji sytuacji gospodarczej kraju. Jednak stabilizacja ta nastąpi z konieczności na *niskim i w sumie niekorzystnym poziomie!*"

"Przystąpienie Polski do MFN nie okaże się cudownym lekarstwem na trudności kraju, choć może w długim okresie oddziaływać pozytywnie. Jednakże należy stwierdzić otwarcie, że ewentualne korzyści są tu uzależnione od tego, na ile polskie społeczeństwo wykaże *zdolność do dalszych dużych ofiar i poświęceń.* Ta zdolność jest już na pewno ograniczona..."

/Cytat pierwszy pochodzi z tzw. raportu regionalnego dot. sytuacji Polski w latach 1986-2000, przygotowanego przez zespół z japońskiego Inada Institute; cytat drugi, z analiz francuskich/.

Lejąc dalej zimny prysznic, przytoczmy jeszcze opinię zachodniemieckiego Haberler - Institut:

"Już teraz, w styczniu 1987, Polska zajmuje 5 miejsce od końca na liście najsłabszych ekonomicznie krajów świata. W roku 2000 może się znaleźć na miejscu drugim od końca, o ile nie zmieni dotychczasowego stylu pracy: mało wydajnej, niskiej jakościowo, źle zorganizowanej, z minimalnym zaangażowaniem osobistym, utrudniającej eksport i dezorganizowanej rozregulowanymi systemami motywacyjnymi oraz kulejącą reformą gospodarczą..."

Tak więc - według wszelkiego naukowego prawdopodobieństwa - w nadchodzący wiek rejsowych podróży kosmicznych, rozpędzając się rewolucji informatycznej, wielkich osiągnięć bioniki, wkroczyliśmy z torbą i kijem. Pomostem będzie nam program Partii /zresztą z tektury/, azymutem zaś - poziom życia sprzed dwudziestu pięciu lat.

## Jak z tego wyjść?

Nie wiadomo dziś jeszcze, co przyniesie tzw. drugi etap reformy gospodarczej, ogłoszony z hukiem na początku tego roku. Być może właśnie, tak długo oczekiwany postęp. Być może ukaże on wreszcie konsekwentną i zdecydowaną twarz władzy w czymś innym niż represjonowanie społeczeństwa oraz rozwiązywanie jego autentycznych przedstawicielstw. Obserwując bowiem działalność ekipy Jaruzelskiego ma się, jak na razie, nieodparte wrażenie, że cała jej energia ukierunkowana była właśnie na to; cała moc władzy poszła w destrukcję, dzięki czemu nie stworzono w Polsce w ostatnich 6 latach niczego, dosłownie NICZEGO!, na czym można by budować jej lepsze perspektywy. Nie ma porozumienia, nie ma zaufania i nie ma nadziei. Nie ma wreszcie /razem z nimi czy mimo nich - jeśli byłoby to w ogóle możliwe?!/ zreformowanego systemu ekonomicznego, od którego można by dziś przynajmniej zacząć...

Przebywająca w Polsce w listopadzie 1986 r. druga misja Banku Światowego, przygotowująca raport nt. sytuacji gospodarczej

w naszym kraju, która odbyła wiele spotkań w kołach gospodarczych, politycznych i naukowych - zauważyła zdecydowanie, że "polski plan gospodarczy jest mało realny". Sytuacja w Polsce jest zdecydowanie niekorzystna - ocenili uczestnicy misji. Nie przedstawiono im praktycznie niczego, co mogłoby stanowić dobry przykład lub podstawę do ewentualnej konkretnej dyskusji. Przedstawiciele misji wytknęli ponadto, iż nadal działają mechanizmy niszczące wszelką przedsiębiorczość... Wizyta w Zakładach Ekspertów miała głównie na celu rozpoznanie sytuacji przed dopuszczeniem polskich przedsiębiorstw do przetargów inwestycyjnych, finansowanych przez Bank Światowy w krajach ośrodkowych oraz rozpatrzenie ewentualnych projektów inwestycyjnych do realizacji w Polsce. Wypadła, jak widać, fatalnie.

Odpowiedzialność za zmarnowany czas i zmarnowane szanse spada niewątpliwie na obecną ekipę rządzącą. Odpowiedzialność za ten wojenny i jego bezpośrednie i pośrednie konsekwencje ekonomiczne także; za wywołany prześladowaniami oraz wojną psychologiczną, wydaną naradzi, ciężki społeczny uraz, mający swe odbicie w efektywności całej gospodarki; wreszcie za "odgórne" skandaliczne niezdecydowanie w przeprowadzaniu zmian w ekonomice kraju. Tym razem, panowie, nie ma naprawdę na kogo zwać! Masowa, potężna, "anarcho-syndykalistyczna" "Solidarność" od dobrych 4-5 lat nie istnieje, a Reagan jako chłopiec do bicia przekonuje już tylko wystraszona renaistki. Oficjalna, prasowa czy telewizyjna krytyka polityki ekonomicznej rządu i jego przybudówek abstrahuje od politycznych źródeł tej klęski, tkwiących w tym właśnie, konkretnym modelu ustrojowym, jaki - z drobnymi modyfikacjami - przychodzi nam znieść gdzieś od roku 1957. Za rozumiar tej klęski są ponadto odpowiedzialni konkretni ludzie; po 13 grudnia 1981 - najbardziej ci, którzy noszą rozmaite mianunki, a wraz z nimi koszarowa mentalność /niepodatną na ogół na jakiegokolwiek eksperymenty/. To oni właśnie sprawują dziś w Polsce władzę. Ani Kozłowski, ani Szatajda nie są na tej szachownicy figurami. Dla czystości obrazu i prawdy historycznej warto sobie z tego edać sprawę. Przyda się to do późniejszych rozliczeń... Powinno takiej oceny, przekreślającej jakąkolwiek akceptację systemu komunistycznego, podtrzymać należy na dziś, postawiona na wstępie tezę, o potrzebie szybkiego porzucenia się z władzą w wągłowi polskiej gospodarki. Każdy racjonalny kompromis i próba mądrej współpracy, dająca szansę na poprawę warunków egzystencji ludzi żyjących dziś w Polsce, warto są podtrzymać. Istniejąca obecnie w elicie władzy świadomość bezwzględnej nieualizacji sytuacji ekonomicznej kraju; realna i niemiła solidność uruchomienia nacisków międzynarodowych, a także pełnych wewnętrznych - dają sposobność do starań o daleko idącą modyfikację w realnym socjalizmie prawnym, w tej sferze gospodarczej. W tragicznej sytuacji kraju jest to konieczność, z której nie można zrezygnować. Dlatego w najbliższym czasie wszelkich ocen i sugestii, które dadzą się w tym kierunku wykorzystać.

Kontynuując omawianie zagranicznych ekspertów na temat Polski, warto zatem przytoczyć zawarte w nich propozycje naprawy: Tak więc grupa 15 wybitnych amerykańskich ekonomistów, które poświęciła uwagę polskiemu problemom gospodarczym, twierdzi, że dla ratowania ekonomii naszego kraju należy przedsięwziąć następujące działania:

1. Zacząć od reformy pieniężnej: urealnić kurs złoty;

wprowadzić jej wymiennalność; stosować umiarkowanie restrykcyjną politykę walutową, z tendencją do niwelowania ograniczeń.

2. Przedstawić jasno i otwarcie społeczeństwu stan gospodarki kraju, udostępniając mu i tę informację, że przez wiele jeszcze lat warunki życia będą bardzo trudne. Znieść stopniowo wszelkie ograniczenia w polityce ekonomicznej oraz kontrolować i ograniczać wielkie i kosztowne programy socjalne.

3. Poprawić warunki funkcjonowania gospodarki, wprowadzając szereg zmian systemowych. Między innymi: przeprowadzić rozsądną reformę podatkową oraz wykorzystywać mechanizm kursu walutowego; znieść państwowy monopol handlu zagranicznego i rozszerzyć uprawnienia na inne podmioty gospodarcze i państwowe szkolnictwo; reprivatyzować dziedzicze usługi; zlikwidować większość PGR-ów, a część z nich reprivatyzować; poprawić warunki dla inwestycji kapitału zagranicznego w Polsce.

4. Ograniczyć nadmierne wydatki budżetowe, a wygosparowane środki przeznaczyć na stymulowanie inwestycji.

5. Nie stosować polityki zamrożenia płac - inflację zwalczać innymi środkami. /W początkowym okresie inflacja zuboża wprowadzi społeczeństwo, ale działa stymulujące na gospodarkę/. Nie należy na wstępie porządkowania gospodarki stawiać inflacji jako głównego zła ...

6. Wprowadzić bezrobocie, wynoszące co najmniej 900 tys. do 1 miliona osób.

7. Stosować konsekwentnie przepisy likwidacyjne i o bankructwie, również w stosunku do dużych i bardzo dużych jednostek gospodarczych.

8. Preferować inicjatywę i przedsiębiorczość osób i zespołów ludzkich. Konkurencję traktować jako podstawową dźwignię gospodarki.

9. Wprowadzić na terenie Polski co najmniej kilka stref wolnościowych i wolnego handlu.

10. Umożliwić otwarcie w Polsce kilku dużych zachodnich banków. Z koleji zachodniemiecki specjalista, prof. dr Eugen Brändli, w artykule opublikowanym w lutym tego roku w fachowym czasopiśmie "Die Interessen und die Absichten", posilując się opiniami i danymi MFW oraz GfZ, buduje następującą listę zaleceń dla gospodarki PRL:

Po pierwsze - konieczność równoważenia budżetu. Jest to działanie niezbędne, choć wiadomo, jak trudne, zwłaszcza dla przeciętnych obywateli, u których barki spać głównie koszty tej operacji. Chociaż, nie tylko na nich - prof. Brändli wskazuje m.in. na oszczędności, jakie tkwią w zbędnych lub wręcz absurdalnych w obecnej sytuacji Polski przedsięwzięciach w rodzaju programu "Interkosmos" czy budowy metra w Warszawie. Wszystko powinno być poddane surowemu reżimowi finansowemu!

Po drugie - zapewnienie odpowiednich ram funkcjonowania gospodarki, przede wszystkim poprzez zmianę zabójczej polityki podatkowej.

Po trzecie - odbudowanie zlotówki, a następnie wykorzystywanie instrumentów gry finansowej.

Po czwarte - przywrócenie konkurencji w funkcjonowaniu gospodarki. Z wprowadzeniem konkurencji wiązać się będzie eliminacja słabych, przy konsekwentnym stosowaniu przepisów o bankructwie. Wywoła to odrócenie sytuacji na rynku pracy, który wykazuje aktualnie absurdalne w szych rozmiarach, zapotrzebowanie na setki tysięcy nowych pracowników.

Po piąte - uzdrowienie szkolnictwa i służby zdrowia.



Po szóste - ograniczenie monopolu państwa w handlu zagranicznym. Bez tego pociągnięcia kluczowa dla Polski kwestia handlu z II obszarem płatniczym nie ulegnie poprawie.

Po siódme - sprawa zasadnicza: zacząć spłacać zaciągnięte wcześniej długi. Prolongowanie w nieskończoność długu, który narasta - wycieńcza gospodarkę.

Według francuskiego opracowania "Polska chora swoimi długami", uwzględniającego m.in. zdanie ekspertów MFW - w Polsce lat 1986-2000 - należy skoncentrować się nie na powiększaniu istniejącego potencjału gospodarczego, lecz na jego usprawnieniu oraz uzupełnieniu, poprzez np. produkowanie niezbędnych części zamiennych itp. W tym kontekście sformułowane są następujące kierunki racjonalnego wykorzystania kredytów Międzynarodowego Funduszu Walutowego: a/ przemysł /zgodnie z wymienioną wyżej wskazówką/; b/ rolnictwo /głównie sektor prywatny i półprywatny/; c/ usługi /różny drobnych uslug dla ludności/; d/ handel zagraniczny /w korelacji z grupą "przemysł" i przy uwzględnieniu rolnictwa/.

Wpływ tak wykorzystanych kredytów MFW na funkcjonowanie gospodarki Polski do roku 2000 byłby następujący: w przemyśle - ożywienie produkcji elementów uzupełniających i kooperacyjnych umożliwi, po dłuższym czasie, w miarę normalne wykorzystywanie posiadanego potencjału przemysłowego. W rolnictwie: ożywienie w sektorze prywatnym zapewni w długim okresie realną perspektywę samowystarczalności zbożowej /nadal jednak będzie występował ostry kryzys mięsny/. W usługach - rozwój sektora prywatnego i spółdzielczego może zapewnić polepszenie sytuacji w zakresie usług dla ludności /przy rozsądnej polityce finansowej państwa oczywiście/. Ponadto - rozwój eksportu, niestety, przeważnie surowców.

Kredyty MFW, to - według cytowanej ekspertyzy - główny dostępny dziś, zewnętrzny czynnik stabilizacji gospodarczej Polski, przy dalszym jednakże wzroście zadłużenia zagranicznego ...

Przyjmijmy však na pocieszenie i tę uwagę, że "zostaną w ten sposób stworzone solidne podstawy, umożliwiające spłatę zadłużenia w ciągu /sic!/ kilkudziesięciu lat ...".

"Kryzys gospodarczy i związane z tym trudności finansowe takich krajów, jak np. Polska - konkludują autorzy tego opracowania - mogą być przezwyciężone pod warunkiem większej otwartości względem krajów uprzemysłowionych i rozsądnej postawy wobec krajów - wierzycieli".

W sumie - proszę państwa - perspektywy podniecające raczej naszych wnuków. A co dla nas? No, niestety, znów "imperatyw kategoryczny" zamiast mieszkania i zdrowej kiełbasy - czyli "święta miłości kochanej Ojczyzny ..." oraz walka o byt na poziomie nędzarza Europy. Nie będzie łatwo, więc żeby chociaż było ciekawie.

W.G.



dlaczego liberalizm?

## WEJŚCIE W LUKĘ

Truizmem jest mówienie, iż w świadomości przeciętnego Polaka zakodowane jest poczucie silnego związku z Europą. Postrzegamy siebie jako spadkobierców pewnego obszaru kultury, pomimo że od niemal dwustu lat, znajdujemy się na jego peryferiach. W okresie gdy tworzyli się fenomen stanowiący o kształcie cywilizacyjnym współczesnej Europy, kraj nasz przeżywał kolejne kryzysy zakończone utratą niepodległego bytu. Przez cały wiek XIX zapóźnienie cywilizacyjne Polski, w stosunku do Europy, rosło.

W dwudziestoleciu między wojnami również nie udało się nam zbudować fundamentów kultury liberalnej. Był to okres, w którym świat wolności przeżywał kryzys - Europa zarażona została bakcylem totalitaryzmu. Nie ominęło to również obu obozów, których zasługi dla odzyskania przez Polskę niepodległości, a tym samym wpływy w młodym państwie, były największe. Napięcia społeczne, spowodowane słabością gospodarczą państwa i niedojrzałością systemu sprawowania władzy, stanowiły glebę dla myślenia ideologicznego raczej, niż opartego na zdrowym rozsądku. To wszystko wpłynęło na fakt, iż system polityczny, jaki ukształtował się w Polsce po pierwszej wojnie światowej, był niepełny. Zabrakło w nim formacji, która w hierarchii głoszonych wartości najwyższej stawiałaaby wolność. Formacji odwołującej się do tradycji w ówczesnej Europie niepopularnej, ale stanowiącej jej fundament cywilizacyjny. Wojna, oraz następująca po niej sowietyzacja Polski spowodowały fizyczne i moralne wyniszczenie niezależnych elit. Nowe, odradzające się po kolejnych przełomach, charakteryzowały się w większości marksistowską proveniencją. Inaczej być nie mogło, lata indoktrynacji, selekcja w dostępie do wiedzy zrobiły swoje - myślenie kategoriami innymi niż lewicowe zostało zepchnięte na margines życia politycznego. Jedyną formacją, która poza lewicą stworzyła własne elity i mogła liczyć na masowe poparcie był Kościół katolicki. Mutacje systemowe dokonujące się od 1956 r., inspirowane były przez kolejne protesty społeczne, którym przewodziła lewica.

Postulaty, wokół których mobilizowały się wzburzone masy, miały charakter rewindykacji w stosunku do obowiązujących pryncypiów. Proces wzrostu wpływów lewicy uwieczniony został legalnym zaistnieniem NSZZ "Solidarność".

O ile wprowadzenie stanu wojennego nie spowodowało osłabienia pozycji Kościoła, o tyle lewica okazała się niezdolna do utrzymania dominacji w niezależnym życiu politycznym.

Sprzeczności pomiędzy rewolucyjną frazeologią a, z oczywistych względów, ograniczonymi celami sprawiły, że straciła swój impet ideowy. Nagłąca okazała się potrzeba powstania nowej formacji, która nie byłaby związana z Kościołem, a stanowiłaby alternatywę dla, niezdolnej do sformułowania nowych propozycji, lewicy.

Zbiegło się to w czasie z renesansem myśli liberalnej, jaki od końca lat 70-tych przeżywa świat zachodni. Tam również lewica okazała się intelektualnie wyczerpana.

Liberałowie wystąpili z hasłem powrotu do ideałów *laissez-faire*. Ideałów, które legły u podstaw współczesnej, zachodniej cywilizacji. Przedstawili spójną krytykę lewicowego stylu myślenia, obarczając go odpowiedzialnością za trudności gospodarcze, demoralizację społeczeństwa, za niepowodzenia w polityce międzynarodowej. Postulowali i, czyniąc to nadal, daleko idącą reprivatyzację gospodarek, odblokowanie mechanizmów wolnej konkurencji, wolność przed równością, minimalizację ingerencji państwa w życie społeczne. Propozycje te spotkały się z ogromnym zainteresowaniem i zapoczątkowały szereg zmian, które przyniosły wymierne efekty zarówno w życiu politycznym jak i gospodarczym, wprawiając w zakłopotanie zwolenników *welfare-state*.

Docierające do Polski idee wolnościowe trafiają w lukę jaką pozostawiła cofająca się lewica, a której nie mogli zapełnić Kościół.

Znajdują one zwolenników głównie w młodych środowiskach intelektualnych, otwartych na Zachód i poszukujących dróg, które umożliwiłyby nawiązanie kontaktu z podstawowym nurtem kultury europejskiej.

Powstanie tych środowisk jest efektem znacznego upolitycznienia społeczeństwa, jakie dokonało się w Polsce po Sierpniu 1980 r.

Niezależny obieg informacji umożliwił szeroki dostęp zarówno do klasyki, jak i najnowszych osiągnięć światowej myśli politycznej. Znajomość różnych kierunków myślenia znacznie zmniejszyła podatność na ideologie, przyniosła niezbędną dystans i idącą za nim polityczną dojrzałość, która z kolei stanowi warunek konieczny dla akceptacji bardziej subtelnych poglądów. Malejące - w związku z wyczerpaniem się "Solidarności" w kolejnych demonstracjach - tempo wydarzeń i coraz mniejszy udział emocji, stworzyły przestrzeń do refleksji, do chłodnego zastanowienia się nad pożądanym i możliwym. Nad sposobami skutecznego, politycznego działania, które bez rezygnacji z imperdierabiliów umożliwiłyby osiąganie konkretnych celów już dzisiaj.

Liberalizm niesie ze sobą przede wszystkim uznanie dla faktów, dla zrozumienia i godzenia różnych racji. Liberalne wartości: kompromis i dialog, trafiają na podatny grunt wśród zmęczonych rewolucyjnym *ethosem* środowisk. Coraz powszechniejsza staje się świadomość, że zasadnicze zmiany w krótkim okresie czasu nie nastąpią, a mimo to musimy aktywnie szukać takich rozwiązań, które pozwolą nam nasz zakres wolności rozszerzać.

Sferą, w której konieczność ta wydaje się najbardziej nagłąca, jest gospodarka.

Nośność koncepcji liberalnej zwiększa tu fakt, iż jej praktyczne zastosowanie w Stanach Zjednoczonych i Europie Zachodniej dało spektakularne rezultaty, natomiast nie wychodząca poza kolektywne formy własności i centralistyczną logikę, reforma w Polsce przynosi coraz większe rozgoryczenie. Tymaczy to szczególną popularność liberalnego stylu myślenia w środowisku ekonomistów. Postępujący kryzys z każdym dniem zabraja efios ideologicznej eksplikacji, wymusza powrót do rzeczywistości, do starych, sprawdzonych reguł gospodarczego działania. Coraz częściej pojawiają się w publicystyce ekonomicznej postulaty rozbudowy sektora prywatnego, zaistnienia rynku kapitałowego, walutowego, formułowane jako warunek konieczny dla ożywienia gospodarki, wydzignięcia jej z upadku. Z sympatią pisze się o zdominowanym przez prywatną przedsiębiorczość i wolny rynek handlu warzywami, oraz o działających na podobnych zasadach firmach komputerowych. Nowym zjawiskiem jest zarysowujący się powoli rynek pracy. Ponieważ sytuacja finansowa pracowników przedsiębiorstw państwowych jest, z reguły, znacznie gorza niż zatrudnionych w firmach prywatnych, najaktywniejsi z nich przechodzą do tych ostatnich, wybierając pracę bardziej absorbującą, ale dającą poczucie sensu i stabilizacji materialnej. Coraz większa część absolwentów wyższych uczelni rezygnuje z "karriery" w sektorze państwowym i podejmując ryzyko finansowe, oraz pokonując niemałe bariery stawiane przez administrację, zakłada własne spółdzielnie, spółki, zakłady rzemieślnicze. Przyjmując kategorie Ericha Fromma można powiedzieć, że społeczeństwo przestaje uciekać od wolności. Pojawia się "wolność do", wolność kreacji i aktywnego uczestnictwa. Chociaż trudno tu mówić o świadomości liberalnej, to rezygnacja ze względnego bezpieczeństwa, którym kusi państwo, na rzecz samodzielnego decydowania o jakości własnego życia świadczy o postępującej indywidualizacji społeczeństwa. Indywidualizacja, jako przeciwnieństwo roztopienia się jednostki w kolektywie, stanowi czynnik sprzyjający wyzwalaniu przedsiębiorczości i inicjatywy, bez których nie może zaistnieć gospodarka liberalna. Zmienia się stosunek mas do prywatnej własności, do niedawna jednoznacznie negatywny. O przeobrażeniach zachodzących w świadomości społeczeństwa świadczy pojął się nieznanego dotychczas słowa "państwówka" - pogardliwie określającego tzw. sektor uspołeczniony. Natomiast stworzone na użytek propagandy słowo "prywaciarz" traci swój pejoratywny wydźwięk; coraz częściej wymawiane jest z aprobatą. Istotny w stosunku do lat ubiegłych rozwój prywatnych form własności - w postaci firm polonijnych, spółek osób fizycznych, zakładów rzemieślniczych - został przez społeczeństwo w znacznej mierze zaakceptowany, wydaje nie budzić większych emocji. Po czterdziestu latach wszechogarniającej propagandy, świadomego działania obliczonego na wykształcenie negatywnych odruchów związanych ze słowami: "kapitaizm" i "prywaciarz", jest to na pewno nowa jakość. Trudno w tej chwili mówić o perspektywach liberalizmu w Polsce. Mamy do czynienia ze zjawiskiem świeżym i zdecydowane sądy wydają się przedczesne. Mimo to, już teraz można sformułować kilka prognoz, które naszym zdaniem mają duże szanse na pozytywną weryfikację. Obieg myśli wolnościowej zatacza coraz szersze kręgi i można przewidywać, że w sposób istotny wpłynie on na zmianę mentalności Polaków. Zmiana układu sił w niezależnym życiu

intelektualnym powinna znaleźć odzwierciedlenie w szerokiej świadomości. Jeżeli uda się zastąpić dominujący obecnie w świadomości zbiorowej ethos "żądatacy robotnika", ethosem "przedsiębiorczego prywatnego właściciela", będziemy mieli do czynienia z faktem politycznym, z którym będą się musieli liczyć wszyscy. Będzie to także ogromny krok do przodu w przygotowaniu społeczeństwa do niepodległego bytu. Ethos enterprenera zaowocować powinien kadrami działaczy gospodarczych, która stanowić będzie podstawę nowego systemu gospodarczego Polski. Kadra, której po czterdziestu latach rządów komunistów nie mamy, co nie pozostaje bez wpływu na możliwości reform w dniu dzisiejszym.

Można zakładać, że zmieni się kierunek w jakim wyzwałac się będzie energia społeczna - zamiast postawy "dajcie", pojawi się postawa "nie przeszkadzajcie". Myślenie typu rewindykacyjnego powinno zaniknąć. Prawdopodobnym wydaje się odwrót od mesjanizmu, od poszukiwania utopii, w stronę zdrowego rozsądku i trzeźwej kalkulacji.

Istnieje szansa, że niemożność opanowania kryzysu dotychczasowymi środkami, połączona z rosnącą aktywnością gospodarczą społeczeństwa zmusi komunistów do dalej idących ustępstw. Rysuje się tu możliwość wyłączenia fragmentów gospodarki spod wpływów totalitarnego państwa. Wzmocnienie sektora prywatnego zmusiłoby aparat biurokratyczny do kurczenia się, osłabiłoby znacznie pozycję polityczną komunistów, mogłoby stać się początkiem istotnej zmiany systemu.

Zaistnienie w niezależnym życiu politycznym wartości charakterystycznych dla kultury liberalnej wpłynęło znacząco na jego kształt. Przede wszystkim zbliżył się ono do zachodniego standardu cywilizacyjnego, łatwiejszy stanie się dialog z dominującymi w świecie kierunkami politycznego myślenia. W sytuacji, gdy na skutek w miarę stabilnego układu sił między mocarstwami, skazani jesteśmy jako państwo na długotrwałe pozostawanie w orbicie wpływów sowieckich, pojawia się szansa powrotu do wspólnoty myśli. Szansa na przywrócenie przerwanej niegdyś ciągłości.

Oparcie politycznych kalkulacji na szacunku dla faktów, roztropność i otwarcie na różne racje, powinny przynieść liberałom mocną i trwałą pozycję w polskich realiach. Prawdopodobny wydaje się powolny, ale stały wzrost wpływów tej orientacji. Powolny ze względu na specyfikę tego stylu myślenia, jego dystans wobec wszelkich ekstremizmów, rezygnację z gwałtownych zmian na rzecz organicznych; stały ze względu na kierunek zachodzącej ewolucji.

Nie sądzimy, aby liberałowie stworzyli formację o charakterze masowym. Świadomy liberalizm polityczny uważamy za zjawisko elitarne, jego zwolennicy orientują się raczej na aktywną jednostkę niż zbiorowość. Ważniejsza jest szeroka akceptacja liberalnego archetypu, powszechne przyjęcie pewnych norm społecznego bycia i porozumiewania się, odbudowa zburzonej przez komunistów europejskiej hierarchii wartości z obecnymi w niej: inicjatywą, przedsiębiorczością, szacunkiem dla indywidualności, oszczędności, sukcesu.

Zaistnienie w Polsce wspomnianych wartości sprawić może, że tak powszechna u nas fascynacja Zachodem, wynikać będzie nie z kompleksów, a z poczucia autentycznego, aktywnego współuczestnictwa w cywilizacji.

Jacek Karpacki  
Fafał Fatuszewski



co macie na warsztacie? \_\_\_\_\_

## Autobiografia Wałęsy

W ostatnich dniach kwietnia br. nakładem renomowanej paryskiej oficyny "Fayard" wydana została autobiograficzna książka Lecha Wałęsy "Droga nadziei". Ma ona - wedle zgodnej opinii znawców zachodniego rynku czytelniczego - wszelkie szanse stać się światowym bestsellerem. "Fayard" zapowiedział na początek 200 tysięcy egzemplarzy, zaś o prawo do tłumaczeń wystąpiło już 21 krajów, m.in.: Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, RFN, Japonia, Włochy, Brazylia, Izrael. Francuskie wydanie "Drogi nadziei" zawiera notę od edytora informującą, że książka powstała przy współpracy Jana Mura. /Czytelnicy polscy znają tego autora z "Dziennika Internowanego", który wyszedł kilka lat temu nakładem Instytutu Literackiego/. Kiedy ukaże się polska wersja autobiografii Wałęsy? Została ona złożona w wydawnictwie "Znak", które rozpoczęło starania o jej wydanie. Wersja ta różni się nieco od francuskiej. Dominującej w tłumaczeniu narracji odautorskiej towarzyszą tu obszernie relacje osób trzecich na temat samego Wałęsy i wydarzeń w których uczestniczył, wywiady a także liczne dokumenty.

Nie czekając na szczęśliwą finalizację starań "Znaku" /co jeśli w ogóle nastąpi, to zapewne nie prędko/ prezentujemy dziś fragmenty dwóch rozdziałów "Drogi nadziei": wstępu zatytułowanego "Pan to ma dobrze, panie Wałęsa" i "Piełgrzymki". Czynimy to, gratulując jej autorom niewątpliwego sukcesu wydawniczego; "autorom", gdyż - wiemy to na pewno - książka nie jest dziełem jednego człowieka, lecz zespołu.

## Pan to ma dobrze, panie Wałęsa

Jest taka chwila przed snem, kiedy w moim domu nastaje spokój. Zamykają się drzwi za ostatnimi gośćmi, którzy zazwyczaj nie opuszczają mnie ani na chwilę w ciągu dnia. Wona wstaje się do snu z dziewczynkami, a chłopcy padają wreszcie bezwładnie z udzielonych w ciągu dnia wywiadów, fragmenty czyichś opinii, słowa przygany i pochwał, słowa przestrogi i ponaglenia, śmiechliwe pytania: czy on nie jest przypadkiem z tych łachmanyńskich proroków, za którymi nie ma stoł, żadna siła... albo: czy byłby zdolny raz jeszcze wszystko położyć na szalę, łącząc z sobą ...

Nauczyłem się wierzyć w przeznaczenie. Nauczyła mnie tego matka. W pierwszym stopie samodzielnego życia trochę odszedłem od tego źródła. Zdałem się bardziej na własną gwiazdę, a potem, pod wpływem doświadczeń odkryłem jeszcze sens słowa - szefersz mie. Jego zrozumienie zawdzięczam Kościołowi. Te dwa słowa przez mój instynkt prowadzą mnie, jak dotychczas bez większych katastrof przez życie.

Przeznaczenia nie pojmuję w sposób fatalistyczny czy bierny. Przeznaczenie - zrozumienie sensu rozmaitych przeznaczeń wymaga niewątpliwie uwagi i aktywnego stosunku do życia, ludzi, wydarzeń. Stałego analizowania i rozumienia swojej roli na tym świecie. Dobrze do tego dodac bardzo prostą filozofię: zawsze maksymalnie starać się sobie coś dobrze, maksymalnie uczciwie, rając dane parametry sytuacji do wykorzystania. Czasem - nie rezygnując nawet z pewnej wygody, jeśli jest taka możliwość.

Życie jest jedno, warto poznać jego smak.

Kiedy krytyko mnie - czy przeznaczeniem Polski i Polaków jest status dramat? Uważam, że mają jakąś epokę. Świat, a wraz z nim Polska ulega głębokim zmianom. Systemy reżimowe dokonują nowej konfiguracji granic, położenie geograficzne nie jest już tak bardzo istotne i skądś pewnie przestaniemy być aż tak bardzo znaczącymi. Wierząc nad nami strachy odejda ...

Jest w świecie wiele zgiełku, ale kiedy się przyjrzyjcie sprawom świata, że interpretacje z obu stron są te: Zachód jest światem uciążliwym, bogaty - ale nie chce walki. Wschód - pewno i chętnie rozprzewszczenie ideał, którą proponuje - ale go nie stać. Spytają się więc gdzie "niemożliwość", jeśli mogą a nie chcą, dążyć nie stać. Czas są ciekawe. "Solidarność" jest właśnie dowodem na to, że nadchodzi nowa epoka. Nas tu od takich sytuacji zmusza do szukania nowych, nieznanych rozwiązań, poruszania się w zagadnieniach "kwadratury koła" i rozwiązywania jej jednak. Po swojemu.

Zawsze tutaj w planieniu różnych sił - żeby żyć i przeżyć trzeba było wybierać, sprawować, również siebie, potwierdzać, protestować, szukać w sobie sił moralnych. Nawód ten mimo oficjalnie głoszonego ateizmu, wydał papieża - Polaka, a tkwiąc w samym środku skostniałego akta będącego punktem

przestarzałego politycznego podziału świata proklamował w sierpniu 1980 roku nadejście nowej epoki, w której polityczne "tabu" w ogóle staje na dalszym miejscu. Dokonał tego na oczach całego świata w sposób bezkruwny, nie zagrażając nikomu. W centrum uwagi postawił nie ideologię, system gospodarczy czy polityczny - ale człowieka. Obie strony uznały ten program za rewolucyjny. Dla nas nie miało to nic wspólnego z rewolucją. Mielismy odczucie, że po wielu latach stania na głowie - wracamy do normalnej pozycji.

Zrozumienie przeznaczeń uwalnia człowieka od jałowego buntu. Kiedyś rozmawiałem ze starym polskim generałem, jednym z tych, którzy byli czynni w wydarzeniach politycznych okresu formowania się Niewpodległej w 1918 roku, a później, po latach, w czasie II wojny światowej odbyli cały szlak żołnierza - tułacza, po wyjściu polskiej armii generała Andersa z ZSRR, poprzez Daleki Wschód, Monte Cassino we Włoszech, udział w rządzie londyńskim - do Polski. Do Polski takiej, jaką stworzył układ jałtański. Jako wysokiej rangi sztabowiec, miał on możliwość bezpośrednich kontaktów z ludźmi, którzy stworzyli nową mapę Europy w tym czasie: ze Stalimem, jego funkcjonariuszami, którzy na długo wycisnęli piętno nowego stylu rządzenia - Berią i innymi, a także z generałem Eisenhowerem, głównodowodzącym wojsk alianckich zachodniego frontu, późniejszym prezydentem USA, na ich całą plejadą polityków londyńskich. Jednak stary żołnierz do końca życia nie mógł się pogodzić z tą zmianą, uważał, że Polska została zdradzona... Za jego życia kraj związany tradycyjnie z zachodnią Europą wszedł w krąg wpływów Związku Radzieckiego. Przeczytałem wtedy hipotetyczną wizję Polski, bez Jałty. Cóż mogłoby się stać z krajem, który wyszedł tak osłabiony z wojny - przy tak potężnym sąsiedztwie? Nawet trzeźwy Zachód fascynował się rewolucyjnymi ideami płynącymi ze Wschodu. A więc taki byłby los Polski... Powolna, nieuchronna ewolucja w stronę Wschodu, nieuchronne wchłanianie, proces postępujący. Akt jałtański uchronił nas od przejścia całej tej długiej drogi, steniwiącej pokusę dla krajów Ameryki Łacińskiej - na końcu której czekałoby nas bolesne rozczarowanie - co gorsza - za cenę utraty własnej tożsamości narodowej. Szok wytworzył skuteczne przeciwności, przypleszył lekcję historii, dał nam możliwość uczestniczenia z bliska w pewnym jej rozdziale, zamiast fascynacji nim na odległość. Lekcja została zakończona, a jej rezultat Polska odkryła przed światem. Są wyraźne znaki, że polska lekcja została włączona do współczesnego podręcznika wiedzy o świecie. Staram się widzieć wydarzenia, jak zadanie, które mam rozwiązać. Tak widzę sens życia człowieka.

Nigdy nie tragizuję. Wiem, że w życiu nic tak do końca nie zależy od nas. Ale trzeba się starać. Z godnością szukać rozwiązań sytuacji, maksymalnie dobrych, maksymalnie uczciwych. Widziałem już wielu ludzi zgorzkniałych, przegranych polityków, związanych kurczowo z jakąś jedną, własną koncepcją, ideą - standardem, poza którym nie mieli już nic więcej swojego w życiu. Jestem w największym kłopotcie, kiedy pytam mnie o tę jedną, jedyną, nadrzędną ideę, która określałaby mnie do końca. Kłopot z tym, że tak naprawdę nie utożsamiam się z żadną z nich. Nie dlatego, żebym był sceptykiem, ale dlatego, że jestem praktykiem. I czuję, że to jest raczej moja mocna strona. Przecież za parę lat może się okazać, że sytuacja się zmieniła i wcześniej podjęte decyzje okazują się nietrafne... Dam przykład: Pomnik Stoczniołców w Gdańsku. Jestem człowiekiem, który dając do jego wybudowania, spędził niejedną dzień w aresztu...

Alte wcześniej, w pierwszej wersji, miał to być kopiec kamieni, albo jakaś płyta pamiątkowa. Nie pozwolili ... Ale właśnie dzięki temu powstał pomnik, stanowiący wartość społeczną i chrześcijańską, a przy tym o wielkiej wymowie politycznej. Tak więc wydarzenia naprawdę mają wewnętrzną głęboką logikę i warto akceptować życie, takim jakim ono naprawdę jest. Jeśli mu tylko pomagać, przyjdą rozwiązania lepsze i bogatsze od tych wymyślonych teoretycznie, z próbówki, zrodzonych z czystych idei. OI - te potrafią być naprawdę niebezpieczne.

W działaniach praktycznych kierował mną szczęśliwie instynkt człowieka obdarzonego liczną rodziną. Taka była zresztą odwieczna tradycja w mojej rodzinie - wielodzietność i rozgałęzienie. Widać tkwi w tym prostym biologicznym fakcie jakaś wartość, dzięki której trzymam się ziemi, mimo zmiennych kolei losu.

Wszystko co w życiu osiągnąłem, traktuję jako rodzaj życiowej dzierżawy. Z punktu widzenia chrześcijaństwa wszystko zresztą jest taką dzierżawą: uroda, szczęście, pieniądze. Jeśli przyjął ten punkt widzenia, uznać się za chwilowego dzierżawcę rozmaitych życiowych skarbów - łatwiej uszłonić się od zawrotów głowy czy rozpaczai.

Zdaję sobie sprawę z tego, że te najlepsze rzeczy - już mam za sobą. Teraz codziennie zbliżam się do niewiadomej, codziennie będę miał większe problemy i właściwie nie mogę liczyć na coś łatwiejszego, ale na trudniejsze, gorsze. Myślę, że tak właśnie będzie i staram się być gotowy na nadchodzące trudne momenty. Nigdy zresztą nie chciałem być pierwszym. Ale właśnie dlatego, że nie chciałem, że byłem pochłonięty sprawami, rozwiązywałem problemy - wszystko to wypychało mnie na czoło. Ja o tym mówię - na czoło stada ...

Dziś znalazłem się w punkcie, w którym nie mam wyboru; nie mogę nie wytrwać. Muszę przyjąć miejsce, na którym jestem, bo mnie wygnieją, wyszydzą, bo moim wnukom nie dadzą spokoju. Że pozwoliłem się zepchnąć, że nie rozwiązałem problemów tak jak powinienem. W bilansie życiowych rozliczeń liczy się także głos mojej żony, Danuty: może los nas ukarze za ten publiczny rozgłos, może to co zyskałem, stracę w dzieciach, dla których mam tak mało czasu, pochłonięty stale publicznymi sprawami... A więc jest motyw, by rozmyślać, czy nie nadszedł czas, by - korzystając z tego, że byłem pierwszym - wycofać się. Z twarzą. Jak oceni ten krok ktoś za pięćdziesiąt, za sto lat?

Dlatego jestem i rozwiązuję problemy, ale tak bardzo się nie pchaam, bo do końca nie jestem przekonany, czy nie powinienem czasem "zejść po drabinie" i umożliwić komuś innemu zajęcie tego miejsca. Nie wiem. Odkładam tę decyzję do momentu, gdy wszyscy tutaj poczują, że stoimy na twardym gruncie. A swoją drogą - kiedy już będzie lekko - chciałbym zobaczyć ilu zjawi się chętnych kandydatów na "pierwszego". Na razie tak bardzo się nie pchają.

W sierpniu 1980 roku w momencie takiego załamania, mówiłem tym, którzy mnie krytykowali - panowie, proszę bardzo - bierzcie! Ja dociągnąłem do pierwszego etapu, podpisaaliśmy Porozumienia, a teraz bierzcie! Nie chcieli. Potem znów walczyli ze mną. Ale taka jest kolej rzeczy, jak jest dramatycznie - nikt nie chce prowadzić, jak jest trochę "z gorąca" - każdy by chciał. A ja brałem wszystko jak szło, negatywy i pozytyw. I nie pchałem się. A teraz jest ciężko i dlatego każdy uznaje - dobrze jest tak jak jest, że jest taki Wałęsa.

Dostałem kiedyś list: "Pan to ma dobrze, panie Wałęsa, stan



wojenny właściwie nie dotknął pana, nawet Ojciec Święty znajdzie dla pana czas na rozmowę. Ja całe życie przeżyłem uczciwie, niewiele z tego mam, a w czasie pielgrzymki papieża widziałem z bardzo daleka. Czy to jest sprawiedliwe, czy pan uważa, że panu się wszystko należy?" - No tak, człowieku, masz rację. Moja matka całe życie pragnęła być na Jasnej Górze. W końcu pojechała do Stanów Zjednoczonych i tam umarła, nie zdążyła zrealizować tego marzenia, tej potrzeby. Popatrz jak los ułożył: ja podchodzę pod sam Obraz, nocuję w klasztorze na Jasnej Górze. Los mi dał bez moich starań to, co było największym pragnieniem matki. Czy zasłużyłem? Wydaje mi się, że nie. Jak patrzę na poczciwość mojej matki, wielu innych ludzi, to uważam, że im by się bardziej to należało. Więc kiedy mnie zapraszają, to mam nie jechać? Nawet tak myślałem: czy zabieram komuś miejsce tam, czy przez to, że z papieżem godzinę rozmawiałem - może w tym czasie stu ludzi mogłoby mieć z Nim kontakt i pożytek z tego byłby większy... Zadaję sobie takie pytanie. Los mi daje same dobre rzeczy od jakiegoś czasu; kiedyś dawał mi niedobre. Jeszcze wszystko może się odmienić. Nie wiem, kiedy mi strzela w łeb, kiedy mnie uduszą, jaki będzie mój los. Może być jeszcze nie taki dobry. Zgoda - wielu ludzi mi pomogło, ale i ja sam coś zrobiłem...

No i teraz to podsumowanie... żeby było pełniejsze i zawierało rozmaite punkty widzenia, posłużę się niemal już moim archiwum. Są w nim te czki z korespondencją, teksty wywiadów, projekty różnych wystąpień, sporo taśm magnetofonowych, wreszcie "dziennik czynności" założony po powrocie do domu z internowania, na początku 1983 roku. Oczywiście w tak pomyślanej pracy muszę się odwoływać do zespołu moich współpracowników, którzy w ciągu paru ładnych lat wspólnej drogi, mając nieskrepowany dostęp do tych materiałów, a także do mojego domu - zdołali zebrać sporo uwag na mój temat na własną rękę. Myślę, że poznaliśmy się na tyle dobrze, że w końcu ich wiedza o mnie atąła się moją wiedzą o sobie. Mamy wiele wspólnych poglądów, spotkaliśmy się wszyscy dążąc do tego punktu z różnych stron i środowisk społecznych, mając różne rodowody lecz jedną wspólną sprawę naszego pokolenia -

Solidarność.

Gdańsk, maj 1986 rok

## Pielgrzymka

Kimo wszelkich spekulacji, wątpliwości, wahań wyrażanych z różnych szczebli i pozycji społecznych, z pozycji władz, przekazywanych mi pośrednio w pytaniach w trakcie częstych w tym okresie wywiadów prasowych - nigdy ani przez chwilę nie miałem cienia wątpliwości: pobyt Ojca Świętego wśród nas przyniesie dobre owoce. Dawałem temu wyraz, przecinając

wszelkie wątpliwości, będąc o tym głęboko przekonany. Rok wcześniej, podczas stanu wojennego w odpowiedzi na starania Episkopatu Polski, władze bezpieczeństwa przedstawiły "Notatkę dotyczącą przewidywanych zagrożeń w przypadku przyjazdu Papieża do Polski w sierpniu 1982 roku". Głównie argumentowano rzekomym istnieniem w kraju około 350 grup i organizacji młodzieżowych o tendencjach terrorystycznych, znaczną ilością nielegalnie posiadanej broni, amunicji i materiałów wybuchowych. Znalizmy te argumenty. Tak właśnie przedstawiano społeczeństwu od czasu wprowadzenia stanu wojennego. Tuż przed 1 Maja 1983 roku, władze wyraźnie zapowiedziały, że demonstracje pierwszomajowe mogą narazić nadchodzącą wizytę Papieża. Z drugiej strony byłem w stałym kontakcie z Prymasem. Miałem do czynienia ze zrozumieniem, ale i z wyrażanymi w różnych kręgach kościelnych - wątpliwościami. Brałem także pod uwagę stanowisko cieszącej się znacznym poparciem Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej w sprawie obchodów święta pracy. Nie chciałem, żeby ludzie znowu musieli z czegoś autentycznego zrezygnować na warunkach dyktowanych szantażem. Uważałem także, wspierany w tym przekonaniu przez Prymasa, że należy zaufać poczuciu odpowiedzialności narodu. Sformułowania z konferencji prasowej poszły w świat, przecięliśmy wątpliwości, była to chyba dobra robota. Przypomnieliśmy władzom minimum naszych warunków: powrót do zasady pluralizmu związkowego i uprawnień samorządowych, przywrócenie pełni swobód obywatelskich i twórczych, odnowa systemu przedstawicielskiego narodu. Sprawa pielgrzymki po obchodach pierwszomajowych była na dobrej drodze. Gdańsk nie znalazł się na tej trasie, otwarta pozostawała kwestia ewentualnego mojego spotkania z Ojcem Świętym. Miałem pełne zaufanie do Papieża, że sokołkisk postanowi - tak właśnie będzie najlepiej. Ale atmosferę społeczną kształtowały nie tylko nasze wzajemne odczucia, intencje. O stan świadomości społecznej prowadzona była nieprzebiegająca w sposób walki - ze strony propagandy. Byłem atakowany na każdym kroku w prasie i telewizji i ten nieustający napór stwarzał sytuację w której decyzja Ojca świętego odbycia spotkania ze mną, w jakiegokolwiek formie, stawała się decyzją wbrew wszelkim stanianym mi zarzutom. Papież niejako musiałby się zmierzyć z argumentacją propagandową i odeprzeć ją, oczyszczając mnie tym samym. Myślałem, że władze dobrze zdawały sobie sprawę, ile waży Jego decyzja o wyznaczeniu mi spotkania. Nie kalkulowałem tego w momencie, gdy trzeba było zgodnie z obowiązującym watykańskim protokołem, wystąpić z prośbą o audiencję. Raczej mierzyłem i sądziłem według wewnętrzznego poczucia wiary z Ojcem Świętym, jaką odczuwałem zawsze, od czasu przystąpienia do strajku. Tamten akt mieścił w sobie i obejmował zobowiązanie moralne, że idziemy drogą, która jest wspólna, na której wspieramy się o zasady społecznej nauki Kościoła, że ją wypełniamy, a nawet stwarzamy pewne nowe fakty, na zasadzie współtwórców praktyki tych idei. Bilans wewnętrzny, który przeprowadziłem sam ze sobą - wskazywał mi, że mam moralne prawo poproszenia o spotkanie. Wróciłem myślni do października 1976 roku, do momentu, który tak nas zastanowił i wstrząsnął do głębi: tam na Stolicy Piotrowej jest Polak, wstrząsany Papieżem... I wkrótce potem Jego pierwsza pielgrzymka do Gieczawy. Fakty i nas świat jakos wybrał, dostarczył, każdego z nas zobowiązał do podniesienia

się ... Stanęliśmy obok siebie na tej pielgrzymce, policzyliśmy się - byliśmy nas miliony podobnie odczuwających, uradowanych. Cała grupa Wolnych Związków Zawodowych z Gdańska szykowała się na wspólny wyjazd, mieliśmy jechać moją "warszawą" z Anną Walentynowicz, Bogdanem Borusewiczem i resztą składu. I tu pech, zwykły, banalny traf: samochód popsuty, a ja nie mogę uzyskać urlopu - jestem pierwszy miesiąc w nowej pracy w "ZREMBIE". Pojechaliśmy beze mnie, pani Ania widziała Papieża z daleka na białych w Gnieźnie. Opowiadała. Zwątpilem, że w niedzielę w dniu wolnym od pracy uda mi się dojechać gdzieś na trasę pielgrzymki - władze podawały komunikaty, z których wynikało, że nastąpi już albo zaraz nastąpi gigantyczny sator komunikacyjny. I człowiek zwątpił. Bo też nie było tak jasnej wizji, co może przynieść osobiste uczestnictwo podczas spotkania z Papieżem. Było się w tym czasie na innej jednak fali, w szamotaninie, uwikłaniu w codziennosci życiowe... Tak nieraz traci się piękne chwile i one z reguły nigdy się nie powtarzają. Mnie miały się jednak powtórzyć.

W styczniu 1981 roku z pielgrzymką - delegacją powstałej "Solidarności" byłem przyjmowany przez Ojca Świętego w Watykanie.

W dwa i pół roku później, 14 maja 1983 roku wysiałem w jakimś innej sytuacji przewidziany watykańskim protokołem list do Papieża: "Nie chcemy jednak żyć przeszłością, napawać się gorzycą i bólem. Patrzymy w przyszły czas. W imię przyszłości osmielałem się prosić Cię, Ojczyce Święty, o audiencję". Nie chciałem zbyt obszernie tłumaczyć się z użytych sformułowań, sprawa starań o spotkanie z Ojcem Świętym - przede wszystkim rozgrywa się na planie osobistym, religijnym. Jednak pewien nacisk położyliśmy formułując list - na otwarcie w przyszłość, jeśli idzie o wydarzenia krajowe. Byłem bowiem wielokrotnie przedstawiany w oficjalnej propagandzie jako człowiek kurczowo trzymający się historycznych wydarzeń z okresu strajku, nie posiadający dostatecznej elastyczności, by określić nowe cele i umieć znaleźć się w sytuacji stworzonej stanem wojennym i jego konsekwencjami. Wyczuwałem, że i niektóre koła hierarchii kościelnej skłaniają się ku temu, by zamknąć mnie jakby w "muzeum Solidarności", gdzie miałbym zostać jego szacownym kustoszem i główną atrakcją. Nie podzielałem tych opinii, choć ta rola mogłaby być dla mnie korzystna życiowo, a co więcej - pozbawiona ryzyka działania w krainie odmiennej od sierpniowej, niekorzystnej sytuacji. Jednak cały przebieg internowania i prawie półroczny okres kontaktów z ludźmi przekonywał mnie nieodmiennie, że mam twardy obowiązek "grać dalej", aż do zamknięcia cyklu przemian rozpoczętych powstaniem "Solidarności". Nie miałem prawa wstawać od stołu właśnie dlatego, że moja wygrana osobista, choć ewidentna, nie miała żadnego znaczenia: pozycja przywódcy "Solidarności" jest rodzajem dzierżawy - danej mi nie po to, bym w pewnym momencie przetrwał partię. Udzielono mi jej po to, bym podważając ciągle stawki mógł kłaść na szalę wszystko, co osłabiam i przeważać...

Okres bezpośrednio poprzedzający pielgrzymkę Ojca Świętego był mocno urozmaicony działaniami władz: prowadzono przeciwko mnie rozmaite postępowania w kolegiach karnych, w sprawach skarbowych, także wzywano kilkakrotnie jako świadka w dochodzeniach przeciwko działaczom KOR-u. Przygotowania ze strony władz do pielgrzymki Papieża były też wykorzystywane przeciwko działaczom społecznym pod pretekstem zapewnienia

bezpieczeństwa przebiegu wizyty. Pod tymi pretekstami utrudniano poruszenie się po kraju ludziom związanym z Kościołem, jak na przykład panu Kasowickiemu. Stwarzano wrażenie, że struktury i ludzie "Solidarności" są na tym samym indeksie, co elementy awanturnicze, a kręgu których mogłoby nastąpić jakiś niekontrolowany odruch przeciwko Papieżowi. Prawdę mówiąc, nie miałem czasu ani okazji śledzić tych nikozemnych poczynąć, pochłonięty samym przebiegiem pielgrzymki i ciągle niejasną perspektywą mojego w niej udziału.

Ostateczne rozstrzygnięcie ciągle odsuwało się; stało się więc jasne, że dopiero przyjazd Ojca Świętego i Jego osobista decyzja podjęta w momencie rozpoczęcia pielgrzymki będzie decyzją obowiązującą wszystkich. Ze strony władz padły argumenty ostateczne: "ogień zaporowy" najcięższego kalibru - "Solidarność" jest zamknięta karta, spotkanie zagraża polskiej racji stanu, nawet ... pokojowi europejskiemu. Następnego dnia po przybyciu Ojca Świętego upadły zapory: otrzymana telefoniczną informację od generała Andrzejewskiego, wojewódzkiego komendanta milicji w Gdańsku, że jest zgoda władz na odbycie spotkania z Papieżem. Jego organizacją ma się zająć Episkopat.

Z kontaktów z Episkopatem wynikało, że powinienem spokojnie siedzieć w domu oczekiwać dalszych kroków. Trudno mi było utrzymać spokój. Mijały kolejne dni pielgrzymki. Trwała wędrówka wielkich mas ludzi spotykających się z Papieżem w kolejnych etapach Jego wycyty, ja zaś zostałem unieruchomiony w domu, stając się w prowadzonych pertraktacjach coraz mniejszą częścią dziejących się w kraju wydarzeń....

W tym czasie osobisty kontakt z mną nawiązał wydelegowany niejako do tej sprawy biskup pomocniczy diecezji gdańskiej ks. dr Tadeusz Gociowski, który dopiero w szóstym dniu pielgrzymki, we wtorek po południu, przywiózł mi z Poznania datowane dzień wcześniej oficjalne pismo Prefekta Domu Papieskiego arcybiskupa Jacques'a Martin informujące, że "Ojciec Święty Jan Paweł II przyjmie Pana wraz z Rodziną na audyencji prywatnej w rezydencji Arcybiskupa Metropolity Krakowskiego /Kraków, ul. Franciszkańska 3/ we czwartek, 23 czerwca br. o godz. 9.00".

Nazajutrz z Danutą i czwórką chłopców, wraz z księdzem biskupem Gociowskim, dowieziono nas podstawionym mikrobusem w eskorcje milicyjnej na lotnisko wojskowe w Pruszczy Gdańskim. Stąd wojskowym helikopterem wystartowaliśmy do Warszawy. Tam nastąpiła zmiana towarzyszącej nam obstawy - pojawili się funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu znani mi z okresu internowania w Arianowie. Dowódca grupy poinformował biskupa Gociowskiego o zmianie scenariusza: celem lotu miało być Zakopane, a nie wymieniony w zaproszeniu Kraków. Spotkało się to z ostrym protestem biskupa, zaskoczono go nagłą i nieuzgodnioną zmianą. Odmówiono mu możliwości skontaktowania się z władzami kościelnymi dla ewentualnego potwierdzenia i wyjaśnienia zmian. Mimo pisma Prefekta Domu Papieskiego, które miało w kieszeni, poczułem się znowu jak więzień Arianowa. Biskup Gociowski, choć osobiście mocno poruszony nie praktykowany wobec przedstawicieli hierarchii Kościoła sposobem postępowania władz ostatecznie uznał, że jesteśmy bezpieczni, ponieważ całej sprawie spotkania patronuje watykański Sekretariat Stanu. Wylądowaliśmy w pobliżu Cyrhli w Zakopanem przy pięknej słonecznej pogodzie. Odciano nam do



dyspozycji pustą willę, w której czekał nas nocleg. Wieczorem, w środę wiedziliśmy, że do spotkania w Krakowie nie dojdzie. Myślałem o tej złożonej sytuacji, w jakiej się znalazłem. Błądząc myślami w przeszłości przypomniałem sobie, jak w latach siedemdziesiątych we trójkę z Lenarciakiem i sekretarzem oddziałowym partii, wszyscy ze stoczni - pojechaliśmy do Piotrkowa Trybunalskiego w pobliże Łodzi, zobaczyłem głośno w całej Polsce zjawisko - cud. Na drzewie miała się tam ukazywać twarz Chrystusa. Jak to jest z tą wiarą człowieka? Człowiek niby wierzy, a jednak chciałby potwierdzenia ... Tak też tam i było - jedni przyjeżdżali z głębokiej wiary - Lenarciak im bliżej podchodził tym wyraźniej widział Twarz. Sekretarzowi coś się pojawiało, oczami mrugał, przyglądał się - znikało. Nie był pewny. Rozglądał się wokoło. Patrzył jak inni reagują, dopytywał się czy oni coś widzą, popatrywał na dziewczyny ...

I wtedy właściwie każdy odjeżdżał z tego miejsca z tym, z czym przyjechał - ci co wierzyli, jeszcze się utwierdzili, kto nie wierzył - nic nie zobaczył, chyba, że przyjeżdżając chciał się mimo wszystko znaleźć bliżej Boga. Odchożąc wtedy myślałem: nie mogę powiedzieć, że nie, raczej - tak - ale głowy też dać nie mogę; a i wyprzedzić się nie mogę. Gdyby ktoś mówił, że nie, to ja mówię - b y ł o , a jeśli ktoś mówił, że b y ł o , to ja mu daję wątpliwości: no, a dlaczego to nie było jaśniej, wyraźniej?

Z wiarą jest trudna sprawa i trzeba się przekonać samemu. Trzeba obserwować świat i wszystko z czym się spotykamy. W człowieku prawie wszystko przemawia za wiarą, w przyrodzie także, we wszystkim z czym mamy do czynienia. O ileż łatwiej znieść jest z wiarą trudności i cierpienia, ale też ta świadomość nie może być wykalkulowana. To nie jest układ z Bogiem... Bo człowiek jest jednak kanciarzem, gdyby to był układ, a nie stosunek oparty na dobrej woli i wewnętrznych rozliczeniach, człowiek szybko założyłby sobie tysiącarkową zeszyt i skrupulatnie zapisywał wszystkie dobre uczynki, żeby ktoś tam mu nie zapomniał. Jeden wypychał się przed drugiego ... W tym jest właśnie mądrość, że ta Twarz była taka niewidoczna w sumie i mogliśmy odjeżdżając pozostać sobą, ludźmi z wolną wolą.

Ranek na Cyhrlu przywitał nas piękną słoną pogodą. Mięt z obstawy nie pojawił się w pobliżu, nie widać było żadnych oznak pośpiechu, a przeciż nasze zaproszenie wyznaczało spotkanie z Papieżem na godzinę 9.00. Zeszliśmy wszyscy - już ubrani na dół, w jadalni podano śniadanie. Przyniosła je bez słowa kelnerka. W pierwszej chwili pomyślałem, że to nienowa. Po śniadaniu borowiec znany mi z Ariemowa widząc nasze zdenerwowanie zapytał, czy mam jakieś życzenia? Ludzie z ECR-u reprezentowali jednak inną klasę, niż ci, z którymi w Gdańsku miałem na codzień do czynienia. Była to klasa uprzejmych automatów.

- Owszem, tak - odpowiedziałem - wsiadamy do samochodu i jedziemy do Krakowa, do Papieża.

- A, tego nie możemy zrobić ...

- W takim razie niech pan sobie daruje te żarty, skoro wszystko zostało za bez nas postanowione i zaplanowane. Chcielibyście do tego jeszcze naszej zgody, akceptacji na wszystko, co z nami robicie? Niech już raczej zostanie jak jest...

W takiej atmosferze minęła godzina dziewiąta, zbliżała się dziesiąta... Wreszcie poproszono nas do auta, ruszyliśmy

wikrobusem w stronę Zakopanego. Wzięto nas bocznymi ulicami, później wyjechaliśmy na szosę prowadzącą za miasto, wreszcie skręciliśmy w wąwóz Doliny Chochołowskiej. Byłem tu po raz pierwszy w życiu. Zabudowania góralskie, piękna, otoczona szczytami gór, wypielniona słońcem dolina wydawała mi się wymarła. Na skrzyżtu jednak wyłoniła się sylwetka idącego poboczem drogi gwałta. Sięgnąłem przy oknie i kiedy mijaliśmy go, musiał mnie poznać, bo wyciągnął rękę w górę z palcami w kształcie litery V. Odzajemnielem pozdrowienie.

- Podnosi palce, a nawet nie wie, co to znaczy - zareagował borowiec.

- Wystarczy, że ty wiesz, co to znaczy - odpowiedziałem mu. Ten gest sprawił, że poczułem się pewniej, wszystko wróciło na swoje miejsce.

W pustym schronisku na Kościu Doliny wprowadzono nas na drugie piętro do pokoju i znowu poleceno - czekać.

Pytano mnie wielokrotnie o przebieg spotkania z Ojcem Świętym. Jakby miały się wówczas rozgrywać jakieś sprawy, nadające się do relacjonowania, jak mecz... A to jest raczej moment wewnętrznej prawdy o sobie, swoim życiu, swoich działaniach, swoich nielkościach, swoich "ciemnych miejscach". Czyż są ludzie ich obchodzeni? Ważny jest bilans, trzeba go dokonać i trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie: czy mam coś do ofiarowania. Coś nowego. Różnie ludzie reagują na spotkanie z Ojcem Świętym, niektórzy potrafią o tym opowiadać, nawet pisać... W Jego obrotach, pochyleniu ciała, geście, wyraża się jakby wielka troska o człowieka. O twoje problemy, o ciębie, o twoje sprawy. Ta troska wytwarza klimat, który zachęca do szczerości i prostoty, to jest propozycja odrzucenia niewygodnej pozycji, którą przyjął walcząc z zyciem, sztuką z losem. Bo On proponuje ci swoją wielką troskę o ciębie, która ciębie rozumie, która chce cię podnieść, wręczcie i ty sam chcesz siebie podnieść. Wzrost. Tak wysoko, jak tylko potrafisz sięgnąć jako człowiek. Ja patrzę jeszcze inaczej. Patrzę na wielkie stopy Papieża. Na Jego krok. Szokują, obaliskow, sziaap, sziaap. Krocząc, wyraża swoje zamierzenie. Jest z tym spokój, pewność, swartość, uwaga, poczucie celu. Ja od Jego kroku nabieram sił. Ten spokój jest i obód jest początkiem mojego myślenia o Nim. Tak blisko widzę Jego postać, jak zbliża się i ja mam Mu wyjść naprzeciw i powinienem być na to gotowy.

W schronisku w schronisku przedkładało się. Chłopcy zaczęli kłócić się w niewielkim pokoju. Biskup Gołowski wynegocjował z obrotową rozliwów wyjścia na zewnątrz, na słońce przed budynem. Tutaj pomiędzy borowcami a mną wywiązała się rozmowa na temat okresu internowania. Był taki jeden z wielu incydentów - upomniechniano moje zdjęcie spędzającego święta w czasie internowania przy stole zastawionym butelkami z alkoholem, do niego nawiązywałem:

- Pamiętacie chyba dobrze, że w czasie świąt nie było żadnego alkoholu, przecież byliście przy tym. Skąd wzięły się butelki na zdjęciach? Miśkade zagranie, nie fair, ja lubię grę czystą. Zagadnięty borowiec dał wyraźnie do zrozumienia, że dystansuje się od takich metod:

- Panie przewodniczący, takie zabawy, to nie nasza działka. Zaczęło się zbieranie autografów przez członków obsługi, choć wzbraniałem się przed położeniem podpisu na podkuniętych mi. zdjęciu Papieża. Do rozmowy włączyła się "niema" do tej pory, obsługująca na miği w willi rządowej na Cyhrii, kelnerka, dopiero tutaj, przed schroniskiem wszyscy stali się rozmowami,

Najmłodszy z synów i najmłodsza przylepa, siedmioletni Jarek zagaśnął "ochrzcniarza", czy owoce mają tutaj wstęp, bo pasty się spokojnie na zielonych zboczach doliny.

- A może to nie baranki, tylko wasi borowcy? Sytuację tę utrwalił Jacek Fedorowicz, niezależny popularny artysta - plastyk, satyrk, człowiek wielkiej kultury, dowcipu i serca w trafnej, zabawnej grafice pokuszającej całą tę sytuację w Dolinie Chochołowskiej.

O 11.45 atmosfera uległa zupełnej zmianie. Borowcy, po otrzymaniu sygnału o zbliżaniu się kolumny samochodów w Ojca Świętego, wyjeżdżali detektory i żarzem, ale szczególnie objechali nas: Danutę, mnie i chłopców. Biskupa Gocłowskiego pozostawiono poza podejrzeniami. Polecono nam wrócić do pokoju na drugім piętrze. Tam pół-żarzem podałem teoretyczną możliwość podstawięcia jakiegoś sobowótora... Napięta atmosfera ostatnich dni osakmniała na to spotkanie dawała znać o sobie. Wykorzystało się ciśnienie, w którym wszystko było możliwe, każdy chwyt. W końcu surrealistycznej konwencji poddał się nawet biskup Gocłowski, znający od lat kardynała Wojtyłę. Zapewnił, że będzie w stanie wykluczyć powyższe, niemniej udał się na półpiętro i obszarował przez okno podjazd kolumny papieskiej, złożonej z trzech samochodów. Z pierwszego wysiadł ksiądz Wiktor z kręgi krakowskiej, kardynał Franciszek Macharski, kapelan i ojciec Stanisław Dziwisz i na końcu - Papież. Nie było utępiłości! Wziąłem w ręce dar dla Ojca Świętego - Iódz z grzebnem zakończonym mocną zamkniętą cionką, tymi Jacek Krzyż. Ojciec drzwi i ruszyliśmy po schodach w stronę gór, gdy Ojciec Święty wchodził do góry. Spotkaliśmy się w pół drogi, na półpiętrze, w hallu, na zapleczu którego jest duża sala jadalna. Ksiądz wskazał pokój do rozmowy, jednak kapelan papieski ks. Paweł zauważył, że lepiej pozostać tutaj. Ojciec Święty potrząsnął to skłineniem, dodając z uśmiechem: o czym będziemy rozmawiać? Umiałem przy tym w znanym gestie ręce ku górze i śmiać, jakby chciał powiedzieć, że i one są świadkami naszej rozmowy... Zrosnąłem.

Ojciec Święty przywitał nas bardzo serdecznie. Siadaliśmy na wielkiej ławie, tuż przy drewnianych schodach, która postawiona na staliku przed nami. Zaczęła się rozmowa, w której Ojciec Święty cały wsłuchiwał się w to, co mówiliśmy. Został sobie wówczas sprawę, że powinniśmy porzucić te słowa - "Świętem" i o słowach, o ludzkości, których znam, jak widać było, co czuje, jakie ma nadzieje. Stawiałem sobie szczerą pytanie: "Świętem to, co czulem. Rozmawiać mi się tak, jak u mnie w domu - spokojnie, bez żadnego napięcia. Nie czulem żadnej troski... Czy to dobrze, czy źle? Chyba - na moim miejscu - to dobrze. Po godzinie się tremowałem, zastanawiałem, to byś nie mógł powiedzieć.

Na koniec nawiązałem do zamachu na Ojca Świętego sprzed dwóch lat i spytałem o zdrowie. Odpowiedź była pogodna:

- Nie gorzej niż przedtem. Jestem tylko starszy o dwa lata. Wiedziałem, że Ojciec Święty przyjechał tutaj, w górę, dla odpoczynku - nie chciałem przedłużyć spotkania. Czas tego spotkania wydawał mi się tak krótki, a okazało się, że sama rozmowa trwała czterdzieści minut. Jeszcze przekazałem wódz dar, Piotrową Iódz, którą zaraz zainteresował się ks. Dziwisz. Ojciec Święty rozdał nam wszystkim różańce, a mnie dodatkowo kopertę zdjętą z osobistym Jego okolicznościowym autografem:

- Jak nie będą wierzyli, że był pan na spotkaniu z Papieżem, zostawi pan ten obrazek - dodał na koniec i pobłogosławił. Rozmawiał ciepło z Danutą, z chłopcami. Wzrost także osobisty

fotograf Ojca Świętego, który zrobił pamiątkowe zdjęcia. Jeszcze krótka wymiana zdań z nieznanym mi dotąd osobicie kardynałem Macharskim, uściski dłoni i Cjciec Święty przeszedł do pokoju obok, żeby zmienić buty, a my zeszliśmy na dół. Tam już czekał mikrobus z naszymi rzeczami. Powoli wchodziliśmy do środka. Chciałoby się jeszcze trochę pozostać, popatrzeć chociażby z daleka na Ojca Świętego, na biel Jego postaci na tle zielonych lasów i wysokich gór... Ruszyliśmy, by na pierwszym zakręcie zobaczyć białą sylwetkę wychodzącą ze schroniska w towarzystwie kardynała Macharskiego i paru jeszcze osób. Szybko dowieziono nas - w tym samym składzie, jak poprzednio - do wojskowego helikoptera, który stał w pobliżu papieskiej maszyny, u wylotu Doliny Chochołowskiej. Gdy dojeżdżaliśmy, silniki już pracowały - czekano na nas. Start i powrót do Gdańska z międzylądowaniem w Modlinie. W Fruszczu Gdańskim, na lotnisku wojskowym zaproponowano odwiezienie księdza biskupa Gociłowskiego specjalnym samochodem, my mieliśmy wracać mikrobusem. Ksiądz biskup sprzeciwił się rozdzieleniu nas, jechał z nami aż do naszego domu. Tutaj mogliśmy jeszcze zobaczyć w telewizji pożegnanie Ojca Świętego na lotnisku w Balicach pod Krakowem. I start samolotu papieskiego kierującego się na Rzym. Zamykały się wydarzenia ośmiu wspaniałych dni, dni, w których mogliśmy zobaczyć samych siebie, umocnić się w nadziei, przełamać atmosferę strachu i beznadziejności.

W dwa lata później, zimą, w lutym 1985 roku ponownie odwiedziłem Dolinę Chochołowską. Była zupełnie inna sceneria. Śnieg, sanie, rozmowa z góralami, wszystko odmienione, trudne do poznania.

Po raz pierwszy w życiu byłem wraz z rodziną na zimowych wczasach w górach. Gościem u księży Pallotynów w Zakopanem na Skibówkach.

Tak na marginesie muszę powiedzieć, że dotychczas wiele normalnych dla innych ludzi rzeczy omijało mnie, jakbym nie nadągał. Tak było od dziecka: za późno miałem rower - wtedy, kiedy moi rówieśnicy jeździli motocyklami. Później doganiałem to życie w biegu, douczałem się poprzez rozmowy z ludźmi, nadrabiałem braki w wykształceniu. Kontakty z ludźmi stały się "moim uniwersytetem". I tu w Zakopanem byłem po raz pierwszy jako zwykły wczasowicz ...

Nigdy też wcześniej nie miałem okazji kontemlować gór, szczególnie zimową porą, kiedy są tak ciche, czyste, tiumią cały ludzki gwar. Na wczesny wykorzystaliśmy okres ferii szkolnych dzieci. Wspólnie z nimi stawiałem tutaj pierwsze kroki na nartach pod okiem Andrzeja z zakopiańskiego znanego rodu Bachledów. Dzięki zapisowi "Dziennika" odtwarzam szczegóły towarzyszące temu wyjazdowi w góry:

Z Gdańska wyruszyliśmy o dziewiątej. Pierwszy etap podróży, w której mój mikrobus eskortowali księża Pallotyni wraz z panią prof. Joanną Pensonową zakończył się noclegiem w Warszawie, u sióstr obok siedziby Sekretariatu Episkopatu przy ul. Żytniej, róg Placu ks. Kardynała Wyszyńskiego. W godzinach wieczornych odwiedzili mnie tutaj B. Ceremek, T. Mazowiecki i A. Celiński. Przedstawił mi m.in. do akceptacji apel w sprawie pomocy dla głodującej Etiopii oraz poparcie dla Elie Wiesela jako kandydata do Pokojowej Nagrody Nobla w 1985 roku. Oba dokumenty nie nabrały szerszego rozgłosu. W godzinach wieczornych odbyła się także rozmowa z księdzem Alojzym Orszulikiem, dotycząca sytuacji społecznej. Opinie ks. Orszulika na te tematy były realistyczne, pomocne w wypracowaniu sarszczelnego poplądu



na rozwój wydarzeń.

W dniu następnym wyruszyliśmy do Zakopanego z krótkim postojem w Częstochowie, połączonym z nawiedzeniem Sanktuarium Jasnogórskiego gdzie mnie, jako konfratry Paulinów, a także moją rodzinę, powitał serdecznie ksiądz odpowiadający w tym dniu nabożeństwo / Miedziela/. Po obiedzie udaliśmy się w dalszą drogę. Do Zakopanego na miejsce przyjechaliliśmy około godziny osiemnastej. Zakopianiecy Pallotyni opiekujący się Sanktuarium Matki Boskiej Fatimskiej, posiadający duży, trzypiętrowy, wygodny dom - przygotowali znakomicie zorganizowany wypoczynek. Z jednej strony - obowiązywał pewien reżim, wynikający z charakteru i zwyczajów domu, polegający na uczestnictwie w rannych wspólnych modlitwach i wieczornych mszach świętych, regularnych posiłkach we wspólnym refektarzu. Z drugiej - był czas na codzienną, systematyczną naukę jazdy na nartach na pobliskim stoku - Budzowskim Wierchu, gdzie z zapałem i systematycznie, a także z pewnym uporem rozpoczęłam pod kierunkiem instruktora pierwsze kroki na deskach. Jeździli też wszyscy chiopcy i jeden raz Danusia. Pierwszy wykruszył się najmłodszy syn - Jarek; na samym początku złamał nogę i wyładował w gipsie. Codzienny rytm wypoczynku urozmaiciły dwa kuligi - pierwszy do Doliny Kościelskiej, drugi - szlakiem spotkania z Papieżem - do Doliny Chochołowskiej. Oba kończyły się wieczorem, przy zapalonych pochodniach.

Wieczorne msze święte w kaplicy Matki Boskiej Fatimskiej były okazją do spotkań z góralami, zespołami, które przychodziły koncertować - śpiewać i grać podczas nabożeństw, a także z miejscowymi działaczami i licznie w Zakopanem przebywającymi w tym czasie wczasowiczami.

Była okazją do wystąpień od oitarza - wystąpień podkreślających bardzo bliski związek ideałów "Solidarności" z nauką Kościoła, była też okazją do rozmów poza kaplicą, służących zaprezentowaniu poglądów i wypracowanych w tym czasie stanowisk "Solidarności" na wiele aktualnych kwestii.

W czasie przeznaczonym na sport, w kolejce do wyciągu, rozdałem kilka tysięcy autografów, obrazków, zdjęć, uścisków dłoni - słowem miałem wiele dowodów życzliwego zainteresowania ze strony ludzi.

W czasie pobytu w Zakopanem na prośbę księdza Jancarza udałem się do Krakowa, aby wziąć udział we mszy św. w kościele św. Maksymiliana Kolbego w Mistrzejowicach. Po nabożeństwie udzieliłem wywiadu dla miejscowej sieci wideo na aktualne tematy. Mówiłem:

- Nie wierzę, żebyśmy mieli szansę przegrać, postawiliśmy na konia zwycięskiego. Problem jest w czasie i w cenie. Jeśli chcemy mniej płacić to się wyciąga w czasie, jeśli byśmy chcieli szybciej - musimy płacić. Już dziś moglibyśmy na wielkie zwycięstwa iść - ale po co płacić tak wysoko, przecież naprawdę mamy ten kraj, to co się teraz dzieje "od dołu" - jest bardzo cenne. Nie ma miasta żeby takich spotkań nie było, jak nasze dzisiejsze, żeby ludzie nie brali właściwego namiaru, do korzeni. To jest piękne, to jest naprawdę fenomen polski. I stąd nie ma co tego przerywać, sztucznie przyspieszać dojrzewania. Trzeba się dopracować rozwiązań, trzeba poprawić koncepcje i ludzi, trzeba budować powoli.

Zakopianiecki spotkania przyszyły po najterdzień dramatycznych chwilach od czasu wprowadzenia stanu wojennego, gdy Polska stanęła na krawędzi nieobliczalnego rozwoju wydarzeń: było to już po mordzie dokonany na księdzu Jerzym Popiełuszce, w trakcie

toczącego się procesu jego bezpośrednich zabójców. Jaka Polska miała się wyłonić z tych dramatycznych wydarzeń? To pytanie zadawaliśmy sobie wszyscy... Tak wyglądał mój "okres zakopiański", który rozpoczął się spotkaniem z Papieżem w górach i jestem Mu za to "wprowadzenie" wdzięczny...

Po pielgrzymce Papieża wracałem myślami do obrazów, które pozostały w pamięci. Przemowa generała Jaruzelskiego w Belwederze wobec Ojca Świętego wygłaszana na granicy zawału serca... Nie zapomnę nigdy widoku człowieka, który trząsł się jak osika, choć stała za nim siła, która chciała powalić nas na kolana. A naprzeciwko niego - biała, pochylona, skupiona i zatroskana postać Papieża. Dwóch Polaków... I przepaść dramatu między nimi. Czy kiedykolwiek Polska będzie miała takie szanse, które mijają, zaprzepaszczone, te wspaniałe chwile i czy rzeczywiście jest tak, jak w słowach poematu Karola Wojtyły - że "godziny wciąż wracają na wielkiej tarczy historii"? Czy wrócą?

Potem jeszcze nieoczekiwane spotkanie na Wawelu, w Krakowie, w przeddzień mojego spotkania z Papieżem - Jaruzelski na Zamku Wawelskim w komnacie królewskiej z Papieżem. W miejscu, gdzie bije najżywiej serce historii naszego narodu z okresu jego największej świetności i znaczenia w Europie. Cisza wokół tej rozmowy... W kominku komnaty tylko trochę popiołu ze spalonej kartki papieru. Ale jest powszechne przekonanie, że padły tam ważne przyrzeczenia: stopniowego przywracania podmiotowości narodu, w wielu konkretnych, potrzebnych formach.

I co się dzieje? W połowie sierpnia tegoż roku zostaje rozwiązany jeden z ostatnich niezależnych związków twórczych - Związek Literatów Polskich i Zarząd PEN-Clubu. 26 sierpnia w komunikacie Episkopat Polski krytycznie ocenia władze, że nie skorzystały z wizyty Jana Pawła II jako szansy porozumienia narodowego.

## Z obchodów Bożego Ciała w Gdańsku



## Imodlić się nie przestanę... c.d.

Z okolic pobliskiej hali sportowej ktoś wypuścił stada gołębi. "Gołąbki pokoju"? Nie dowiedziałem się, kto zorganizował tę fruwającą manifestację na cześć "Papieża - Polaka orędownika pokoju" - jak informowała witająca, a następnie żegnająca /wystarczy tylko zmienić słówko "witamy" na "żegnamy"/ plansza na Okęciu. Widziałem natomiast, jak furkot niewinnego opektwa przyjęty został przez wiernych na Zaspie obojętnie, żeby nie powiedzieć - podejrzliwie.

O 15.20 moment historyczny. Ojciec Święty wstępuje na oltarz - oltarz od Gdańska. /A ma do przebycia pięćdziesiąt trzy stopnie/. Papież na oltarzu, a w moim polu widzenia pojawia się jeszcze jeden transparent: "Solidarność żyje" - a może raczej ... odżywa?

Powitanie wygłasza Biskup Gdański, Tadeusz Gocłowski. Spokojnie i dobitnie. W głosie świętego mówcy - żywość, radość, energia. Rozpoczyna się celebracja Mszy Świętej, podczas której Papież wygłosi homilię do ludzi pracy. Wyczyna się wielkie oczekiwanie na papieskie Słowo. Co powie? Co i jak nazwie i wyjaśni? Jaką drogę wytyczy? Papież przybył tu na spotkanie z milionową, a może i większą rzeszą swych rodaków: rozgoryczonych nadal utratą historycznej szansy z lat 1980-81, zgnębionych długotrwałym i rozległym kryzysem ekonomicznym, pozbawionych wizji wyjścia z impasu. A ... bez wizji i bliskości wszystko jest chaosem, zaś życie staje się nie do życia. Jan Paweł II - wiadomo to nie od dziś - posiada ów "dar" wizji i bliskości i obdziela nim, pielgrzymując, cały świat. Albowiem dokładnie wie i rozumie - jak to pięknie napisał po I pielgrzymce Papieża do Polski ks. Mieczysław Bednarz - "jak bardzo ludziom do życia potrzebna jest wizja rzeczywistości zanurzonej w bliskości Boga nadziei, w bliskości ojcostwa, macierzyństwa i braterstwa ludzkiego". Znaki gdzieś transparenty, wycichły okrzyki. Spectalulum zamienia się w Sacrum ...

Dobry Bóg zsyła na nas chmury, zasłaniające prażące słońce, a także wiatr od morza. Chmury i zbawcza bryza w jednej chwili łagodzą narastającą na Zaspie od kilku godzin duchotę. Niektórzy nawet zaczynają nakładać swetry, marynarki i wiatrowki. Przed samą homilią narasta uspokojenie tego gigantycznego zgromadzenia, w którym każdy z osobna wycisza swój codzienny niepokój, rozedrganie, czasami ból i zwątpienie, aby wysłuchać słów, które nadadzą sens, pokrzepią, uwolnią od kłamstwa. Jan Paweł II schodzi ku nam niżej, na sam dziób okrętu, na słynny już dziś papieski "mostek kapitański". Jest godzina 15.55. Na twarzach ludzi powaga i skupienie. Rozpoczyna się wielkie papieskie nauczanie. Wielkie, głoszonymi treściami i wielkie trwającym na nie oczekiwaniem. Wielkie także klasą mówcy, który przed nami stanął.

### **"Solidarność - to znaczy: jeden i drugi ..."**

"... Praca ludzka. Jeszcze raz wyrażam radość, że rogu na tym etapie Kongresu Eucharystycznego być z Wami w Gdańsku. W tym mieście bowiem, a równocześnie na całym Wybrzeżu Bałtyckim oraz i w innych środowiskach pracy w Polsce, podjęto ogromny wysiłek, zmierzający do tego, by ludzkiej pracy przywrócić jej pełny

wymiar osobowy i społeczny - mówi Papież. - Wysiłek ten stanowi w dziejach "pracy nad pracą", jak się wyraził współczesny polski myśliciel, doniosły etap. Nie tylko z polskiego punktu widzenia. Jest to etap ważny dla różnych środowisk, dla różnych rejonów współczesnego świata ..."

Rozważając przypowieść Jezusa o dobrym gospodarzu winnicy, kontynuował Ojciec Święty swój wywód następująco:  
 "Gospodarz mówi do robotników: "Idźcie ... do mojej winnicy, a co będzie słuszne, dam wam". A zatem - umowa o pracę, a' równocześnie sprawa słusznego wynagrodzenia, czyli sprawiedliwej zapłaty za pracę. Wokół tej odwiecznej sprawy narastają z pokolenia na pokolenie dzieje sprawiedliwości - i niesprawiedliwości - w stosunkach wzajemnych między pracodawcą a pracownikiem. Narasta jeden z centralnych rozdziałów kwestii społecznej. Praca bowiem leży w samym centrum tej doniosłej "kwestii". Prawda, że za pracę trzeba zapłacić, ale to, jeszcze nie wszystko. Praca - to znaczy człowiek. Człowiek pracujący. Jeśli więc chodzi o sprawiedliwy stosunek pomiędzy pracą a płacą, to nie można go nigdy dostatecznie określić, jeśli się nie wyjdzie od człowieka - jako podmiotu pracy. Praca nie może być traktowana - nigdy i nigdzie - jako towar; bo człowiek nie może dla człowieka być towarem, ale musi być podmiotem (...)"

Za pracę ludzką trzeba zapłacić i równocześnie na pracę człowieka nie sposób odpowiedzieć samą zapłatą. Przecież - jako osoba - jest on, nie tylko "wykonawcą", lecz jest współtwórcą dzieła, które powstaje na warsztacie pracy. Ma zatem prawo do stanowienia również o tym warsztacie. Ma prawo do pracowniczej samorządności - czego wyrazem są między innymi związki zawodowe: "niezależne i samorządne", jak podkreślono właśnie tu, w Gdańsku. (...)"

"Umowy gdańskie", pozostała w dziejach Polski wyrazem tej właśnie narastającej świadomości ludzi pracy odnośnie do całego ładu społecznego-moralnego na polskiej ziemi. Sięgają one swą genezą do tragicznego grudnia 1970 roku. I pozostają wciąż: zadaniem do spełnienia".

Ta część wypowiedzi Papieża przerywana była oklaskami trzykrotnie. Ale prawdziwą ich burzę mieliśmy dopiero przed sobą:

"... Człowiek nie jest sam, żyje z innymi, przez drugich, dla drugich - rozważał Jan Paweł II - Cała ludzka egzystencja ma właściwy sobie wymiar wspólnotowy społeczny. Ten wymiar nie może oznaczać redukcji osoby ludzkiej. Właśnie z punktu widzenia wspólnoty społecznej musi być dość przestrzeni dla każdego, a jednym z ważnych zadań państwa jest jej stworzenie. Ten osobowy rozwój, ta przestrzeń osoby w życiu społecznym jest równocześnie warunkiem dobra wspólnego. Jeśli człowiekowi odbiera się możliwości samorealizacji, jeśli organizacja życia zbiorowego zakłada zbyt ciasne ramy dla ludzkich inicjatyw i talentów - jest to przeciw społeczeństwu. Przeciw jego dobru ...  
 "Jeden drugiego brzemiona noście" - to zwyciężone zdanie Apostoła jest inspiracją dla międzyludzkiej i społecznej solidarności ..."  
 Oklaski.

"... Solidarność - to znaczy: jeden i drugi, a skoro brzemię, to brzemię niesione razem, we wspólnocie. A więc nigdy: jeden przeciw drugiemu. Jedni - przeciw drugim ..."  
 Oklaski i rytmiczne długotrwałe skandowanie: "Solidarność!",  
 "Niech żyje Papież!".

W takiej sytuacji Jan Paweł II przerwał na chwilę homilię i powiedział: "Powtórzę, żeby się nam wątek nie zgubił" - co wywołało radość i nową falę oklasków - a następnie kontynuował



wywód: "... I nigdy brzemień dźwignane przez człowieka samotnie. Bez pomocy drugich. Nie może być walka silniejsza od solidarności". Oklaski i długo wykrzykiwane słowo "Solidarność". Równocześnie we wszystkich widocznych w moim sąsiedztwie sektorach, a więc z pewnością i na całym placu, poszły w górę dźwięki wzniesione w kształcie literki "v". Dawno czegoś takiego Gdańsk nie widział, aż miało być patrzeć!

Wreszcie Papież przerywa tę burzę delikatnym wtrąceniem: "Właśnie chcę o tym mówić", wzbudzając ogólną radość, rozluźnienie i ponownie oklaski. To znów wstrzymuje Papieża od dalszego głoszenia homilii. Dlatego, w pewnym momencie, zupełnie rozbraja ludzi powiedzeniem, które rychło obiegło cały świat - przechodząc do historii III pielgrzymki Papieża do Ojczyzny i stając się mottem wielu artykułów i omówień tego wydarzenia oraz obecnej sytuacji w Polsce: "Pozwólcie się wypowiedzieć Papieżowi, skoro chce mówić o was, a także w pewnym sensie za was".

Tak jasno wyrażone zrozumienie i poparcie dla aspiracji narodu oraz dla ideałów społecznych, które przyświecały prowadzonej w ostatnich latach walce - wywołały tajfun radości i wdzięczności. Papież przyznaje otwarcie, że chce nadal być opiekunem Naszej Sprawy, którą niektórzy uważają za pogrzebaną? Papież doskonale rozumie nasze zgnębione milczenie i przyciśnięcie, którą niektórzy nazywają "normalizacją" ... Dlatego: - Niech żyje Papież! Tym razem jednogłośnie na milion gardeł.

Pięćdziesiąt metrów ode mnie wykwitła nowa flaga "Solidarność", którą trzyma wysoko, zmieniając mdlejące ręce, wysoki mężczyzna w zielonym swetrze /drzewiec flagi owinął dla lepszego chwytu taśmą izolacyjną/. Z tytu w EB, w trakcie ogólnej radości pojawia się nawet flaga ... filipińska /od pani Corrazone Aguno, która skutecznie wprowadza u siebie demokrację, czego zapewne i nam życzy/. Wkoło - gdzie spojrzysz - jedno wielkie szaleństwo. I być może nie doszedłby już do głosu Karol Wojtyła, gdyby nie jego znakomity refleks /w odpowiedzi na kolejne "Niech żyje", i - jak zwykle - doskonałe poczucie humoru: "Bogu dzięki jeszcze żyje" i chce mówić dalej" - powiedział, co "odsmiało" i wyciszyło falujące rzesze.

"... Nie może być program walki ponad programem solidarności - kończył swą myśl już w ciszy całego zgromadzenia. Inaczej - rosna zbyt ciężkie brzemiona. I rozkład tych brzemion narasta w sposób nieproporcjonalny".

Kolejna część tej głębokiej katechezy poświęcona zostaje więzi pomiędzy pracą a Chrystusem; pracą a Eucharystią - i miejscu w niej człowieka. Wybijają się w niej fragment następujący: "... Drodzy Bracia i Siostry. Ludzie pracy, środowiska pracy na całym świecie dziękują Wam, żeście podjęli tę walkę i trudną "pracę nad pracą". żeście podjęli tę szlachetną walkę, zmaganie się o godność ludzkiej pracy. Kościół dziękuje Wam za to, żeście ją podjęli w obliczu Chrystusa i Jego Matki /.../ Różni się dziwiłi. A może nie tylko ... może równocześnie odkrywali ... Odkrywali zapomniany wymiar całej "kwestii społecznej". I w ogóle: ludzkiej egzystencji. Praca i Chrystus? Praca i Eucharystia? A jednak tak tutaj było! I ślusznie ..."

Wreszcie, na koniec, kilka głębokich myśli osnutych na kanwie dzisiejszej Ewangelii:

Ład sprawiedliwości jest podstawowy, ale nie ostateczny.

Nie ma pełnej sprawiedliwości bez miłości.

Przyjmij Boga, który jest miłością i czerp z tej miłości duchową siłę do pracy. Do pracy nad sobą i do solidarności...

To była wielka mowa. O człowieku "powołanym do pracy", o człowieku "powołanym do chwały". Mowa otwierająca głowy i

otwierająca serca. Przypominająca o wartościach świętych, ale gdzieś tam już zapomnianych lub zapominanych. Były tam słowa wyrzające z apatii i odrętwienia, a wytyczające drogi, którymi - mimo załamania i lęków - powinniśmy się poruszać nadal. To była wielka powszechna nauka, przygotowująca naród na lata trudne - pełne wyrzeczeń i nie pozbawione cierpienia, przez które musimy jednak przejść, nie gubiąc wartości takich, jak: człowiek - wolność - miłość - solidarność ... Koszta własne przyjdzie niewątpliwie ponieść, ale Chrystus poniósł "koszta" największe. A On przecież jest dla chrześcijan światłem i celem. Dążąc do Chrystusa, trzeba pamiętać o człowieku. O jego godności, o jego prawach. A realizowanie tego postulatów w procesie ludzkiej pracy, to jedna z najważniejszych wciąż kwestii we współczesnej Polsce... Homilia zakończona, ale Ojciec Święty zostaje na "mostku kapitańskim". Zwraca się bezpośrednio do zgromadzonych ludzi i dziękuje za tak świetny oltarz. Otrzymuje gromkie brawa. Wołamy znów: "Niech żyje Papież!". Na co Jan Paweł II odpowiada rozbrajającym: "Jakoś to będzie ..." Śmiech, radość. Wszyscy śpiewają "Sto lat", które niesie się echem po kolejnych sektorach, i faluje, faluje ...

Ksiądz - lektor zapowiada długą procesję z darami. Rozpoczyna się Ofiarowanie.

Stocznicy składają polskiego orła, kombatanci - dokumentację sporu o krzyż na Westerplatte, a harcerze - stułę. Obraz św. Krzysztofa jest darem ... kajakerzy. Zrzeszenie Kaszubsko - Pomorskie składa w darze druk z fragmentem "Pisma świętego" przetłumaczonego na język kaszubski oraz replikę figury Matki Boskiej Sianowskiej. /Zrzeszenie, to wciąż autentyczna reprezentacja Kaszubów, których hymn - jak to przypomniał wczoraj Jan Paweł II w Gdyni - kończy się refrenem: "My trzymamy z Bogiem". Wśród ofiarodawców wymienionych w tej ceremonii na uwagę zasługują dziś zwłaszcza harcerze - tak widoczni wszędzie na placu Mszy świętej i na ulicach gór prowadzących. Uczynni w każdej potrzebie, pomocni w najtrudniejszych sytuacjach. Roznosili wodę, pomagali chorym. Ostrzegali także najbardziej udekorowane sektory przed smutnymi panami z herbikami Gdańka w klapach. Rozprowadzali znaczki o treści "społeczno-religijnej", na których symbol Związku sąsiadował ze stylizowaną sylwetką Matki Boskiej Częstochowskiej. Ofiarowali dzisiaj nie tylko stułę, ale również swoje czuwanie. Papież modli się.

Zbliża się czas Komunii świętej, która - jak przypomina ksiądz - lektor - udzielana będzie w każdym z sektorów. Czterystu kapłanów, poprzedzanych przez ministrantów, dotrze do najdalszych zakątków nadmorskiego parku. Ci zaś z obecnych, którzy z jakichś względów komunii nie otrzymają, będą mogli w niej uczestniczyć po Mszy przy samym oltarzu ...

Około pół godziny trwa wędrowka księży z hostią między rzeszami wiernych. Blisko 120 osobom Komunii świętej udzielił osobiście Ojciec Święty, a wśród nich małżeństwu Wałęsów.

Ojciec Święty powraca na "swoją" mostek kapitański, skąd rzęsz jeszcze zwraca się do zgromadzonych w bezpośrednich i serdecznych słowach. Wypowiedź tę warto przytoczyć obszernie:

- Dziękuję wszystkim, którzy się przyczynili do uczestnictwa, do liturgicznego wyrazu tego naszego wielotysięcznego spotkania. Dziękuję kapłanom i świeckim, dziękuję artystom, chórom, dziękuję za wszystkie dary złożone podczas Ofiarowania.

Nade wszystko dziękuję za Waszą obecność i za to, o czym ta obecność świadczy. Staraniem się w swich słowach mówić o Was i

mówić za Was. Żywię bowiem głębokie przeświadczenie, iż to, co się zaczęło dokonywać tu, w Gdańsku i na Wybrzeżu, i w innych środowiskach pracy w Polsce, ma wielkie znaczenie dla przyszłości ludzkiej pracy./oklaski/ I to nie tylko na naszej ziemi, ale wszędzie!...!

Niech ten dzień pozostanie dniem naszej wspólnej modlitwy za ludzką pracę w Polsce, za solidarność /oklaski/, za wszystkie sprawy, które są tak ważne dla Was, ludzi pracy, dla Waszych rodzin, dla całego społeczeństwa, dla całej naszej Ojczyzny. Które stanowią motywy nadziei, o jakiej mówiłem już w pierwszym dniu mojego przybycia do Polski. /...!

To, co chcemy wyrazić, jest bardzo wielkie. Musi znaleźć dla siebie przede wszystkim wyraz modlitwy, tak jak kiedyś znalazło w gdańskich warsztatach pracy, w Gdańskiej Stoczni. W tych dniach decydujących. Dzisiaj powtarzamy te dzieje do pewnego stopnia./.../ To, że dzisiaj udaje się Stąd na Jasną Górę, jest także potwierdzeniem tego, że sprawa, która nas tu wszystkimi łączy, nie przestaje być treścią mojej modlitwy codziennej. Codziennie się za Was modlę. /oklaski/ Codziennie się za Was modlę tam, w Rzymie i gdziekolwiek jestem. /oklaski/ Codziennie się modlę za moją Ojczyznę i modlę się za ludzi pracy. I modlę się za to szczególne, wielkie dziedzictwo polskiej solidarności. /oklaski i okrzyki: "Solidarność" i "Niech żyje Papież"/ Modlę się za ludzi, którzy są związani z tym dziedzictwem, w szczególności sposób za tych, którym wypadło czy wypadła ponosić ofiary z tego powodu. I modlił się nie przestane, bo wiem, że to jest sprawa wielka./oklaski/ Kończąc tą obietnicą modlitwy, wewnętrznej wiary, duchowej wiary z moją Ojczyzną i z Wami, z ludźmi pracy. Z tymi wszystkimi słusznymi, szlachetnymi dążeniami, które zmierzają do tego, ażeby życie ludzkie przez pracę uczynić bardziej ludzkim, bardziej godnym człowieka. Ażeby przez to odnowić oblicze ziemi, naszej polskiej ziemi, tak jak się o to modliłem już w pierwszej pielgrzymce na Placu Zwycięstwa w Warszawie, prosząc Ducha Świętego, aby zstąpił i odnowił oblicze ziemi, tej ziemi. Proszę Was bardzo, ażebyście byli z Papieżem również solidarni w tej modlitwie i w tej długomyślności. Długomyślności! Trzeba patrzeć w przyszłość! Trzeba patrzeć w przyszłość i trzeba zachowywać siły ducha i ciała dla przyszłości. /oklaski/ - Bóg zapłać i szczęście Boże. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus".

I znów - oprócz oklasków - było gigantyczne: "Sto lat" i "Niech żyje Papież".

A na sam koniec - po owym apelu o "patrzenie w przyszłość" i o "długomyślność" - rozległo się potężne:

- Przysięgamy! Przysięgamy!

Tak oto Ojciec Święty pożegnał nas w Gdańsku wspaniałym i nieoczekiwanym akordem. Akordem, w którym zagrały naraż wszystkie motywy nadziei. A w połączeniu z wygłoszoną wcześniej homilią

- złożyły się one na dar, jakiego chyba nie oczekiwaliśmy.

Otrzymałszy bowiem więcej niż mogliśmy sobie wymarzyć! Dar orędownika naszych społecznych i narodowych pragnień:

"... i modlić się nie przestane ..." A równocześnie, w planie drugim tego pożegnania, słowa skierowane w przyszłość, naszym zobowiązaniem. Upór, cierpliwość i długomyślność! Długomyślność w dążeniu do owych słusznych zasad, które ... "chcą życie ludzkie przez pracę uczynić bardziej ludzkim, bardziej godnym człowieka". Papież nie obiecuje nam szybkiego sukcesu, zapewnia jednak, że w tej wędrówce jest i będzie cały czas z nami.

## W Gdańsku spotkała się Polska

O godz. 18.15 Ojciec Święty schodzi z ołtarza. Atmosfera pożegnania gorąca. "Sto lat" i "Niech żyje Papież". Milion ludzi powleka chustkami. Potem śpiewamy "Boże coś Polskę ...", ze zwrotką - jak Pan Bóg przykazał, a historia wciąż przypomina. W tłumie oczekującym na wolną drogę do domu - górnicy w odświętnych mundurach, każdy z kolekcją medali i orderów. Proszę ich o rozmowę. Są z Rudy Śląskiej, jako pielgrzymka z kopalni "Halemba" oraz dwóch parafii - Matki Bożej Różańcowej i Bożego Narodzenia - opowiada przewodnik grupy, p. Stasio. Przyjechali ich tu 45 mundurowych. Przyjechali - mimo wielu trudności i przeciwności, jakie im stwarzano. Najpierw zrobili im na te dni pracę bez jakichkolwiek urlopów. A potem zaczęły się przesłuchania. - Mnie - panie, mówi z rozżaleniem Stanisław - przesłuchiwali aż dwukrotnie a ostatni raz, to trzy i pół godziny. Za każdym razem: po co organizują pielgrzymkę do Gdańska? Zebrani gromadą wkłóto nas górnicy potwierdzają, co mówi ich przewodnik. A p. Stasio kontynuuje z coraz większym gniewem i rozżaleniem:

- My, panie, pd stycznia robili dla Ojca Świętego monstranoję, żeby mu ją tutaj wręczyć. Monstrancję cunda, z węglem, 62 centymetrów wysoka - ręczna robota artystów. No to tak się zaczęli nas czeplić, tak za nami chodzili, że musieliśmy ten dar głęboko schować. I do Gdańska jej nie przywieźliśmy, bo byłoby jak wtedy, kiedy jechaliśmy na grób ks. Popiełuszki, co zatrzymywali nas po drodze osiem razy i osiem razy rewidowali autobus. Żal wielki, proszę - panie, taki żal. Ale damy ją Ojcu Świętemu w Rzymie ...

- Jak się czujecie w Gdańsku? Jak przeżywaliście Mszę św. z Papieżem?

- Panie! - wybucha ze łzami w oczach p. Stanisław - a wtóruje mu cała górnicza pielgrzymka z Rudy Śląskiej - "my tu, jak w narodowym wieczerniku!"

A oto historia podobna w wymowie, którą zasłyszałem następnego dnia po mszy na Zaspie, a którą skojarzyłem z niezrozumiałym transparentem, jaki można było tu zobaczyć. Oto w morzu wiernych, pośród setek haseł i emblematów, uwagę uważnego obserwatora zwracał napis następującej treści: "Zabrali nam wszystkie w drodze - "Solidarność" Kielce". Okazało się, że napis ten trzymała pielgrzymka robotnicza z Kielc, która mimo wielu trudności, i choć zdziesiątkowana, dotarła jednak do Gdańska. Po drodze zatrzymywano jej samochody /prywatne/, którymi z konieczności podróżowała i przeszukiwano gruntownie. Miał fiał, którym wraz z księdzem wieszono "oprawę plastyczną" grupy, został zatrzymany przez milicję pod pozorem kradzieży auta. Znajdujące się w nim dekoracje nigdy już do Gdańska nie dotarły.

Mimo szklan, z którymi spotykali się kielecczanie już od początku przygotowań do spotkania z Papieżem w Gdańsku /m.in. powszechna w zakładach odmowa udzielania urlopów na czas obecności Jana Pawła II w Polsce, a także nieudostępnienie obiecanych wcześniej autobusów/ dotarli oni jednak na Zaspę. Wzięli udział w Mszy św. i spotkaniu z Papieżem pod tym właśnie przekornym transparentem, który powstał ad hoc, w połowach zaiste warunkach i z potrzeby dania świadectwa, że Kielce z nami jednak są! /Wbrew rozległym swobodom religijnym w Polsce, o jakich nam się co ruzs mówi - ostatnio z trybuny sejmowej, głośno nowc mianowanego ministra do spraw wyznań, Władysława Lercana/.



Tak więc rozchodzimy się do domów, powracając do rzeczywistości. Książka lektor ogłasza komunikaty także po włosku. Mieszają się one z "polskojęzycznymi" informacjami o ludziach i rzeczach zagubionych:

- Justynka Trzebiatowska z Itawy oczekuje na swą babcię.
  - Piotr Kuźmiński z Wrzeszcza zgubił torby ...
  - Duszpasterstwo Ludzi Pracy Warszawa Wola - doktor Rychlicka czeka przy ołtarzu na schodach ...
  - Na panią Wajdę z Zakopanego oczekuje pani Trzebunia.
  - /- Znalaziono dowód osobisty; znaleziono również paszport.../
  - Pani Dorota Urowska z Bydgoszczy prosi o zgłoszenie się przy wozach za ołtarzem ...
- To "parafialne biuro ludzi i rzeczy znalezionych", które tego dnia "otwarto" na gdańskim ołtarzu ukazało doskonale, z jakich stron przybyło do Gdańska ponad pół miliona pielgrzymów. "W Gdańsku spotkała się Polska" - powiedział ktoś potem. I miał rację.

### Osobne sprawy

Sektory centralne rozchodzą się w szyku "bojowym". Wykryształowuje się z nich mimowolnie coś na kształt "społeczno-religijnej manifestacji pokojowej", wykrzykującej jednakże również hasła z dużej litery ... Przejdzie ona potem przez pół Wrzeszcza i narobi sporo strachu ludziom gen. Kiszczaka. On pochód, wędrujący - jak to po mszy - spacerowym krokiem, z papieskimi chorągiewkami w rękach i wizerunkami Ojca Św. w kłapach, utworzyło ponad 100 tysięcy osób, wyciekających z terenu Zaspły ulicami: Rokossowskiego, Kościuszki, Dzierżyńskiego, przez Plac Komorowskiego i Młszewskiego - do Grunwaldzkiej w centrum Wrzeszcza. Stamtąd, według zamysłu czwórki pochodu, nastąpić miał marsz pokojowy do centrum Gdańska - pod Pomnik. Większość ludzi szła jednak bardziej do domu niż gdzieś indziej, znajdując się w maszerującym tłumie trochę na fali ogólnej euforii po przeżytych niedawno chwilach, a trochę z sympatii dla owego społecznego ruchu, którego transparent niesiono na czele ... Pochód zagarnął też wielu z tych, którzy znajdowali się na jego drodze. Robiło to wrażenie! Czoło na Placu Komorowskiego, tył jeszcze za SAM-em na Żwirki i Wigury - dobre półtora kilometra. Na początku niesiono wielki transparent "Solidarności". Wznoszone okrzyki nie były raczej prowokujące, no, może z wyjątkiem jednego: "Jaruzelski na kolana!" Poza tym: "Chodźcie z nami - wybaczymy", "Nie ustąpimy", "Manifestacja pokojowa", "Solidarność" ...

Od ul. Kościuszki, na tył manifestacji, wjechały samochody milicji, które zaczęły dzielić i rozpraszać tłum na mniejsze grupki. Ferskawie przez milicyjne megafony, widok wielkiego zgrupowania milicji /podobno w Trójmieście skoncentrowano w te dni ok. 100 tys. milicjantów/, legitymowania "Solidarności" /a właściwie jej od 4 lat masowa manifestacja "Solidarności" /a właściwie jej próba/ zaczęła gwałtownie tonieć i do wiaduktu na Miszewskiego dotarło już tylko około ... 2 tysiące osób. Te właśnie resztki siadły na trotuarze i wykrzykiwały hasła. Potem zostały zaatakowane przez KC. Najbardziej oberwali ci z manifestantów, którzy bronili rzeszonych i trzymanych emblematów oraz ci - sędziacy - których podeszła przed ich widokiem milicja wspitwarzysze. To kilkunastu minutach pod wiaduktem nie pozostał nikt. Ludzie rozeszli się lub uciekli. Nie było też nigdzie w ruchu kamieni, nie było niszczenia, demolowania.

Był to jednakże niewątpliwy powrót do rzeczywistości. W tym samym czasie delegowany przez gen. Andrzejewskiego podpułkownik zwracał głowę ks. bp. Gociowskiemu, żegnającemu Ojca Świętego na lotnisku - składając na jego ręce ostry protest z powodu "bałaganu", jaki panuje w mieście. "Bałagan na mieście". Najpierw to długie, jakże cierpliwe i całkiem porządne schodzenie się ludzi z wszystkich dzielnic Polski. Milion, a może i więcej ludzi! Potem - godne, spokojne i bardzo uważne uczestniczenie we wspólnej modlitwie i głębokim rozmowie z Papieżem. Sprawne działanie w tym czasie służb porządkowych i sanitarnych, a także wzajemna życzliwość i pomoc świadczona sobie przez zgromadzonych wiernych. Wreszcie na koniec - sprawne i kulturalne opuszczenie olbrzymiego terenu piaszczystego parku. Byłem na tym terenie w dzień po Mszy: nie ziamano tu ani jednego drzewka, nie zdeptano ani jednego krzewu. Nie zauważyłem też ani jednego porzuconego papierka - jeśli tu nawet jeszcze wczoraj był, to wiedzieć warto, że podniósł go i wrzucił do celofanowego worka ten sam społeczny porządkowy, który przed mszą wpuszczał do swojego sektora wiernych, a zaraz po mszy, wraz z kolegami, zabrał się do uprzątnięcia terenu, za który przecież do końca odpowiadał. "Chocholcy", "warcholcy", "anarchosyndykaliści" ...? To powszechne społeczne sprzątnięcie parku obejrzeć sobie można było zresztą, wychodząc nie za szybko, po zakończeniu Mszy. Ale obejrzeć warto było tego dnia coś jeszcze. Oto, gdy setki autobusów z wiernymi, z odległych nieraz parafii całej Polski, opuszczały jeden po drugim nadmorskie dzielnice Gdańska, wracając tam, skąd przybyły - żegnały je spontanicznie przypadkowe grupki gdańszczyzan, stojących po chodnikach i przystankach. Podnosiliśmy wszyscy do góry dwa "rozcapierzone paluszki", a ci w autobusach odpowiadali nam tym samym ... Tak kończył się w Gdańsku najpiękniejszy dzień tego roku. Dzień odświeżający nasze najlepsze wspomnienia z ostatnich siedmiu lat - te, które pozwalają nadal trwać i pamiętać o najwyższych wartościach narodowych i społecznych. Papież odjechał. Ile jednak z tego, co zostało powiedziane za Zaspie dotarło i dotrze do nas naprawdę, a ile okaże się krótkim, powierzchownym uniesieniem? ...

Krzysztof Jaczyński

## W charakterze świadka

### Aktywność społeczna czy słoneczna

Kiedy przed paroma laty Piotr Wierzbicki ogłosił "Myśli staroświeckiego Polaka", nudne dotąd i solenne łamy prasy niezależnej zalała ożywczą falą polemik. Gdzieniedzie wiązano z tym nadzieję, iż wielka woda narodowej dyskusji na temat: czy wie lewica, co czyni prawica /albo odwrotnie/, przyniesie dobroczynne skutki dla świadomości społecznej. Ostatecznie - podkreślano - nawet historia polskiego rybołówstwa morskiego odnotowuje wypadki rekordowych połowów śledzi w wyniku zachodnich sztormów napędzających do martwego Bałtyku masy natlenionej wody z Oceanu Atlantyckiego. Dlaczegoż by więc ta prawidłowość przyrodnicza nie miała się odnosić do sfery ducha? Wbrew oczekiwaniom połowy intelektualne nie okazały się zbyt obfite. Trudno jednak winić za to jednego "staroświeckiego Polaka". Odpowiedzialność należałoby rozłożyć na Polaków wielu, zarówno staroświeckich jak i z pozoru nowoczesnych. Ale nie o tym chciałem pisać ...

W dyskusji na temat "Myśli" nie brałem udziału. Książkę uznałem za cenną /przynajmniej dla mnie/ prowokację intelektualną, nie wolną jednak od słabych miejsc. Co tu było pisać? W dodatku osądziłem, że mieliżny zostaną oznaczone przez bardziej ode mnie kompetentnych lewicowców. Przeżyłem natomiast sporą uciechę, gdy odnalazłem swe rysy w portrecie polskiego inteligenta, kolaborującego za Gierka z władzą sz mito i usprawiedliwiającego to "dobrem kraju", zaś po stanie wojennym pryncypialnie odcinającego się od "brudnej polityki" i wybierającego bez żadnych wyrzutów sumienia luksus powodowania się wyłącznie racjami etycznymi.

Co naprawdę mną kierowało w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, do dziś sam dobrze nie wiem, ale karykatura ostro naszkicowana przez Wierzbickiego wzbudziła we mnie wątpliwości, czy aby nie idealizuję własnych motywacji. Za chybione natomiast uznałem ostre strzelanie do lewicy, którą Wierzbicki spreparował uprzednic jako cel. To, do czego strzelał, nie było wcale realnie istniejącą zwierzęcą, tylko jakimś dziwnym mutantem, pc części zgoła wytworem jego imaginacji.

Wierzbicki zarzucił polskiej lewicy wszystkie możliwe grzechy: totalitaryzm w myśli, mowie i uczynku, doprowadzenie kraju do ruiny gospodarczej, eksterminację przeciwników politycznych, wyprzedzanie interesów narodowych, etc., do jednego worka wkładając zarówno zwolenników istniejącego systemu, jak i przeciwników; komunistów rządzących w Polsce a także pozostających w onoczyci do nich socjalistów czy ludowców.

Stosowanie klasycznych zachodnich podziałów na prawicę, centrum i lewicę nie ma w kraju komunistycznym absolutnie żadnego sensu. Ilekroć słyszę, że ktoś klasyfikuje opcje polityczne w PRL według tego schematu, wspominam słowa Władimira Bukowskiego, który atakowany na jakiejś konferencji prasowej przez zachodnich dziennikarzy chcących go koniecznie zaszufładować, odparł poirytowany: "Ja nie jestem ani z obozu lewicy, ani prawicy. Ja jestem z obozu koncentracyjnego".

Wierzbicki przesadził w dwójnasób. Zarówno przypisując lewicę an bloc komunistyczną diaboliczną, jak i całą prawicę łądzącą do kazamatów. Tymczasem, co nietrudno sprawdzić, wielu socjalistów siedziało w więzieniach a nie w gabinetach; zaś niejeden prawicowiec /patrz casus Piaseckiego i jego grupy/ - na ciepłej rządowej posadce. O tym, że komunistom zawsze przychodziło łatwiej dogadać się z prawicą, /szczególnie skrajną! / niż z przeciwnikami pozornie najbliższymi ideowo, począz dobitnie historia Związku Radzieckiego. Nie na darmo zachodnich socjaldemokratów wyzywali bolszewicy od socjal-faszystów. Oprócz krytyki lewicowego stylu myślenia i działania, "Myśli" zawierały konstruktywny program gospodarczy w klasycznym liberalno-konserwatywnym stylu. A więc: wolny rynek, własność prywatna, konkurencja, etc.

Co mnie jednak najbardziej uderzyło /i wzbudziło zarazem największy opór/, to bijące z kart książki przekonanie, że oto jej autor znalazł cudowny środek na nasze kłopoty, istny kamień filozoficzny, za którym uganiały pokolenia alchemików. Pewnie bym jednak do "Myśli" nie wrócił, gdyby nie zamieszczone w bieżącym numerze "Przekazu" wyznanie wiary dwóch młodych liberałów: Jacka Karpackiego i Rafała Matuszewskiego. Przypomina ono książkę Wierzbickiego ową specyficzną pewnością własnych racji. Pewność ta nie jest wyrażona expressis verbis /przedwzię autorzy podkreślają, że liberalizm to "uznanie dla faktów, dla zrozumienia i godzenia różnych racji"/, wyziera jednak spoza zwrotów o "fundamentach cywilizacyjnych", "ideach wolnościowych" /hasio to - jeżeli Karpacki i Matuszewski użyli go świadomie - jest majstersztykiem propagandowym, tyle że komunistycznej proveniencji: pozornie odnosi się do swobód ekonomicznych, lecz w istocie jego konotacje w odbiorze społecznym są - zgodnie z tradycją - patriotyczno-niepodległościowe/, o "podstawowym nurcie kultury europejskiej", "politycznej dojrzałości".

Artykuł "Dlaczego liberalizm" zbieżny jest w moim odczuciu z "Myślami" również w kwestii nierozróżniania komunistów sprawujących władzę w PRL od lewicy niekomunistycznej z władzą mającej zaiste niewiele wspólnego. Podobne są także ubolewania nad prawicą zepchniętą na "margines życia politycznego". Sam termin "prawica", co ciekawe, w tekście tandemu K. i M. nie występuje. Zamiast niego mamy gustowne peryfrazy typu: "myślenie kategoriami innymi niż lewicowe". Miałby by one służyć wyłącznie ozdobności wykładu? A może raczej osłabieniu drastyczności określenia, co jest inną funkcją stylistyczną tej figury? Czyżby więc autorzy "Liberalizmu", którzy przecież podkreślają, iż "stworzone na użytek propagandy słowo" "brywaciarz" traci swój pejoratywny wydźwięk", sądzili, że prawica nada! zic



się kofarzy?

Ale zostawmy te słowne igraszki pięknoduchom i porozmawiajmy o sprawach poważnych. K. i M. proponują jako remedium na kłopoty ekonomiczne powrót do leseferyzmu XIX-wiecznych fizjokratów. Role państwa postulują ograniczać stopniowo, rozbudowując sektor prywatny, uruchamiając rynek kapitałowy i walutowy, Optymizm ich budzi "istotny w stosunku do lat ubiegłych rozwój prywatnych form własności". Widzą szansę "wyłączenia fragmentów gospodarki spod wpływów totalitarnego państwa", m.in. z uwagi na "niemożność oparcia kryzysu dotychczasowymi środkami".

Wiara w to, że komuniści skłonni są myśleć o gospodarce w sposób racjonalny jest szlachetna, ale nieco naiwna, ale nieco się odwoływać do dalekiej przeszłości i cytować przykłady z czasów stalinizmu, bo i po co. Wystarczy wspomnieć niedawną sprawę fundacji rolnej. O jej upadku przesądziły wszak czynniki ideologiczne i polityczne, a nie jakieś tam kalkulacje ekonomiczne. Myślę, że w odróżnieniu od autorów artykułu świadomość tę posiada zarówno "grupa przedsiębiorczych prywatnych właścicieli", których działalność /małe inwestycje, duże zyski, szybki obrót/ wskazuje wyraźnie na pamięć o losie radzieckich nepmanów, jak i załączkowa "kadra działaczy gospodarczych". Z tej to świadomości wynika gwałtowny rozwój nie "prywatnych form własności - w postaci firm polonijnych, spółek osób fizycznych, zakładów rzemieślniczych", lecz struktur ani państwowych, ani prywatnych, najroźniejszych spółdzielni pracy i spółek z ograniczoną odpowiedzialnością, dołączających z upodobaniem do swej nazwy trzy magiczne literki: j.g.u. Jednostka gospodarki uspołecznionej! Nie tak wrażliwa jak firma prywatna, którą zgubić może jedno pociągnięcie pióra centralnego planisty, nie tak ciężka i bezsensowna jak przedsiębiorstwo państwowe. Z jakiego powodu Karpacki i Matuszewski przemielili tę sferę aktywności gospodarczej? Z niewiedzy, czy też dlatego, że zakładała klarowną więź triumfującej opcji liberalnej?

Nie zamierzam podejmować polemiki ze wszystkimi tezami artykułu. Po pierwsze - z wieloma z nich się zgadzam, po drugie - piszę felieton, a nie traktat filozoficzno-ekonomiczny. Jeden wszakże wątek chciałbym jeszcze poruszyć. Otóż czy faktycznie propozycje liberalne /tzn. "reprywatyzacja gospodarki, odblokowanie mechanizmów wolnej konkurencji, wolność przed równością, minimalizacja ingerencji państwa"/ przyniosły na zachodzie "wymierne efekty w życiu politycznym, jak i gospodarczym" i wprawily "w zakłopotanie zwolenników welfare-state", czyli państwa opiekuńczego?

Niewątpliwie Keynes poszedł w odstawkę na rzecz wyciągniętego z lamusa Hayeka, socjaldemokraci przegrali tu i ówdzie wybory, ale napięta społecznie w wielu krajach demokratycznych wzrosła, w odróżnieniu od dochodu narodowego. Dlatego nie upowszechniałbym kategoriicznych sądów o bezwzględnych zaletach liberalizmu i nie upatrywałbym wyłącznej szansy w reprywatyzacji wszystkiego, co się da zreprywatyzować. /Zainteresowanych prezentacją tego problemu z różnych punktów widzenia odsyłam do ciekawej dyskusji "Bez pointy" opublikowanej w trzecim numerze kwartalnika "21".

Na koniec chciałbym wyrazić pokorne życzenie, by u nas, jak w każdym normalnym kraju, była i lewica, i centrum i prawica z liberalizmem wiązannie, ale, na miły Bóg, nie z liberalizmem wyłączenie!

Zaś renesans myśli liberalnej, czy jak kto woli konserwatywnej przyjmują-mimo swych lewicowych ciątek ze spokojem a nawet sympatią, niezależnie od tego, czym został spowodowany, Ec że

"wyczerpaniem intelektualnym lewicy", to tylko jedna hipoteza. Inną sformułował radziecki uczyony Aleksander Czyżewski, który na przykładzie Wielkiej Brytanii stwierdził, że ilość piosów oddanych na partię konserwatywną rośnie i maleje zgodnie z cyklem słonecznym. W świetle jego teorii maksymalna aktywność słoneczna pobudza masy do buntów, rewolucji i powstań, zaś minimalna przynosi spokój i brak zainteresowania polityką ze strony szerokich kręgów społecznych. Jako prawdziwy naukowiec dowiódł Czyżewski słuszności swej teorii na własnym przykładzie, albowiem dał się zesłać do łagru akurat w 1939 roku - tuż po szczycie aktywności słonecznej. Odsiedział mniej więcej dwadzieścia lat. I słusznie. Albowiem jak piszą Guy Playfair i Scott Hill w książce "Cykle nieba" /której lekturę gorąco polecam/: "Zgodnie z marksizmem, motorem rozwoju ludzkości jest konflikt klasowy oparty na prawach ekonomii, a przekształcenie imperializmu i kapitalizmu w socjalizm i komunizm jest nieuchronnym wynikiem walki proletariatu, nie zaś pojawienia się plam na tarczy Słońca czy też koniunkcji Jowisz - Saturn".

Kuba

## MŁYN

Listopad 1982. Wrzeszcz, stadion przy ulicy Traugutta. Mecz III-ej ligi piłkarskiej Lechia Gdańsk - Weina Rogoźno. Zimno, wiatr i dokuczliwa mżawka. Jeśli nie sura, to z całą pewnością zestawienie drużyn i ranga zawodów powinny odstraszyć każdego kibica. Na trybunach zasiada jednak około 6 tysięcy widzów. By zmarznąć, zmoknąć, stracić czas, pieniądze i uraczyć się piłkarskim gniotem. Jest to tym bardziej irracjonalne, że równocześnie w Gdyni odbywa się pewno ciekawszy mecz I-ligowego Bałtyku.

Stara, piłkarska prawda mówi, że kibice przychodzą tam, gdzie strzela się bramki. Podobno statystyka to potwierdza, piszę "podobno", bowiem z danych dotyczących I-ligowej obecnie Lechii wynika zupełnie co innego. Gdańska drużyna zdobywa goli najmniej w całej lidze, bijąc jednocześnie rekordy frekwencji na swych meczach.

Kibiców Lechia miała zawsze. Było rzeczą wyjątkową w skali kraju /obecnie rekord ten pobija białostocka Jagiellonia/, że na II-ligowe mecze tego klubu w latach 70-tych przychodziło 25 tysięcy ludzi. Grająca w niższej klasie Lechia przebiła frekwencją I-ligowe kluby gdyńskie: najpierw Arkę, potem Bałtyk. Nawet plebiscyty "Głosu Wybrzeża" na najpopularniejszego piłkarza regionu wygrywali zazwyczaj II-ligowcy z Gdańska. Pod względem poziomu gry Budowlany Klub Sportowy plasuje się gdzieś między piłkarskim dnem /stan normalny/ a ligowym średniactwem /wzloty/. W swej I-ligowej karierze ostatnich trzech lat nigdy nie byli lechiści wyżej niż na 9 miejscu w tabeli. Zdarza się, że w pięciu kolejnych meczach nie potrafia strzelić przeciwnikom ani jednej bramki /sami je tracąc w głupich sytuacjach/, prześcigają się w indolencji. Na trybunach usłyszeć wtedy można głos kibiców, że ostatni raz dali się nabrać. Więcej już na stadion nie przyjdą. Ale mijają dwa tygodnie i ci sami, którzy się uprzednio zaklinali, siedzą na ławkach i ... znowu się zaklinają.

### Coś tych ludzi przyciąga.

Czyba nie sympatia, jaką cieszy się w społeczeństwie resort budowlanów? Na pewno nie. Otóż na Lechcę przyciąga się dla niepowtarzalnej atmosfery jej spotkań. Dla jakiegoś luzu, autentyzmu, humoru i możliwości pokrzyżenia od czasu do czasu, co się wyśli. Niekiedy można odnieść wrażenie, że publiczność zbiera się w niecce stadionu przy Traugutta po prostu dla samej siebie. Ten trudno uchwytny fenomen Lechii jest w obecnym kształcie dzieckiem lat 80-tych: legendę klubu w istotny sposób uspełnia bogata solidarnościowa tradycja. Nie mogło być inaczej. Po 15 grudnia stadiony stały się jedynymi, obok uroczystości religijnych, legalnymi miejscami zgromadzeń. Stadion BKS-u w Gdańsku - kolebce "Solidarności", siłą rzeczy łączył od samego początku emocje sportowe z nastrojem politycznej kontestacji, tym bardziej, że trzon kibiców Lechii pokrywał się z główną bazą społeczną związku. Statystyczny lechista to fizyczny pracownik dużego zakładu przemysłowego Gdańska, a tacy wszak stanowili esencję "S". Co prawda w 1982 roku, w okresie największych napięć politycznych, biało-zieloni zostali zdegradowani do III ligi, ale właśnie ten spadek, zabrzmi to paradoksalnie, okazał się zbawiennym dla klubu. Od tego momentu piłkarze z Traugutta zaczęli wygrywać. W sezonie 82/83 z marszu awansowali do II, a w kolejnym 83/84 do I ligi, stając się w międzyczasie sprawcami jednej z największych sensacji w historii polskiej piłki nożnej, kiedy to jeszcze jako III ligowcy zdobyli Puchar Polski. Mimo, że w miarę upływu czasu malała skala protestów społecznych i coraz mniej ludzi uczestniczyło w manifestacjach ulicznych organizowanych przez podziemną "S", wielotysięczne tłumy na meczach Lechii okazywały swe solidarnościowe sympatie i coraz większym zapalem, przysparzając w ten sposób nie lada kłopotów miejscowej władzy. /Nb. z problemem tym nie poradziła ona sobie do dziś - ostatnio podczas meczu Polska - Cypr rozgrywanego właśnie na gdańskim stadionie znów skandowano: "Solidarność, Solidarność".

Najbardziej charakterystyczną frakcją kibiców /bo oni przecież, a nie ich ulubieńcy - piłkarze są tematem tego tekstu/ stanowi populacja tzw. miyna. Miyna to 1,5 tysięczny sektor widowni zajmowany przez młodzież, najaktywniej reagujący na to, co się dzieje na boisku i poza nim. Sektor intonujący okrzyki i piosenki, sektor biało-zielonych flag, szalików, własnego stylu i subkultury oraz sektor największego zainteresowania policji politycznej i kryminalnej.

Od pierwszych dni stanu wojennego w starciach z ZOMO widac było chłopców w biało-zielonych szalikach. Lechiści należeli do najbardziej desperackiego elementu, na którym w znacznej mierze spoczywał ciężar walki podczas krwawych starć. 1 maja 1985 w ulicach Wrzeszcza operowały całe grupki szalikowców Lechii, dobrze zorganizowane i niekiedy zadziwiająco wręcz agresywne.

Co

### nastrój walk

powracał na meczach, gdzie spotykali się ci sami ludzie - strony ulicznego konfliktu, tym razem w rolach kibiców oraz sił porządkowych zabezpieczających imprezę. Duża ilość milicji zaostrzała i upolityczniała atmosferę piłkarskich spotkań. Przebojem miyna lat 82-84 stała się natychmiast dwuwierszowa



przypiewka: "A na drzewach zamiast liści będą wisieć komunisci". Ta ujmująca prostotą stylu wróżba zapoczątkowała całą serię "hitów" myślna. Niektóre zdradzały jego słuch muzyczny, jak choćby parafraza przeboju grupy Righeira "Va mousa la playa", w przekładzie lechistów brzmiąca: "Nienawidzę ZCMO, o, o, o!" lub: "ZCMO to faszysci, o, o, o!". Niektóre przypiewki charakteryzowały się językiem zgoła nieparlamentarnym. Jako przykład przytoczę tylko jedną z nich: "Ch... w d ... temu, co sprzyja Jaruzelskiemu", budzącą na trybunach ogólny aplauz. Jednak nie przypiewki, a skandowanie było najpełniejszą i najczęstszą formą ekspresji, która przetrwała do dziś. Hasła: - "Solidarność!" "Lech Wałęsa!", "Nie ma wolności bez Solidarności!" pojawiały się dosłownie na każdym meczu w latach 1982-84 /obecnie zaś ograniczają się do tego pierwszego - co powinno dać przewodniczącemu do myślenia/. Zaintonowane przez myśln hasła podejmuje reszta stadionu zwykle w momentach klęski gdańszczan.

#### Gdy stadion jest zły

wyraża to w sposób polityczny. Czyżby skojarzenia z "Solidarnością" miały być formą kanalizowania frustracji? Ale zdarza się, że polityczne okrzyki podejmowane są w charakterze rozrywkowym - gdy od dłuższego czasu z boiska wieje kompletną nudą. Przykładem zaś braku wyczucia nastrojów są próby wzniecenia antykomunistycznych hasel po strzelonej przez Lechię bramce. Rzadkość tego typu okazji na gdańskim stadionie sprawia, że "jeszcze jeden, jeszcze jeden!" i "Lechia Gdańsk!" przebijają wtedy "Solidarność" pozostawiając pewien niesmak. Ale wystarczy, żeby jakaś kompanijka ZCMC zrobiła ruch wystawiający ją na widok ogółu, a stadion natychmiast zaryczy: "S". Jeżeli nie: "MC Gestapo!". To samo powtórzy się, gdy spiker poprosi o sportowy, kulturalny doping. Podobne złościwości gdańskich kibiców miały miejsce, niejednokrotnie podczas transmisji z ligowych stadionów. Kiedy - dzięki paru odbiornikom przyniesionym na mecz przez zatwardziały kubiców - wiadomo było, że Gdańsk zaraz wchodzi na antenę, część ludzi potrafiła natychmiast podjąć solidarnościowe hasła, które szły w eter na pośrednictwem programu I. Ct, taki sobie kaprys kibiców. Inne scenki. Przechodzi kilku ZCMC-wców, nagle spada im na głowy kawałek słonecznika, czy woreczek niedopitej cytrynady. Tysiąc osób które to widzi, /z tzw. górką ponad koroną stadionu/ wybuchła śmiechem. Sto metrów dalej, nad trybunami lata nadmuchana przerwytywa z napisem "1 maja" czy "Albin", albo nawet bez napisów. Co chwilę kolejna ręka odbija ją dalej. Jest wesoło, śmieją się wszyscy. W jeszcze innym miejscu popijanie zakazanej wódeczki poprzedza lekturę rozrzuconych przed chwilą ulotek. Umieściłem przesadnie te migawki w jednym czasie, ale mają one zilustrować ten

#### typ smaków i drobiazków,

które tworzą specyficzną atmosferę stadionu Lechii. Naturalnie nie przesadzajmy z tą apoteczą kibiców, bywa, że i tam jest nudno, smutno, deszczowo i pustawo. Ale to doprawdy rzadko. Na pewno nie było tak w środę, 28 września 1983 roku. Na pucharowy mecz Lechii z Juventusem przybyło około 45 tysięcy ludzi. Stadion mieści co prawda według różnych źródeł 28-33

tysiące, ale klub sprzedał kilkanaście tysięcy biletów na dużo, za co zresztą wykoszowany człowiek, który zapłacił, a nic nie zobaczył, wycożył Lechii sprawę sądową. Ciekawostką dla ekonomistów i socjologów powinien być fakt, że już od 10-tej rano /spotkanie zapowiedziano na 15.30/ ponad 20 tys. osób, głównie mężczyzn w wieku produkcyjnym i uczniów wygłaszało się na wrześniowym stonku w oczekiwaniu na pierwszy gwizdek sędziego. Tak oto kibice Lechii zdemarkowali dyscyplinę pracy i nauki w PRL. Nie to jednak zostało w pamięci ogółu. Mianowicie w przerwie spotkania /przy stanie 1:1/ zorientowano się, że na stadionie obecny jest Lech Wałęsa. Stopniowo oklaski i ogólne podniecenie ogarniające falą cały obiekt przerodziło się wkrótce w jedną z największych w Gdańsku pokojowych manifestacji poparcia dla "Solidarności". Dziennikarze włoscy porzucili nagle Platiniego, Tardellego, Borńka, Gentile i podążyli wpoprtek płyty boiska pod sektor, w którym siedział, a właściwie stał Wałęsa. Po kwadransie zaczęła się druga połowa, ale tłum ciągle wył: "Solidarności!", "Lech Wałęsa!" itd., odśpiewał hymn narodowy wprawiając w zupełną konsternację bezradne ZOMO i telewizję, która nie mogła zwonnić transmisji. Spotkanie retransmitowano dopiero od 6 minuty drugiej połowy, kiedy to Lech - sobie właściwym ruchem rąk i głowy - dał znak, żeby usiąść i zainteresować się meczem. 20-minutowy show "Solidarności" dowiódł fiaska kilkunastotygodniowej kampanii propagandowej próbującej zdyskredytować Wałęsę /"Skarga ob.L.W", montaż ze spotkania z Rakowskim w stoczni/. Dostojnie na kilkanaście godzin przed meczem, bo we wtorek po DTW, wyemitowano jeszcze plugawy program "Pieniądze", zarzucający Wałęsę poważne defraudacje. A tu, następnego dnia taki kredyt zaufania obracający w niwecz możolny wysiłek Szykuły, Barańskiego, i Małczyńskiego. Czarna środa. Czary goryczy dopełnił potem pokojowy Nobel dla Wałęsę. Drugim, porównywalnym jeśli chodzi o miejsce w pamięci kibiców wydarzeniem na gdańskim stadionie była akcja przeprowadzona

#### na tydzień przed wyborami

do Sejmu PRL, podczas meczu Lechia - Ruch /6 października 1985/ W 55 minucie, po strzeleniu przez Lechię bramce w sektorze między wirażem a zegarem błyskawicznie rozwieszono na płocie odgradzającym boisko od trybun 10-metrowy transparent o treści: "13.X. - BOJKOT - Solidarność". Rzucony gaz izawiaczy wytworzył mgłę i zamieszanie, w której zniknęli sprawcy incydentu oraz przyciągnął uwagę stadionu. Sportowa radość przeistoczyła się w krótką, ale potężną solidarnościową euforię 25-tysięcznego tłumu. Gromkie "Solidarność!" wdzierało się do uszu nie tylko obecnego na trybunie I sekretarza KW PZPR, Bejgera i osłupiałego ZOMO, ale także słuchaczy radiowego studia S-13, które akurat na gola wpadło zajrzeć, co na meczu w Gdańsku. Po paru minutach transparent zerwał SB-ek i wyniosło ZOMO, zaś gwizd w tym momencie słychać było podobno aż przy ul. Hłbnera! Wobec niemożności ujęcia właściwych sprawców ZOMO-wcy dopadli na trybunach jakiegoś pijaczka, który jeszcze przez kwadrans po akcji zupełnie solo wykrzykiwał wyrazy poparcia dla "S" i pogardy dla złodziei transparentu. Symptomatyczne jednak, że wyciągnięto go bez większej reakcji tłumu, o czym należy chyba pamiętać, by nie przekoloryzować obrazu. W każdym razie sama akcja przeprowadzona na oczach oddziałów ZOMO miała wyraźny rezonans społeczny. Być może zabrała nawet komunistom w

gdańskim okręgu wyborczym jakiś procent frekwencji. Wydarzenie oficjalnie podsumowano w sprawozdaniu PZPN dla GKRFJS na temat zakończonej rundy spotkań: "Poza Gdańskiem, żadnego innego stadionu w Polsce nie wykorzystano do działalności antypaństwowej". Duży to, jak sądzę, komplement dla organizatorów przedsięwzięcia.

W następnym meczu /16 października 1985/ z Legią /0:2/ ponad 30-tysięczny tłum powrócił jeszcze do tematyki wyborczej doszczętnie wygwizdując Dziekanowskiego, który trzy dni wcześniej pokazał się w telewizji w krótkim wywiadzie nad urną. Gdy napastnik Legii otrzymywał podanie, młyn skandował: "Dziekanowski na wybory!". Na deser, po meczu, ale jeszcze na stadionie obrzucono kamieniami i butelkami ZOMO, w związku z czym zatrzymano kilkunastu chłopaków. Gdy kibice wychodzą ze stadionu, niemal regularnie, niezależnie od nastrojów, powstaje napięcie przy zetknięciu młyna /który oczywiście idzie razem/ z większą ilością milicji.

#### Pa meczu

z Legią /1984/ doszło nawet do regularnych starć z ZOMO, kiedy to tłum wpadł w furję po tendencyjnym sędziowaniu /czerwona kartka dla Kruszczyńskiego, karny przeciw Lechii/, które dało Legii 2:0. Trzeba jednak zaznaczyć, że gdy zabrakło ZOMO, rozkładanie frustracji przybrało postać huligańskiego obrzucania kamieniami kolejni SKM na podstawie podejrzenia, że jadą w niej kibice Legii. W bezsensownym tym akcie uczestniczyła część - zwłaszcza ta młodzież, młyna. Zbytnie odmłodzenie młyna i zdominowanie przez małodatów stanowi ostatnio boleską stałą bywalców Lechii. Mówi się, że to już nie ten sam młyn, co w pierwszej połowie lat 80-tych, którego udziałem były gromialne przejażdżki do Gdańska a stamtąd triumfalne przemarsze do Neptuna na Długim Targu po każdym zwycięstwie na Traugutta. Zdumiewająca zasada tych wojaży był fakt, że rozszalała z radości kolejka potrafiła na ogół narzucić sobie chwilę ciszy i powagi na wysokości Trzech Krzyży. Z kolei przy Rajskiej na wysokości Kościółka św. Brygidy chwila milczenia poprzedzała często moment dla wyłącznie solidarnościowych okrzyków. Droga powrotna spod Neptuna wiodła zazwyczaj naprzeciwko siedziby Komitetu Wojewódzkiego, którą kwitowano jędrnym gwizdem. Na dworcu zaś niekiedy oczekiwała milicja.

Do największej i zupełnie niezrozumiałej rozróby doszło w czerwcu '84 po zwycięskim/4:2/ spotkaniu z Zagłębiem Lubin, które dało Lechii upragniony awans do ekstraklasy /po 20 z górą latami/. Rozentuzjuszowany kilkunastotysięczny tłum pomaszerował tzw. końskim traktem prosto do Gdańska - maskotkę jak sobie szeptało w tajemnicy, pomalować Neptuna - maskotkę Lechistów - na biało-zielono. Przepływ rzeki ludzi regulowała "drogówka" i przez długi czas nic nie zakłócało nastroju szczęścia. I oto zmienacka na Rajskiej, spod baszty "Jacek" na szczęście, nie mający hordy ZOMO wsparte armatkami wodnymi i gazami. Dopiero wówczas, nie mający nic do stracenia tłum zaczął skandować: "So-li-dar-ność!", "MO Gestapo!", itd. Manifestację sportowej radości zarzuciono w zwykłe, sprokowane polityczne pranie. Zaś spiker telewizyjnej "Panorama", nie wiadomo: cynicznie czy z niewiedzy informował w tym czasie, że cały Gdańsk świętuje upragniony awans Lechii!! Kolejnym motywem współuczestniczącym w kreowaniu solidarnościowego etosu gdańskich kibiców były i są /ale w mniejszym już stopniu/

gremialne wyprawy mlyna na wyjazdowe mecze Lechii. I nie straszna tu żadna odległość: Zabrze, Lublin, Wałbrzych, Łódź. W zasadzie wszystkie

#### wyjazdy są podobne:

dojazd na stojąco pociągiem, szukanie stadionu, zaczepki milicji, oczekiwanie, głód, mecz, zmęczenie, powrót. Ale niektóre będą się pamiętać do końca życia. W każdym z obcych miast odczuwają lechisci swą odrębność. Słyszałem będąc na którymś z wyjazdów słowa jednego z hersztów mlyna zwracającego się do reszty: "Panowie, przyjechaliliśmy tu z Gdańska. Do czegoś to zobowiązujemy". Istotnie zobowiązywało. Choćby w Piotrkowie Trybunalskim. Finał Pucharu Polski 22 czerwca '83 /w czasie wizyty papieża - co za upiorny pomysł urządzania finału PP właśnie wtedy?!/ i zwycięstwo z Piastem Gliwice 2:1. Transmisja bezpośrednia z meczu zostaje wyszczona na 10 minut II połowy, kiedy sektory zajęte przez 5-6 tysięcy lechistów urządzają non-stop solidarnościowy show, po którym część pojedzie do Krakowa pożegnać Ojca Świętego. Dość typowy był wyjazd do Poznania na mecz z najgroźniejszym konkurentem Lechii w walce o I ligę, ówczesnym liderem II ligi Olimpią. Było to 8 kwietnia 1984. Niezły mecz 1:1/ i 4-5 tys. lechistów przemaszerowało pod pomnik Ofiar Czerwca 1956; stosowne akcenty, utarczki z ZOMO, kilkanaście zatrzymań. Ale najliczniejsze z racji bliskości były zawsze wyjazdy do Elbląga. W maju 84 na mecz z tamtejszą Olimpią pojedźło szczególnie dużo kibiców. Wkrótce po przyjeździe dwóch pociągów z Gdańska uformował się parotysięczny pochód, który w wyjątkowo antyreżimowym nastroju /było to po 1 i 3 maja/ przedelfilował główną arterią miasta. A że w samym meczu atakowała Olimpia, zaś bramki strzelała Lechia /po 25 minutach 3:0, cały mecz 3:1/, humory uległy dalszej poprawie po spotkaniu. Wzdłuż całej trasy ze stadionu do dworca rozstawiono mnóstwo milicji, która jednak nie atakowała zwartego, pewnego siebie, skandującego antykomunistyczne hasła tłumu. Na pożegnanie smutnego Elbląga i stacji kolejowej obieganej przez mrowie ZOMO, przepełnionej "pietrus" do Tczewa zaszerwował oguszające "MO - Gestapo". Zapadł już zmierzch kiedy pociąg niespodziewanie zatrzymał się w polu przed stacją Gronowo Elbląskie. W półmroku przebitym za chwilę światłem reflektorów dało się policzyć kontury 30 milicyjnych "starów". Pociąg otoczono, otworzono wszystkie drzwi i

#### zaczęła się bitwa

ściśniętych w wagonach lechistów, zwłaszcza szalikowców. Wybite zęby, krew, pałowanie na oślep, jakieś nie wyjaśnione do dzisiaj strzały. Po pół godzinie pociąg ruszył niemal pusty, bo kogo nie wygarnęło do suk ZOMO, ten uciekł do okolicznych lasów.

Nie jedyny to wypadek "martyrologii" lechistów. Niech wiedzą o tym ci, dla których Lechia to wyłącznie rozkołysane tramwaje, zarzygane dworce, i prasowa wzmianka o zabójstwie na Zaspie, dokonany przez kibica Lechii w maju 85.

Do tej ostatniej tragedii być może nie doszłoby, gdyby nie istniały tak silne emocje związane z sympatiami i antypatiami polskich kibiców /ofiara była ... zwolennikiem Arki/.



### Geografia upodobań

lechistów ma również pewien solidarnościowy posmak. Reguła jest niechęć do klubów milicyjnych i wojskowych /z dwoma wszakże wyjątkami/. I tak nie lubi się ekip milicyjnych, czyli wszelkich Gwardii, wojskowych, czyli Legii W-wa/i to barczo/ oraz Zamiesz Bydgoszcz. Tradycją jest brak zaufania do drużyn bogatych zespołów górnośląskich /Hanysy!/, z wyjątkiem Ruchu Chorzów, pogardza się drętowymi Poznaniakami - Lechem /"Lech - zdechci - kolejcz!"/ i Olimpią /MSW/. W stosunku do ŁKS-u pokutuje jeszcze upiór antysemityzmu /"ŁKS - Jude, Jude, Jude!"/. Szczecińska Pogoń dyskwalifikuje podejrzany flirt z Legią i Lechem, zaś chyba jeszcze z czasów prekambriu pozostał szlachecki antagonizm z Bałtykiem i Arką. Natomiast istna miłość panuje między Lechią a Śląskiem Wrocław - podobne charaktery obu tych mocnych w opozycję przebiły fakt, że Śląsk jest klubem pionu wojskowego. Wielka sympatia łączy również lechistów z chłopcami z ulic Nowej Huty - miłym gwardyjskiej!!/ Wiszy.

Trójką najsilniejszych ośrodków "S" - Wrocławia, Gdańska i Nowej Huty pokrywa się z więziami przyjaźni piłkarskiej kibiców ich klubów. Szacunek i kurtuazja panuje wobec robotniczych /przynajmniej z nazwy/Widzowa Łódź i orientalnej Jagiellonii Białostok. Zatem generalna linia podziału przebiega między Gdańskiem, Wrocławiem, Krakowem, Białymstokiem, Chorzowem a Warszawą, Poznaniem, Szczecinem, Bydgoszczą, Gdynią, Górnym Śląskiem, Łódź dzieląc na pół, choć są i tak pewne lokalne konfiguracje.

Śmiać by się z tego należało, ale ...  
No właśnie. Z okien dojeżdżającej z Gdańska do Sopotu kolejki elektrycznej widać po prawej stronie dwa domy, które ze względu na dobrą ekspozycją stały się miejscem permanentnie pojawiających się i zamalowywanych politycznych napisów. Pewnej nocy ściana jednego z nich została zapażkana masą klubowych nazw, m.in. Bałtyku, BKS-u, ŁKS-u, GKS-u, Chelsea, AC Milan. Zestawienie - uwieczniające wszelkiej logice kibica którejkolwiek z tych drużyn - wykonana jedna i ta sama ręką! To jacyś SB-cy w celu wywarcia wpływów "S" z tej ściany /taki/ zabazgrali ją w dość typowy, jak im się wydawało, sposób. Zdradziło ich jednak to, że nie orientując się w układach między kibicami - wypisali pierwsze nazwy, jakie im przyszły do głowy. Tak oto kibicowanie Lechii /do czego wszystkich zachęcam/, znajomość jej wrogów i przyjaciół pozwala zabawie się w detektywa i demaskatora bezpieczek poczynić. Z dziennikarskiego obowiązku donoszę, że drugą ścianę przekwalifikowani na malarzy pracownicy resortu poświęcili na afirmację bluesa. Zaskiwiająco wytrwałe podtrzymywanie przez lechistów, może nie tyle solidarnościowego /choć również/, ile antyreżimowego ducha, od początku budzi

### obawy władzy.

Klinicznym exemplum tych obaw była sobota 31 sierpnia 85, na którą zaplanowano kolejną spotkanie ekstraklasy. I choć parę tygodni wcześniej wszędzie w życie przepis nakazujący jednoczesne /dla uniknięcia manipulacji wynikiem/ odbywanie meczy, to spotkanie Lechii w Gdańsku bez żadnych wyjaśnień i czyniąc pierwszy wyłom w nowej zasadzie przeniesiono na niedzielę

1 września. Przeważył strach przed wielotysięcznym tłumem kibiców Lechii, który w piątą rocznicę Sierpnia mógł dać władzy niezłe do wiatu. Obawy pociągają za sobą przewencję. Swego czasu mówiło się, że Lechia ma spaść do II ligi i na to obliczona jest beznadziejna transferowa polityka klubu. Kontrowały jednak tę wersję inne pogłoski, że przecież sam tow. Bejger lubi popatrzeć na I ligowy football a i minister budownictwa chętnie widziałby choćby jednego reprezentanta swego resortu w ekstraklasie, i że obaj towarzysze nie dopuszczą do spadku. Życie od 3 lat potwierdza jakby obie wersje, bowiem cały sezon zespół wlece się w ogonie tabeli, przegrywając w kontrowersyjnych okolicznościach mecz za meczem /ciągle 0:1 po karnym!/, by w końcówce cudownym rzutem na taśmę /czytaj: pieniądze na stół/ wygrzebać się z tarapatów. Zatem Lechia gra dalej, problem niepoprawnych kibiców pozostał. Pod koniec 1984 pojawili się w młynie osobnicy, którzy próbowali nie dopuścić do politycznych okrzyków, tłumacząc, że spowodują one zamknięcie stadionu. Nic nie wskórali, stadionu nie zamknięto, hasła się skanduje. Jedynym pomysłem władzy jest niezmiennie obstawianie stadionu olbrzymimi - i to niezależnie od sytuacji, siłami milicji. Kiedyś na jakimś meczu lało jak z cebra, a ZOMO wycoczyło aż trzy armatki wodne.

Kiedy kończę ten tekst, jest już po trzeciej kolejce rundy wiosennej i po drugim meczu Lechii w Gdańsku - z Olimpią Poznań. Na spotkanie outsiderów przybyło aż 20 tysięcy widzów. Po żenującej grze Lechia przegrała 1:2. Młyn pokrzyczał: "So-li-dar-ność!", zaś tłumy ludzi przysięgały, że więcej na mecz "tych dziadów" nie przyjdą. Ale przyjdą. Bo tu można trochę poddychać.

Jan Ostrowski

film

## Gniot charakterystyczny

Zabierając się do pisania na temat nowego filmu Romana Wionczka "Czas nadziei" miałem sporo wahań. Propagandowy gniot grany przy pustych salach wydawał się łupem zbyt łatwym. I tak widzowie zbojkotowali to dzieło, podobnie jak poprzedni obraz reżysera - "Godność". Nawet plakaty zdobione przywiązczonym liternictwem "Solidarności" nikogo nie sprowokowały, czy oburzyły. Spotkał je o wiele dotkliwszy los - brak zainteresowania.

"Czas nadziei" mówi o dalszych losach głównego bohatera "Godności", Szostaka. Szlachetny robotnik - branzowiec, którego w "Godności" zakładowa "S" wywiozła na taczkach za bramę, po ogłoszeniu stanu wojennego podejmuje starania, by wrócić do pracy. Cel osiąga po wielu mozolach, ale cóż go czeka w zakładzie? Ponowne szykany ze strony "Solidarności" - tym razem podziemnej! Wątek główny wzbogacają liczne poboczne, a wśród nich historia aresztowania za konspirację małoletniego wnuka głównego bohatera i wynikły stąd kryzys w małżeństwie Szostakowego syna - byłego sekretarza partii. No cóż, jak powiedział gen. Jaruzelski - linie podziału przebiegały przez każdy polski dom ...

Z akcji filmu można wszelako odnieść wrażenie, że po 13 grudnia 1981 los prześladował jedynie partyjnych, branzowych związkowców. Działacze "S", którzy na więziennym spacerniku delektowali się południowymi owocami, już z początkiem wiosny 82 wrócili do zakładów, by nadal mącić, wzbudzać niepokój publiczny i grozić bezpieczeństwu powszechnemu. Toteż reżyser Wionczek wydaje się być wyraźnie niezadowolony ze zbyt łagodnego przebiegu stanu wojennego. Co prawda ZOMO obchodził się z ekstremą stanowczo /choć nadzwyczaj spokojnie/, ale zupełnie nie stają na wysokości zadania kolejni dyrektorzy zakładu. Pierwszy - rządzący do 13 grudnia ulegał bezkrytycznie rozwydrzonej "Solidarności". Jego następca, jeszcze gorszy oportunistą, grzeszy niechęcią do zażarżniania stosunków z popierającą związek załogą. Filmowy obraz "S" jest zrzeczą z policyjną wizją rzeczywistości. Związek to

wroga siła, z którą nie da się nawet rozmawiać. Trzeba ją bezwzględnie zniszczyć, bo niedobita po 13 grudnia przez zbyt "liberalną" władzę, nadal prowadzi krecią robotę.

Z filmu bije nieudolnie maskowany strach przed robotnikami, ukazany jako groźny, wrogi tłum. Strach będący sublimacją pogardy dla "robotii", tak charakterystycznej dla prominentów lat 70-tych. W "Czasie nadziei" nie próbowano nawet rozwijać zarysowanej w "Godności" tezy, że klasa robotnicza była i jest za władzą ludową, a omamianie przez antysocjalistycznych idologów to jedynie wstydlivy epizod.

Dzieło Wionczka prezentuje całą gamę stereotypów godnych socrealizmu, klisz "wroga" wyciągniętych z kurzu lat 50-tych. Oto podjudzający robotników diaboliczny doradca. Oczywiście, opłaca go Zachód, czego niezbitym dowodem posiadany przez niego luksusowy mercedes. /Mawiasem mówiąc fetysz brudnego pieniądza przesłania naszą propagandę od samego 1944 roku. Najpierw Anders upychał sobie kieszenie jankeskim złotem. Potem Giedroyc liczył czeki CIA. Freszcie deszcz złotycholarówek spadł na królewskie biuro "S". Po 13 grudnia 1981 ulubionym ujęciem telewizyjnych kliszek z rewizji czy aresztowań były wachlarze ułożone z sielencyh. Ten charakterystyczny rys propagandowy jest typową projekcją. Funkcjonariusz SB, który bez swej pomocy nie ruszy nawet palcem, nie jest w stanie zrozumieć działalności społecznej bez bodźców finansowych/.

Wciąż się po kolejne klisze. Działacz "S" to oczywiście brodac z hipisowskimi kudkami związanymi w kitkę. Wśród licealnych konspiratorów planujących zamachy bombowe i kompletujących listy proskrypcyjne, panuje wojskowy rygor. /Mogę się tylko domyślić, że motywy przysięgi na sztandar, meldowania w poczty na buczność, czy przyjmowania pseudonimów typu "Odwet", Wionczek zapożyczył ze swej akowskiej młodoci/.

W niektóre basta propagandowe ilustrowane są w filmie z nabrającą wręcz dosłownością - tłum demonstrantów to znacząco "grupa wyrostków", żaden ze statystów nie przekracza wieku 16 - 17 lat. Nie mogło zabraknąć i seksu, który równie absorbuje milicyjnych scenarzystów. /Scenariusz "Czasu nadziei" wyszedł spod pióra Jerzego Grzymkowskiego, felietonisty odcinu 60 i SB "W służbie narodu". Erotyzm, szczególnie w kontekście przeciwników politycznych, wręcz go fascynuje: w swym piórze kruje na przykład spekulacje na temat homoseksualnych związków w redakcji RWE / Co prawda brak w filmie

scen "erojna miarę Bratnego, ale np. doradca dyktuje swej sekretarce ładania pod adresem władzy na tle rozkopanych betów. Sekretarka to w ogóle najporęczniejsza partnerka, niezależnie od opcji politycznej. Zrozpaczony zwróceniem się żony ku Kościelowi syn Szostaka, choć działacz partyjny, również romansuje z sekretarką. Wzory artystyczne "Czasu nadziei" równają do jego ideowego przesłania.

Nimo, że film nakręcono w kolorze, postaci są zdecydowanie czarno-białe, szlachetni bohaterowie aż nazbyt papierowi, dialogi uderzają niezadarnością, zaś aktorzy bogactwo stanów emocjonalnych najczęściej wyrażają nerwowym paleniem papierosów. Wionczek nakręcił swego rodzaju filmowy komiks. Nierealność niektórych scen sięga chwilami groteski kina niemego: w pobliżu kolumny pierwszomajowego pochodu rozchylają się krzaki, z których zwirowo uśmiechnięta twarz doradcy sygnalizuje sfornowanie chulińskiego kontrpochodu ...



**Nowy film Romana Wionczaka**  
 scenariusz Jerzy Grzymkowski, zdjęcia Wiktor Wójcik  
 w reżyserii Jerzy A. Braszko, Michał Kowalski, Marek Cichon, Ewa Piłska, Władysław  
 Zieliński  
 71 19316-1 IV 1980

**dramat z okresu stanu wojennego w Polsce**

# CZAS NADZIEI

Warto jednak odżalować na "Czas nadziei" to kilkadziesiąt złotych, choćby po to, by obejrzeć się w krzywym zwierciadle milicyjnych stereotypów. Być może sceny pikniku podczas więziennego spaceru czy SB kurtuazyjnie rozpoczynającej rewizję rozśmieszają kogoś do łez, ale trzeba pamiętać, iż są to sceny przydatne do zrozumienia psychiki i mentalności prawdziwie policyjnej. Śledzenie jej meandrow na pierwszy sens. Stali czytelnicy "W służbie narodu" /do dostania w kioskach/ nie mogli być zaskoczeni śmiercią ks. Pop. Muszki. Oglądając "Godność" trudno było przewidzieć, że kluczek przebije ją nowym pomysłem, lecz cuda się zdarzają, nawet w kinie materialistycznych marksistów. Film całego zaklęmania "Godność" ukazywała /tendencyjnie bo tendencyjnie/ faktyczne problemy lat 1980 - 1981, m.in. konflikt partii z "S" na terenie zakładów. "Czas nadziei" natomiast przedstawia świat nierzeczywisty, problemy marginalne, obce większości Polaków, którym rok 1982 kojarzy się z areztami i ZOMO a nie z perturbacjami zawodowymi branżowego lamistrajka. Twórca pseudo-histerycznych widowisk TV typu "Poeciada 1925" czy "Przed burzą" sięgnął tym razem do historii najnowszej i nakręcił ją - mimo woli - jako farsę. W dodatku farsę nieudolną, bo odsianąjąca wprost ukryte lęki i kompleksy władzy. A te warto poznać.

Marcin Bielski

## Mówi pułkownik Kukliński...

Z górą pięć lat minęło od pamiętnej nocy z 12 na 13 grudnia. Nie było chyba Polaka - poza, oczywiście, wtajemniczonymi w plany napadu na naród - który nie zastanawiałby się później nad kulisami "wojny jarzeńskiej", nie snuł domysłów jak do niej doszło, kto, z czyjej inicjatywy i kiedy zaczął knuć, kto wymyślał i kto realizował prowokacje, które miały dać uzasadnienie dla wojskowego puczu i jak powstawały szatańskie pomysły rozprawienia się z "Solidarnością" i z wolnościowymi marzeniami Polaków. W długich, gorących dyskusjach padały nazwiska powszechnie znane, z którymi kojarzono oblegowe opinie - najczęściej nie wiadomo czym uzasadniane.

Z czasem temperatura dyskusji zaczęła opadać, codzienne kłopoty obficie nam serwowane przez najlepszy z ustrojów zrobiły swoje. Emocje opadły. I może dobrze się stało, że dopiero teraz otrzymaliśmy porcję informacji, które jeszcze przed kilkoma laty mogłyby szokować. Teraz, w najgorszym razie, jedynie potwierdzają to, czego większość Polaków i tak się domyślała.

O istnieniu pułkownika Ryszarda Kuklińskiego poinformował świat w ubiegłym roku sam ... Jerzy Urban. Powiedział, że Kukliński, wysoki oficer Sztabu Generalnego sił zbrojnych PRL, był agentem amerykańskim. Na miesiąc przed wprowadzeniem stanu wojennego zniknął wraz z tajnymi dokumentami i informacjami o planowanym puczu i przedostał się na Zachód, po czym oczywiście o wszystkim poinformował rząd USA. Urban zamierzał w ten sposób zdyskredytować ów rząd w oczach Polaków liczących w skrytości ducha na jego przychylność; oto rząd ten nie przekazał tajnych informacji do Polski, nie ostrzegł kierownictwa "Solidarności", co nie przeszkodziło później Reaganowi ronić krokodylich łez... Realizując swój zamiar, Urban zdawał się nie zwracać uwagi na to, co natychmiast zauważyli słuchający go dziennikarze zagraniczni: że w ten sposób zniweczył obowiązującą dotąd w oficjalnej propagandzie argumentację uzasadniającą wprowadzenie stanu wojennego ekscesami "ekstremy" w Radomiu i podczas ostatniego posiedzenia Komisji Krajowej w Stoczni Gdańskiej. Przyznał mimo woli to, czego i tak wszyscy się domyślali: że plany stanu

wojennego były opracowane znacznie wcześniej.  
 Dlaczego to zrobić? Zapewne z kilku powodów: żeby zaszkodzić administracji Reagana w oczach Polaków; żeby im udowodnić, że nie mogą na nikogo liczyć; żeby podkreślić bezkarność i siłę rządzącej ekipy, która już nie musi zachowywać pozorów; żeby uprzykrzyć sobie życie; żeby zapewne opublikowanie rewelacji Kuklińskiego. Nastąpiło ono niedawno, w formie wywiadu udzielonego paryskiemu miesięcznikowi "Kultura".  
 Pragniemy ten obszerny i ważki dokument przybliżyć czytelnikom, którzy mają raczej niewielkie szanse zapoznania się z oryginałem. Publikujemy obszerny omówienie tego wywiadu.

"Zabieram głos w piętą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego - mówi ptk Kukliński - bo jest to odpowiednia okazja do rozważań nad tym zakłóconym 13 grudnia 1981 roku, ale przecież jeszcze nie zamkniętym rozdziałem naszej najnowszej historii. Nie rozszęć sobie pretensji do objawienia całej prawdy niezwykle złożonego okresu od sierpnia roku 1980 do grudnia roku następnego. Czują się jednak w obowiązku przedstawić społeczeństwu te wydarzenia, których byłem bezpośrednim uczestnikiem bądź świadkiem. Społeczeństwo samo może wyciągnąć wnioski".

Przedstawiciel "Kultury" naciska, by Kukliński odpowiedział na pytanie nurtujące obecnie to społeczeństwo: dlaczego - znając przecież szczegółowo plany wprowadzenia stanu wojennego, nie ostrzegł go zaraz po wydostaniu się na Zachód? Wszak, zgodnie z oświadczeniami przedstawicieli reżimu, znalazł się 7 lub 8 listopada w Stanach Zjednoczonych. Kukliński zaprzecza: 8 listopada 1981 roku nie przyszedł do pracy w sztabie generalnym, co wcale nie znaczy, że był już w Stanach Zjednoczonych. Przynajmniej jednak, że nie ma to znaczenia dla istoty sprawy, gdyż szansa ostrzeżenia społeczeństwa rzeczywiście istniała. Stwierdza, że po wydostaniu się na Zachód miał pełną swobodę poruszania się i podejmowania decyzji, że bez trudności mógł się skontaktować z dowolnymi przedstawicielami środków przekazu, a nawet zwołać konferencję prasową. Tak by z pewnością postąpił, gdyby kierował się jedynie emocjami.

"... Na szczęście stan emocjonalny nie sparaliżował zupełnie zdolności przewidywania tego, co może nastąpić, gdy moje ostrzeżenie dotrze do kraju.../ Nie miałem najmniejszych wątpliwości - mówi Kukliński - że ujawnienie przede mną planów udarżenia nie mogło ich w najmniejszym stopniu udaremnić lub choćby opóźnić. Mogło je tylko przyspieszyć. Rozważając taką ewentualność, musiałem się natomiast liczyć z faktem, że jeśli moje ostrzeżenie nie zostanie uznane w kraju za inspirowany przez władze fałszywy alarm, czy jakakolwiek inną prowokację, jeśli w to ostrzeżenie "Solidarność" rzeczywiście uwierzy, wówczas niemal na pewno dojdzie do natychmiastowego

ogłoszenia strajku generalnego, a w konsekwencji do zorganizowanego oporu w setkach fabryk, zakładów pracy i uczelni. Wiedziałem, że w takiej sytuacji akcje sił policyjno-wojskowych nie ograniczyłyby się wyłącznie do blokowania ośrodków strajkowych oraz odcinania im dopływu elektryczności, wody, żywności, że dla złamania masowego oporu i osiągnięcia szybkiego sukcesu musiałoby nastąpić uderzenie sił pancernych, przede wszystkim czołgów, że wreszcie przy ewentualnym powesechnym oporze ludności, sił polskich byłoby za mało i na pewno do akcji wkroczyłyby również pozostające w strategicznych rezerwach dywizje radzieckie, a nawet czeskie i niemieckie. Nie ulega wątpliwości, że przy takim rozwoju wydarzeń wszystko musiałoby się skończyć nieprawdopodobną krwawą masakrą ludności, a zwłaszcza tej jej części, która trwałaby w opozycji...! Stawka była więc zbyt wysoka, by dać się ponieść emocjom i poczynić jakikolwiek nierozważny krok. Nie mogłem wziąć na siebie odpowiedzialności za tego typu ryzykowne posunięcie. Powiem więcej, gdyby ktokolwiek inny, łącznie z rządem Stanów Zjednoczonych chciał takie ostrzeżenie przekazać, to mógłby uczynić to tylko wbrew mojej opinii. Na szczęście taka okoliczność w ogóle nie wystąpiła".

"Fakt z kolei, że do lata roku 1981 udało się nie tylko uniknąć najgorszego zła, ale nawet doprowadzić do IX Nadzwyczajnego Zjazdu partii, w dużej jeśli nie w decydującej mierze zawdzięczać trzeba stanowczej postawie rządów, szerokiej opinii publicznej a nawet partii komunistycznych świata zachodniego.

Byłoby nie na miejscu z mojej strony przypisywanie sobie jakiegś znaczącej roli w alarmowaniu rządu Stanów Zjednoczonych w tym okresie. W każdym razie coś w tym kierunku usiłowałem czynić." Kukliński twierdzi, że symptomy zapowiadające wprowadzenie stanu wojennego były widoczne dla uważnych obserwatorów w kraju, że z drugiej strony - władze miały świadomość, iż ktoś z ich własnego środowiska wysyła sygnały alarmowe. 13 września 1981 roku na nadzwyczajnym posiedzeniu Komitetu Obrony Kraju poświęconym przygotowaniom do stanu wojennego mówił o tym generał Kiszczak, stwierdzając, że wielu działaczy "Solidarności" zna w szczególności plany wprowadzenia stanu wojennego, łącznie z listą osób przewidzianych do internowania i kryptonimem tej operacji. Kukliński znajdował się w samym centrum decyzyjnego wojska. Ten, urodzony w 1930 roku w warszawskiej rodzinie robotniczej, oficer -strategicznego Akademii Sił Zbrojnych ZSRR w Moskwie objął w Zarządzie Operacyjnym Sztabu Generalnego stanowisko szefa oddziału pierwszego - planowania strategiczno-obronnego, połączone później z funkcją zastępcy szefa Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Był na tym stanowisku do 7 listopada 1981 roku. Podkreśla teraz, że wykonywał obowiązki związane wyłącznie z przygotowywaniem kraju i sił zbrojnych do obrony z zewnątrz a nie z zadaniami wewnętrznymi wojska, odpowiadał za centralne, kompleksowe planowanie rozwoju sił zbrojnych i obronności państwa. Poza tym zajmował się właściwie wszystkimi sprawami wynikającymi z udziału PRL w Układzie Warszawskim, uczestniczył we wszystkich posiedzeniach komitetu ministrów obrony paktu, oraz w większych posiedzeniach rady wojskowej państw członkowskich; w ostatnim okresie służył brał też udział w planowaniu operacyjnym działań LWP na wypadek wojny z NATO.



W roku 1968 - już jako oficer sztabu generalnego - Kukliński oddelegowany został do Legnicy, do pracy przy stanowisku naczelnego dowódcy sił paktu warszawskiego, przygotowujących się do inwazji Czechosłowacji, marszałka Iwana Jakubowskiego. Po Sierpniu 1980 roku charakter obowiązków Kuklińskiego zasadniczo się zmienił. Stał się on - jak sam to określa - "jednoosobowym roboczym sekretariatem kierownictwa MON do spraw przygotowań stanu wojennego". W swej wojskowej karierze zaszedł Kukliński wysoko. Dziś z pewnością byłby już generałem. Dlaczego więc zaryzykował głową i zdradził swoich mocodawców? Twierdzi, że wszystko zaczęło się właśnie w 1968 roku w Legnicy, gdy zaczęto planować "ćwiczenia" na terenie Czechosłowacji i na mapach sztabowych pozycje armii tego kraju oznaczono kolorem niebieskim - zarezerwowanym zwykle dla sił nieprzyjaciela. Zakładał, że świat wie o zbliżającej się inwazji, bowiem nie kryto się z przygotowaniem do niej - przeciwnie, marszałek Jakubowski nakazał nadzwyczajną aktywność wojskowym radiostacjom, by Czechów i Słowaków nastraszyć. Zakładał, że świat zaprotestuje, przeciwstawi się stanowczo, że może uda się uniknąć najgorszego. Świat był jednak zajęty wojną w Wietnamie, protestami przeciwko tej wojnie. Nikt nie protestował przeciwko sztykującej się inwazji. Poprosił o odwołanie do Warszawy, a 20 sierpnia radzieccy spad chorążarze lądowali na lotnisku w Pradze, zaś polscy żołnierze pod dowództwem gen. Floriana Sivickiego przekraczali czechosłowacką granicę. Powołani do utworzonego w Warszawie centrum dowodzenia polskimi siłami w Czechosłowacji, był Kukliński istotnie w samym centrum, przygotowywał raporty dla Jaruzelskiego i Gembki, miał - jak sam mówi - jedyną w swoim rodzaju szansę zgłębienia tego rozdziału naszej najnowszej historii. Oficjalnie uznana za wojskowy sukces /pod polskim czołgiem zginęło tylko jedno czeskie dziecko/, inwazja była dla Kuklińskiego błędem politycznym. "Od tego chyba się zaczęło" - mówi.

Potem przyszedł grudzień 1970 roku. 44 zabitych, w tym 30 robotników i 7 uczniów, 1164 rannych w szpitalach. "Wyмова tych cyfr była i jest nadal przerażająca, ale dla mnie osobliwie najbardziej przerażająca była łatwość, z jaką władza, która sama mieniła się ludową, sięgnęła po siły zbrojne, aby je w sposób sprzeczny z ich powołaniem skierować przeciwko własnemu społeczeństwu..."

Kukliński stanowczo stwierdza przy tym, że nie mają nic wspólnego z prawdą historyczną szerzone w kraju pogłoski, że Jaruzelski próbował przeciwstawić się masakrze na Wyrbrzeżu i że przypłacił to aresztem domowym. Faktem jest jedynie, że ze swego gabinetu przy ulicy Klonowej w Warszawie nie dowodził bezpośrednio oddziałami pacyfikującymi Wyrbrzeże, pniewał - jako wódz naczelny - miał od tego dowódców niższych szczebli.

To było tylko 13 tysięcy żołnierzy w Trójmieście i 12 tysięcy - w Szczecinie. Pozostałe dywizje LWP zostały przegrupowane w rejon Krakowa, Poznania, Wrocławia i Warszawy, każdą w pełnej gotowości znajdowały się w odwodzie. W sumie wojsko zaangażowano w ponad stu akcjach, do czego użyto ponad 61 tysięcy żołnierzy, 1700 czołgów, 1750 transporterów, lotnictwo a nawet okręty wojenne.

"Tym wszystkim zajmował się właśnie generał Jaruzelski ..."

★

Na pytanie, czy "Solidarność" z jego punktu widzenia była od początku skazana na śmierć, pułkownik Kukliński odpowiada: "Gdyby do odsięgu Gierka wyłonilo się jakieś silne przywództwo partynoparlitarne, zdolne do autentycznie samodzielnego kierowania losem kraju, to wydaje mi się, więcej - jestem absolutnie przekonany, że "Solidarność" by przetrwała. Jak powszechnie wiadomo, od początku kryzysu Związek Radziecki zajął publiczne stanowisko, że to co się dzieje w Polsce jest kontrrewolucją. Z kontrrewolucją się nie rozmawia. Kontrrewolucję wiażdzy się siłą.

Ale Chruszczow, Kołotow, Mikojan i marszałek Koniew powiedzieli to samo Gomułce i Ochabowi w październiku roku 1956. Ci dwaj, to jest Gomułka i Ochab znaleźli jednak w sobie tyle odwagi i siły, aby radzieckiemu kierownictwu powiedzieć, że to, co się dzieje w Polsce jest wyłączną sprawą komunistów polskich i że pod groźbą utraty siły nie będą rozmawiali. Społeczeństwo to zrozumiało i po raz pierwszy po wojnie stanęło murem za nowym przywództwem partii i jego bardzo mglistym w końcu przyrzeczeniem polskiej drogi do socjalizmu. /.../

Gdyby duet kierowniczy Kania - Jaruzelski od początku powiedział Rosjanom "nie", wtedy pod naciskiem jawnych ataków i gróźb Moskwy "Solidarność" musiałaby zmienić front walki i stanąć w pierwszym rzędzie w obronie suwerenności i integralności kraju. Jestem pewien, że byłaby bardziej skłonna do kompromisu a Związek Radziecki cofnąby się, gdyby kierownictwo partynoparlitarne i ludność utworzyły wspólny front. /.../

Kukliński stwierdza, że Związek Radziecki był zdecydowany na interwencję zbrojną w stylu inwazji na Czechosłowację - w nadziei bez strat ludzkich i materialnych. Z całą pewnością jednak Moskwa nie chciała lub nie mogła sobie pozwolić na wojnę z Polską, gdzie po przeciwnej stronie stałoby dowództwo, armia i ludność. Koszty byłyby za duże. Rosjanie zdawali sobie dobrze sprawę z tego, że opluwanie czołgów, z czym zetknęli się w Czechosłowacji, nie leży w charakterze Polaków, wiedzieli też, jak Polacy reagują na pojawiające się w różnych rejonach kraju od początku kryzysu oddziały radzieckie, wiedzieli, że nie jest to tylko zabawa w protest. Sytuacja zmieniła się radykalnie, gdy partynoparlitarne kierownictwo z Jaruzelskim na czele stanęło po stronie ZSRR. Zgadzając się z Rosjanami, że mają do czynienia z kontrrewolucją, obiecali, że rozprawią się z "Solidarnością" we własnym zakresie, prosząc jedynie, aby dać im czas. W efekcie Moskwa miała do czynienia wyłącznie z bezbronnym społeczeństwem. Wiadomo jednak, że co najmniej dwukrotnie - w grudniu 1980 roku i na wiosnę roku 1981 Rosjanie byli o krok od decyzji wkroczenia do Polski. Dlatego, skoro mieli gwarancję polskiego kierownictwa? Według Kuklińskiego dlatego, że podjęwane przez władzę próby sabotażu lub nawet wycofywania się z porozumień zawartych w sierpniu tylko podsycały wrzenie społeczne i eskalację żądań, przed którymi z kolei te władze musiały ustępować. Była to polityka samobójcza, bo antagonizowała jednocześnie społeczeństwo i Moskwę, która zaczęła podejrzewać, że Kania i Jaruzelski grają na zwicję, prowadzą jakąś podwójną grę.

\*

W kolejnej części wywiadu pułkownik Kukliński przystępuje do chronologicznej rekonstrukcji wydarzeń poprzedzających stan wojenny. Stwierdza, że groźba stanu wojennego pojawiła się z a n i m zaczęto brać pod uwagę możliwość inwazji. Obala to sugerowaną przez propagandę tezę, że stan wojenny był "zamiast" owego "gorszego zła". Na pytanie, kto i kiedy wysunął pomysł wprowadzenia w zrewoltowanej Polsce stanu wojennego, Kukliński odpowiada:

"Z pisemnej informacji dla kierownictwa radzieckiego, która na polecenie i według wytycznych gen. Jaruzelskiego przygotowywałem osobiście przy współpracy z MSW wynika, że idea wprowadzenia w Polsce stanu wojennego zrodziła się już w szczytowym okresie sierpniowych strajków okupacyjnych roku 1980, to jest prawie szesnaście miesięcy przed jej prowadzeniem w życie przez gen. Jaruzelskiego.

Jej kolektywnym autorem był wyłoniony 24 sierpnia 1980 roku tuż po zakończeniu IV Plenum KC PZPR, które jak wiadomo wypowiedziało się za rokowaniami ze strajkującymi robotnikami, tak zwany partyjno-rządowy sztab kierowniczy pod przewodnictwem wówczas nowo powołanego premiera rządu PRL Józefa Piłkowskiego. W skład tego sztabu weszli sekretarze KC PZPR: Kazimierz Barcikowski i Stefan Olszowski, wicepremier Mieczysław Jagielski i prawdopodobnie Tadeusz Grabski, oraz z całą pewnością ministrowi kluczowych resortów: obrony narodowej - Wojciech Jaruzelski i spraw wewnętrznych - Mirosław Milewski.

Obóz w celu wymanewrowania zbuntowanego społeczeństwa sztab kierowniczy zgodził się taktycznie na podpisanie mało precyzyjnej umowy społecznej, aby po wygaszeniu pożaru strajkowego, który ogarnął niemal całą Polskę, w korzystniejszych warunkach przejść do kontrofensywy środkami administracyjnymi z wprowadzeniem stanu wojennego jako środkiem ostatecznym włącznie. Ponieważ już pierwsze, podjęte we wrześniu roku 1980 próby wymanewrowania społeczeństwa z użyciem różnych środków administracyjnych, przyniosły wręcz odwrotny skutek, sztab kierowniczy podjął ogólną decyzję o rozpoczęciu przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego.

W Wojsku Polskim przygotowania te rozpoczęły się 22 października 1980 roku, to jest na dwa dni przed rozprawą rejestracyjną "Solidarności" w sądzie wojewódzkim w Warszawie. W dniu tym na polecenie ówczesnego ministra obrony narodowej, gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego Sztab Generalny Wojska Polskiego rozpoczął w trybie pilnym opracowywanie wprowadzenia na terytorium PRL stanu wojennego.

Ogólnie kierownictwo nad planowaniem od początku do końca sprawował szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. broni Florian Siwicki. We wstępnej fazie planowania w Sztapie Generalnym Wojska Polskiego uczestniczyli wyłącznie zastępcy szefa sztabu, to jest: gen. dyw. Tadeusz Kupałowski, gen. dyw. Jerzy Skalski, gen. dyw. Antoni Jasiński, gen. brzyg. Mieczysław Dachowski oraz ja sam - pik Ryszard Kukliński. Później do tego zespołu włączeni zostali dodatkowo z Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego Wojska Polskiego: gen. brzyg. Maciej Szklarecki, pik dypl. Czesław Witt, pik dypl. Franciszek Puchała, oraz z Zarządu 10 Sztapu Generalnego Wojska Polskiego pik Stefan Marciniak. Ze Sztabem Generalnym Wojska Polskiego współpracowali: sekretariat Komitetu Obrony Kraju, który przygotowywał wszystkie akty prawne stanu wojennego, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych z wiadomymi badaniami oraz Wydział Propagandy KC PZPR wspólnie z



### Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego.

Ważną, właściwie sytuacyjną wersją planu, łącznie z projektami niektórych aktów prawnych stanu wojennego gotowa była już w listopadzie 1980 roku i jeszcze w tym samym miesiącu została przedstawiona do rozpatrzenia przez Komitet Obrony Kraju, któremu przewodniczył ówczesny premier Józef Piłkowski. Prezentacja planu miała charakter ogólny, bez wdawania się w szczegóły, gdyż w ocenie kierownictwa wojskowego część członków Komitetu Obrony Kraju należała do grupy tzw. "samocenzorów", czyli ludzi niepewnych, zdradzających pewne skłonności do przemodelowania systemu politycznego PRL, którzy w tym organie władzy zasiadali tylko czasowo. Tym niemniej przedstawiona na listopadowym posiedzeniu Komitetu Obrony Kraju przez Ministerstwo Obrony Narodowej i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych koncepcja stanu wojennego w swych celach i generalnych założeniach niewiele odstawała od tej, którą zrealizowano w grudniu roku następnego. Nie ma więc potrzeby wyliczania za Kuklińskim zaprezentowanych wtedy przez MCN i MSW pomysłów. Odczuliśmy ich skutki kilkanaście miesięcy później. Dlatego dopiero wtedy, ponieważ na wspomnianym posiedzeniu KOK nikt, łącznie z wojowniczym szefem MSW Milewskim, nie widział możliwości rychłego wprowadzenia w życie zaprezentowanych koncepcji. Podjęcie takiej próby mogło wręcz oznaczać koniec władzy i interwencję ZSRR. Trzeba było poczekać, przygotować społeczeństwo, zmęczyć je kryzysem, podważyć autorytet "Solidarności". Nie przypadkowo więc postanowiono m.in. włączyć do przygotowań kluczowe resorty cywilne: przede wszystkim łączności, górnictwa i energetyki, komunikacji, oraz /tak, tak!/ handlu wewnętrznego i usług. Ktoś wszak musiał nie tylko przygotować cenzurę listów i podsłuch telefonów, lecz również wynieść wszystkie towary ze sklepów, by zmordowani, nieustannie straszeni, poddani huśtawkom nastrojów Polacy wreszcie mieli dość "Solidarności", marzeń o wolności, by odszedli im się protestów i oporu!

Tu trzeba - za Kuklińskim - oddać sprawiedliwość Stanisławowi Kani, jako jednej jasnijszej postaci w ponurej galerii generałów i szefów kniuiszych przeciwko narodowi. Kukliński twierdzi, że Kania - mimo składanych Rosjanom przyrzeczeń o zryciu siły dla obrony "socjalizmu", w praktyce do końca był zwolennikiem rozprawienia się z "Solidarnością" wyłączeniem środków politycznymi. Nie ma wątpliwości, że w listopadzie 1980 roku ta postawa Kania - który formalnie nie był członkiem KOK - ostudziła zapędy najbardziej krewkich uczestników wspomnianego posiedzenia i wpłynęła na podjęte decyzje. Nie ulega też wątpliwości, że w pewnym momencie Kania stał się przeszkodą dla Moskwy i Jaruzelskiego w ich planach i musiał pożegnać się z funkcją i sekretarza KC PZPR.



Zawieszenie planów wprowadzenia w życie stanu wojennego z pomocą i w decydujący sposób przyczyniło się do pojawienia się po raz pierwszy realnej groźby interwencji radzieckiej. Kierownictwo radzieckie uważało, że zwłoka nie tylko sprzyja umocnieniu się "Solidarności", lecz także formowaniu się nowych, niezależnych struktur społecznych w PRL. Moskwa zaczęła podejrzewać polskie kierownictwo, a zwłaszcza Kanię, o grę na zwłokę, a nawet o grę podwójną. Na tym tle



w końcu listopada 1980 zaczęła zakulisowo - przy pomocy swej ambasady w Warszawie, dowódcy paktu warszawskiego marszałka Kuklińskiego i jego przedstawiciela przy Wojsku Polskim gen. Szczegółowa - montować nową ekipę przywódczą PRL. Przejście władzy przez zwolenników twardego kursu miało być poprzedzone ukroczeniem do Polski dużych sił ZSRR i innych państw paktu. Rozmowy w tej sprawie, a także w sprawie zneutralizowania armii polskiej, uważanej za zdemoralizowaną, Rosjanie prowadzili bezpośrednio z Jaruzelskim.

Kukliński nie był do nich dopuszczony. Znał tylko ich rezultaty. "Tuż po zakończeniu rozmów, na osobiste polecenie doszczętnie zneutralizowanego gen. Jaruzelskiego, w dniu 1 grudnia 1980 roku I zastępca szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. dyw. Tadeusz Hupałowski wraz z pik dypl. Franciszkiem Puchatą udali się specjalnym samolotem do Moskwy w celu zapoznania się ze szczegółami radzieckich planów wprowadzenia do Polski wojskowych sił interwencyjnych." Z przekazanych im jeszcze tego samego dnia informacji wynikało, że pod pozorem ćwiczeń "Sojuz 80" do Polski miały być skierowane trzy radzieckie armie w składzie 15 dywizji, jedna armia czechosłowacką w składzie 2 dywizji oraz sztab jednej armii i jedna dywizja Narodowej Armii Ludowej NRD. Gotowość do przekroczenia granic PRL wyznaczono na 6 grudnia 1980 roku. Działania 18 dywizji inwazyjnych miały być połączone ze ścisłą blokadą morską PRL przez siły Floty Bałtyckiej ZSRR, oraz Ludowej Marynarki Wojennej NRD. W początkowej fazie siły polskie - podobnie jak było w 1968 roku z czechosłowackimi - miały pozostawać w miejscach stałej dyslokacji. Dopiero po dramatycznych targach Jaruzelskiego Rosjanie zgodzili się, by nieliczne polskie jednostki mogły uczestniczyć w wykonywaniu drugorzędnych zadań. Do armii czechosłowackiej miały być włączone 5 i 11 dywizja pancerna, a do armii niemieckiej - 4 i 12 dywizja zmechanizowana.

Bezwzględność i nieustępliwość Rosjan, którzy nawet nie chcieli dyskutować o możliwości wycofania z akcji armii NRD, obawiając się kierownictwo MON. Kukliński wspomina, że gen. Jaruzelski zakrzył się w swoim gabinecie i był niedostępny nawet dla najbliższego otoczenia. W podobnym stanie byli: Siwicki i Hupałowski, którzy przywieźli z Moskwy plan inwazji. Ten paraliż trwał przez 31 listopada i 1 grudnia. "Wszyscy czekali na jakiś cud." Analiza przywiezionych planów doprowadziła ludzi kierownictwa Sztabu Generalnego do stwierdzenia, że Rosjanie zupełnie nie orientują się w nastrojach społeczeństwa polskiego i w sile "Solidarności", że inwazja zwiększy wrotność, a nawet doprowadzi do ogólnonarodowego powstania. Na tym tle 2 grudnia Siwicki podjął próbę nakłonienia Jaruzelskiego do ponowienia rozmów z Rosjanami i przedłożenia im nowych, innych opcji, a w szczególności wprowadzenia stanu wojennego bez czekania na sprzyjający moment. Wódz jednak znajdował się nadal w stanie apatii i nie dopuszczał do żadnych z nim dyskusji. Sytuację uratował - o paradoksalnie! - gen. Broni Eugeniusz Moleczyk, znany od dawna jako twardogłowy zaufany Moskwy. On to po powrocie z posiedzenia ministrów obrony Układu Warszawskiego w Bukareszcie i zapoznaniu się z radzieckimi planami inwazyjnymi nakłonił Jaruzelskiego w końcu do podjęcia rozmów z Rosjanami argumentem, że "historia nam nie wybaczy, jeśli oni nas wyprzedzą". Głw. Moleczyka, wiceministra obrony narodowej, głównego inspektora szkolenia i przewidywanego dowódcy frontu polskiego na wypadek wojny, potraktowano jako sygnał pewnych zmian. To skłoniło Jaruzelskiego do podjęcia próby zaprzeczenia

5 grudnia na szczycie paktu warszawskiego w Moskwie nowego planu rozprzestwienia się z kontrrewolucją własnymi siłami. Kukliński podkreśla, że mimo szkoku, a potem przyzgnięcia w MON nikt nie wysunął propozycji jakiegokolwiek gestu samopobrocy, tak jak to było w roku 1956, nie mówiąc już o jakimś zbrojnym przeciwstawieniu się akcji "przwiązci".  
 Nowe obietnice Jaruzelskiego, a także nacisk państw zachodnich spowodowały odroczenie zamiarów Rosjan. Interwencja z pewnością zmusiłaby do przerwania politycznego odprężenia w Europie, naruszyłaby współpracę ekonomiczną między Wschodem i Zachodem, spowodowałaby zwiększenie zbrojeń NATO, prawdopodobnie też przyspieszyłaby otwartą współpracę wojskową Stanów Zjednoczonych i Chin. Reakcja USA była bardzo ostra. 3 grudnia prezydent Carter wysłał ostrą depezę do Breżniewa ostrzegającą przed użyciem siły przeciwko Polsce. 4 grudnia oświadczenie o tej samej treści Carter złożył publicznie.

★

Moskiewski szczyt groźby interwencji bynajmniej całkiem nie zlikwidował. Uświadomił tylko polskiemu kierownictwu, że odrotu od uderzenia nie ma. Pytanie tylko, kto je wykona. 10 grudnia 1980 roku przystąpiono więc do nowelizacji planów stanu wojennego, tak by można go było wprowadzić na wiosnę, kiedy spodziewano się większego zmeżenia społeczeństwa. Przygotowaniem MSW do wiosennej konfrontacji kierował osobiście Miroslaw Milewski, bezpośrednią koordynacją poczynił w tym resorcie zajmował się zaś wiceminister gen. Bogusław Stachura, mając do swej dyspozycji swego wodzaka w sztab z pułkownikami: Bronisławem Pawlikowskim, Janem Wasilukiem i Janem Czyżewskim. Dalej Kukliński wymienia nazwiska najważniejszych policmajstrów i ubowców, biorących udział w przygotowywaniu napadu na naród: Beima, Szwikowskiego, Ciastonia /potem miał on odegrać ponurą, acz publicznie nie wyjaśnioną rolę w morderstwie księdza Popiełuszki/, Cwieka, Straszewskiego, Sarewicza, Walczyńskiego, Wójcickiego, Januszewskiego, Kwiatkowskiego, Wielocha, Góreckiego, Jedyńska. Wysiłki swe koncentrowali na agenturalnym penetrowaniu "Solidarności" i środowisk niezależnych i na przygotowywaniu list aresztowanych - już wtedy około 4 tysiące osób. Z nich 240 objęto stałą inwigilacją, aby ich można było aresztować w każdej chwili.  
 MON zajmował się wtedy przede wszystkim opracowywaniem aktów prawnych, czy raczej bezprawnych, przejmowaniem od MSW ochrony "obiektów specjalnych", uszczegółowieniem koncepcji użycia jednostek wojskowych i ich współdziałaniem z MSW, przygotowywaniem mobilizacji i militaryzacji oraz przysposobieniem resortów cywilnych do działania w warunkach stanu wojennego.  
 Przygotowywaniem nowych "praw" kierował generał broni Tadeusz Tuczapski - wszystkie dekrety, a nawet obwieszczenia o stanie wojennym były redagowane w sekretariacie KOK przy ul. Żywieckiego pod nadzorem szefa tego sekretariatu, późniejszego prezydenta Warszawy gen. dyw. Mieczysława Dębickiego. Redagowali je: pik Tadeusz Malicki i podlegli mu pracownicy wojskowi.  
 Szczegółowym planem użycia sił zbrojnych zajmował się pik - obecnie już generał - Franciszek Fuchała, mobilizacją i militaryzacją - wówczas gen. dyw. Antoni Jasirski. W resortach cywilnych stanem wojennym zajmowali się odpowiedni

wiceministrowie, a także dyrektorzy departamentów wojskowych. Przygotowaniem propagandy z ramienia KC PZPR zajmował się Walery Namiołkiewicz. Pierwszy projekt radiowo-telewizyjnego wystąpienia premiera PRL przygotował główny zarząd polityczny wojska z jego szefem gen. bryg. Tadeuszem Szaciło, Kuklińskiemu osobiście przypadło w udziale robocze zgrzyanie, koordynacja początna wszystkich uczestników spisku oraz opracowanie centralnego planu kierowania państwem w stanie wojennym. Pomiędzy uczestnikami puczu utrzymywały się dość duże różnice w wielu kwestiach - szczególnie między MON i MSW. Dlatego Jaruzelski natychmiast po objęciu stanowiska premiera polecił przeprowadzenie "gry decyzyjnej" wszystkich uczestników planowania, by usunąć rozbieżności i zintegrować plany pod jednym kierownictwem. 16 lutego 1981 roku, gdy kraj był jeszcze pod wrażeniem exposé premiera i jego apelu o 90 społecznych dni, w guli inspektoratu obrony terytorialnej przy Al. Niepodległości odbyła się cwa gra, w której uczestniczyło 45 wyższych oficerów MON i MSW, oraz dwóch przedstawicieli wydziału propagandy KC. Przewodniczyli jej: Milewski i Siwicki. Mimo starannego doboru uczestników, wszyscy musieli podpisać specjalne zobowiązanie do zachowania tajemnicy, niczego nie przedstawiono na piśmie, wszystko referowano z pamięci, zaś do robienia notatek upoważnieni byli jedynie dwaj oficerowie z MSW i dwaj z MON - wśród nich właśnie Kukliński. Jak widać, spiskowcy nie ufali nawet sobie. To może napawać pewnym optymizmem, zwłaszcza że wśród nich istotnie znalazł się jeden "zdrajca". Uczestnicy gry doszli do wniosku, że zlikwidowanie "Solidarności" będzie możliwe jedynie przy jej pełnym zaskoczeniu, odrzucili więc np. pomysły gen. Tuczapskiego, by Sejm uchwalił nadzwyczajne pełnomocnictwa dla rządu. Ustalono, że stan wojenny będzie wprowadzony w nocy z soboty na niedzielę. Zaplanowano operację "Wiosna" - internowanie 6 tysięcy aktywistów "Solidarności" i niezależnych organizacji. Na 12 do 6 godzin przed wprowadzeniem stanu wojennego. Podzielono kompetencje między MSW i MON.

20 lutego wnioski z gry przedstawiono do akceptacji Jaruzelskiemu. Po jego poprawkach miało z tego stworzyć "Informację o stanie przygotowań państwa do wprowadzenia stanu wojennego", która przywódca PRL miał przedstawić swym radzieckim odpowiedcom w czasie XXVI Zjazdu KPZR. 3 marca Jaruzelski spotkał się na Kremlu z premierem Tichonowem. Z oficjalnego komunikatu polskie społeczeństwo mogło się dowiedzieć, że omawiano problemy współpracy opartej na zasadach równości i wzajemnej braterskiej pomocy. Mało kto wiedział, że przedmiotem rozmowy była wspomniana już informacja o stanie wojennym. Dlatego zapiętego już na ostatni guzik planu wprowadzenia stanu wojennego nie zrealizowano wiosną 1981 roku, zaś w marcu i kwietniu ponownie pojawiła się groźba interwencji? W odpowiedzi pułkownik Kukliński stwierdza, że władze, mając opracowane plany, nie widziały jednak szans ich urzeczywistnienia. Stosunek sił był nadal niekorzystny. Jaruzelski starał się przekonywać Rojjan, że jeszcze trzeba poczekać, że "Solidarność" straci poparcie społeczne, zaś rząd zyska przynajmniej częściowe poparcie. Chodziło też o konsolidację MSW i partii, znajdującej się w stanie rozkładu.

W tej sytuacji Moskwa zarządziła od 16 marca wielkie manewry z udziałem 160 tysięcy żołnierzy. W tym na terenie PRL - 30 tysięcy. W ramach przygotowań do ćwiczeń jeszcze w lutym przybyła do Polski grupa 18 generałów sowieckich, którzy odbyli podróże po okręgach wojskowych, dywizjach, a nawet pułkach, wypytując o stosunek kadry dowodzącej do kontrrewolucji. 14 lutego zaczęły przybywać rosyjskie grupy rekonesansowe. Nie interesowały ich jednak poligony, lecz takie obiekty jak ... lotnisko Gocie i centrum radio-telewizyjne na ul. Woronicza, czy też Kuba Warszawa, FSO, Stocznia Gdańska, kluczowe zakłady Bibliaza, Szczecina, Poznań, Wrocław, Świdnica. Interesowano się także lasami w pobliżu dużych miast. Jedną z dywizji miała zająć Puszcę Kampinoską, inną - rejon Pyr. Za zgodą Jaruzelskiego i Siwickiego przekazano Rosjanom nawet plany budynków użyteczności publicznej w Warszawie i w innych miastach, wytypowanych na radzieckie komendantury.

16 marca zaczęły się ćwiczenia "Sojuz 81", zaś 19 nastąpiła pamiętna prowokacja bydgoska. "Dla władzy to "rozpoznanie walki" wypadło fatalnie. Jak pamiętamy, /.../ protestowała cała Polska. Wobec tak jednoznacznej postawy społeczeństwa, które potępiło prowokację, rząd gen. Jaruzelskiego zaczął się cofać, ale szybko się okazało, że na żadne cofanie nie ma miejsca, bo z tyłu stoi marszałek Kulikow z jego Armią Czerwoną."

Zaczęła się więc wojna nerwów. Gdy rząd próbował poszukiwać jakiejś formy kompromisu z "Solidarnością" zapowiadającą strajk powszechny, Rosjanie bezterminowo przedłużają ćwiczenia "Sojuz", które miały się skończyć 25 marca. Oznaczało to nie tylko pretekst do wprowadzenia na terytorium PRL armii

"zaprzyjaciłonej", lecz także istnienie niezależnego od Sztabu Generalnego WP ośrodka dowodzenia armią polską, co umożliwiałoby w razie potrzeby przejście go przez znanego z podporządkowania Moskwie gen. Eugeniusza Molczyka. Rosjanie zażądali też wydzielenia miejsc na Centralnym Stanowisku Dowodzenia Obroną Powietrzną Kraju w Pyrach dla dużej grupy oficerów radzieckich, co w praktyce oznaczało przejście przez nich całkowitej kontroli obszaru powietrznego Polski.

27 marca przybyła do Warszawy 30-osobowa grupa funkcjonariuszy KG, radzieckiego ministerstwa obrony i gospodaru, by zapoznać się z planami wprowadzenia stanu wojennego. Przewodzili im: Kulikow i pierwszy zastępca Andropowa - ówczesnego szefa KG. Inspekcja nie wypadła najlepiej, ponieważ Rosjanie uznali plany za niewystarczające. Zażądali zawieszenia konstytucji, przekazania całej władzy - również w terenie - wojsku, nasilenia walki z "Solidarnością", wprowadzenia sądów doraźnych, przyjęcia doradców radzieckich do Sztabu Generalnego, dowództw okręgów i rodzajów sił zbrojnych. Autorzy "konsultacji" /tak to zostało nazwane! / zażyczyli sobie przedstawienia nowej wersji planów natychmiast po naświetleniu poprawek.

Dla wykazania Rosjanom, że właściwie cała polska partia jest za kompromisem Kania zwołał na 28 marca 1981 roku IX Plenum KC PZPR, które - jak wiadomo - podjęło uchwałę wyrażającą wolę dialogu i porozumienia. W ślad za tym ogłoszono raport w sprawie bydgoskiej prowokacji. Społeczeństwo odczekało, zaś Moskwa się rozgniewała. 3 kwietnia wieczorem Kania i Jaruzelski polecili do Moskwy, by stanąć przed gniewnym obliczem Breżniewa. Wrócili nad ranem. Jeszcze przed ich odlotem rozpoczęła się "powietrzna wojna nerwów nad Polską". Kukliński szczegółowo mówi



o nieustannych przelotach całych flot bojowych śmigłowców i radzieckich samolotów transportowych - bez informowania o tym polskiego MON ani organów kontroli ruchu lotniczego. Pytania gen. Siwickiego są zbywane różnymi odpowiedziami, najwyraźniej nie uzgadnianymi, co tylko świadczy o kompletnym lekceważeniu polskich sojuszników.

8 kwietnia zjeżdża do Warszawy Kulikow ze swoją świtą, by sprawdzić, czy zmiany w planach stanu wojennego zostały dokonane zgodnie z życzeniem radzieckich przyjaciół. Tym razem inspekcja wypada w zasadzie zadowolająco. Rosjanie domagają się jednak jeszcze jednego "drobiazgu": by wszystkie dokumenty, łącznie z uchwałami i dekretemi Rady Państwa PRL zostały podpisane, tak aby w każdej chwili mogły być wprowadzone w życie. Tego samego dnia Kulikow i jego szef sztabu Gribkow opuszczają Polskę, zostawiając jednak w radzieckiej jednostce łączności w Rembertowie grupę operacyjną sztabu Armii Radzieckiej. Grupa operacyjna sztabu Paktu Warszawskiego umieszczona zostaje w Legionicy. W nocy z 9 na 10 kwietnia Kukliński jest w sztabie generalnym świadkiem następnego aktu wojny nerwów: Rosjanie zgłosili przylot do Polski z Rygi, Wilna i Dwowa 47 wielkich samolotów transportowych, zaś śmigłowce bojowe fruwały na trasie Brzeg - Toruń.

To jest uwertura, po której w okolicach Świnoujścia ląduje ponownie Kulikow i żąda rozmowy z Jaruzelskim. Ten zaś zwleka: W Sztabie Generalnym zapoznaje się z "poprawionymi" na życzenie Rosjan planami stanu wojennego, stwierdza przygnębiony, że "w najczarniejszych zakątkach meł wyobraźni nie znajduję myśli, że coś takiego możemy zrobić. Nie chciałbym już być premierem, kiedy trzeba będzie podpisać te dokumenty do realizacji". Był jednak premierem - i nie tylko premierem - gdy je kilka miesięcy później podpisywał ...

13 kwietnia jednak Jaruzelski w rozmowie z Kulikowem przeciwstawił się podpisaniu owych dokumentów i sprecyzowaniu terminu wprowadzenia stanu wojennego. Tymczasem groźba interwencji zdawała się zwiększać. "Solidarność" zaczęła informować o pojawianiu się w terenie nowych jednostek i instalacji radzieckich. Sztab Generalny Wojska Polskiego nie miał o tym zielonego pojęcia! Grupa jego starszych oficerów zaczęła nieoficjalnie, na własną rękę te informacje sprawdzać. Wszystkie się potwierdzały! Szef sztabu w co nie wierzył, polecił zdementowanie pogłosek w telewizji, w wywiadzie z gen. Michałem Strygą - pełnomocnikiem rządu do spraw pobytu wojsk radzieckich w Polsce. Do nadania wywiadu nie doszło, bowiem zaczęły napływać - już oficjalne - informacje o jednostkach wojskowych, a w końcu potwierdzenie ich od samych Rosjan. Szef sztabu Północnej Grupy Wojsk Radzieckich przyznał, że w 18 rejonach rozwinięto instalacje łączności. Bez informowania, nie mówiąc już o pytaniu o zgodę, władz suwerennego państwa! "Kultura" pyta jeszcze o kulisy prowokacji w Bydgoszczy. Pułkownik Kukliński stwierdza, że z całą pewnością Jaruzelski i Siwicki byli na bieżąco informowani o przebiegu wypadków, że Jaruzelski udawał nieobecnego, gdy 19 marca wieczorem Lech Wałęsa usiłował dodzwonić się do niego, że oddział propagandy specjalnej, Głównego Zarządu Politycznego WP pod osobistym nadzorem generałów Szaciło i Baryły preparował dywersyjne ulotki o sarokaleczeniu się Rulewskiego, zrzucone w nocy z 19 na 20 marca nad Bydgoszczą z wojskowego samolotu na polecenie Siwickiego.

Wiele uwagi poświęca pułkownik Kukliński osobie marszałka Kulikowa i roli, którą grał w polskim dramacie. Była znacznie większa od tej, którą odegrał w roku 1968 jego poprzednik marszałek Jakubowski w pacyfikacji Czechosłowacji. Jakubowski zajmował się bowiem wyłącznie wojskową stroną operacji, podczas gdy Kulikow wziął także na siebie główny ciężar bezpośrednich kontaktów i rozmów z partyjno-politycznym kierownictwem PRL. "Kontakty Kani i Jaruzelskiego z Breżniewem były tylko od święta. Na co dzień torturował ich wyłącznie Kulikow. U schyłku kryzysu Kulikow nawet nie zawsze i nie ze wszystkimi chciał rozmawiać. Szczycił się na przykład tym, że w pałacyku przy ulicy Sulkiewicza, gdzie czasami rezydował, wyrzucił Kanię za drzwi..."



Z planów inwazji wiosną 1981 roku Moskwa - zdaniem Kuklińskiego - zrezygnowała z tych samych powodów, co w grudniu 1980. Z jednej strony - chodziło o naciski dyplomatyczne nowej administracji amerykańskiej prezydenta Reagana, z drugiej - obawa przed reakcją społeczeństwa polskiego, a nawet wojska, w którym idee "Solidarności" udzielały się nie tylko poborowym, lecz także dużej części kadry oficerskiej. Nawet organizacja partyjna Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego potępiła prowokację bycgoską i imiennie - zamieszany w nią Główny Zarząd Polityczny WP.

O ile Kania konsekwentnie sprzeciwiał się użyciu siły przeciw społeczeństwu, o tyle postawa Jaruzelskiego pod wpływem nacisków Moskwy i rodzimej targowicy wyraźnie zmieniła się. Krytyczny moment przyszedł na początku września, w okresie kryzysu na tle walki "Solidarności" o dostęp do środków przekazu. Również wtedy Kania odmówił zgody na użycie siły, mówiąc Jaruzelskiemu, że musi dotrzymać danego publicznie słowa. Wobec tego generał zwołał na 13 września posiedzenie Komitetu Obrony Kraju, na które zaprosił Stanisława Kanię, by wyrzucił na niego presję. Posiedzenie było dokładnie wyreżyserowane. Generałowie - z Kiszczakiem na czele - przedstawili "druzgoczące dowody" parcia "Solidarności" do kontrrewolucyjnej zmiany ustroju. Gen. Siwicki przedstawił plan działań, zaś Tuczański - akty prawne stanu wojennego. Za jego wprowadzeniem wypowiedzieli się wszyscy członkowie KOK. Kania - zaskoczony przebiegiem posiedzenia - jednak zgody na to nie wyraził. Od tego momentu stał się przeszkodą, którą należało usunąć, co zresztą nie było trudne, jako że od IX Zjazdu PZPR był już przez Moskwę zupełnie ignorowany. Prawdopodobnie 13 września postanowiono pozbawić go władzy nad partią; 18 października zaś zrezygnował z niej formalnie na IV Plenum KC. 14 września na polecenie Jaruzelskiego Sztab Generalny rozpoczął szczegółowe opracowywanie wariantów wprowadzenia stanu wojennego w zależności od rozwoju wypadków, zaś MCN przechodził na wojenną strukturę dowodzenia. W Zarządzie Operacyjnym Sztabu Generalnego miały funkcjonować dwa zespoły: planowania - na czele z Kuklińskim i dowodzenia - z pik Franciszkiem Puchałą. Stopniowo ciężar przygotowań zaczął się przesuwać do MSW i wydziału propagandy KC, gdzie miano przygotować alibi dla Jaruzelskiego, który dobrze zdawał sobie sprawę, że w Polsce będzie potępiony ten, kto użyje siły przeciwko własnemu narodowi. Uruchomiono więc wszelkie siły, by dyskredytować "Solidarność" w oczach

opini publicznej, by wykazać, że przywódcy związku pchają kraj ku konfrontacji.  
 Decydująco na dalszy bieg wypadków wpłynęła fala strajków w końcu października, a szczególnie jednogodzinny ostrzegawczy strajk powszechny 28 października 1981 roku. Został on bowiem uznany przez władze za niedopuszczalny. Sztab generalny obliczał, że poparło go zaledwie niecałe 40% członków "Solidarności", ponad połowa zakładów i pracowników uznała, że był nieusprawiedliwiony i nie wzięła w nim udziału. "Była to najlepsza wiadomość, jaką Kuliłow usłyszał od wielu miesięcy" - stwierdza Kukliński, który miał w tym momencie sposobność obserwowania swego ówczesnego oberzefa na posiedzeniu Rady Wojskowej Układu Warszawskiego w Budapeszcie. "Kiedy 31 października wraz z delegacją WP pod przewodnictwem gen. Molczyka wyładowaliśmy na płycie wojskowej lotniska Okęcie, od jednej z najwyższ postawionych osobistości wojskowych, które nas witają, usłyszałem to, czego się obawiałem już 13 września: "Decyzja już zapada. W tej chwili "Najwyższy", czyli Jaruzelski, uzgadnia z sojusznikami konkretny termin i plan operacji"."

2 listopada zastępca szefa sztabu, gen.dyw. Jerzy Skalski poinformował najwyższych oficerów planujących stan wojenny - w tym również Kuklińskiego - o dwóch nowych, bardzo ważnych okolicznościach. Pierwszą było skierowanie do Jaruzelskiego przez grupę sekretarzy szczebla centralnego i terenowego formalnego ultimatum, w którym zagrozili przejęciem inicjatywy w swoje ręce w przypadku dalszego zwlekania z rozpoczęciem akcji. Kukliński jest pewien, że w tym gronie byli m.in. Olszowski, Kociłek, Grabski, a w wojsku - generałowie: Molczyk, Sawczuk, Tadeusz Krepki i paru innych. Drugą, bulwersującą uczestników spotkania u Skalskiego okolicznością, była informacja "z wiarygodnego źródła, że Amerykanie są w posiadaniu najnowszej wersji naszych planów łącznie z projektami form prawnych regulujących stan wojenny". Obie skłaniały do podobnych wniosków: należały akcję przeciwko narodowi przeprowadzić jak najszybciej aby uprzędzić działania zarówno twardegołowych, jak i ostrzeżonej przez Amerykanów "Solidarności".

Jednocześnie, oczywiście, wszczęto energiczne śledztwo, by wykryć źródło przecieków. Wtajemniczonych i jednocześnie podejrzanych nie było wielu, więc Kukliński, który już od pewnego czasu liczył się z aresztowaniem w związku z wcześniej stwierdzonymi przeciekami do "Solidarności", zdał sobie sprawę, że jego rola się kończy.

7 listopada po odprawie w sztabie upewnił się, że już nic nie może zapobiec wprowadzeniu stanu wojennego. Był to ostatni dzień jego służby w Ludowym Wojsku Polskim. Postanowił opuścić kraj z częścią zgromadzonych przez siebie bezcennych dokumentów. Jak to zrobił - pozostaje tajemnicą.

★

Wywiad, udzielony "Kulturze" przez pułkownika dyplomowanego Ryszarda J. Kuklińskiego czyta się jak pasjonujący kryminał, jak rewelacyjny dokument odsłaniający kulisy wydarzeń historycznych. Mimo woli nasuwają się analogie z rewelacjami Józefa Światło sprzed przeszło trzydziestu lat. Tante, odsłaniając mechanizmy władzy opartej na zbrodni, na straszliwym terrorku UB i stalinowskich agentur, przyczyniły się z pewnością do



kompromitacji reżimu Bieruta, do jego upadku. Rewelacje pułkownika Kuklińskiego raczej do przewrotu na szczytach władzy PRL nie doprowadzą. Przede wszystkim dlatego, że dzisiaj niewiele jest "wierzących" komunistów, którym trzeba otwierać oazy. Jest grupa Gyników, którzy zwiążali swoje aspiracje życiowe z tym ustrojem i systemem politycznym - w tym, przedstawieni przez Kuklińskiego, całkowicie zaprzeczni Moskwie i oficierowie wojska i bezpieki, a z drugiej strony - jest zupełnie już pozbawione złudzeń społeczeństwo. Nawet dla szarego, lecz w miarę spostrzegawczego obywatela PRL, większość informacji zawartych w wywiadzie jedynie potwierdza przypuszczenia, uzupełnia brakujące kamyczki mozaiki, układającej się w obraz Polski lat 1980-81. Te kamyczki zresztą pasują do siebie idealnie, co z pewnością przydaje wiarygodności Kuklińskiemu. Mimo to, są w wywiadzie informacje działające mocno na uczucia i emocje czytającego: te o zdradzie Porozumień Sierpniowych jeszcze przed ich podpisaniem; te o bezczelności Kulikowa; o traktowaniu przez Moskwę ich - pełniących obowiązki Polaków - podwładnych w generalskich mundurach LWP; o służalczości i wierności tych ostatnich; o tym wreszcie, że n i k o m u z kierownictwa polityczno-wojskowego PRL w ogóle nie przyszło do głowy przeciwstawić się naciskom ze Wschodu ... Przerazający w swej wymowie jest ostatni fragment wywiadu, w którym Kukliński mówi o zależności Wojska Polskiego od dowództwa radzieckiego. W okresie wojny lub zagrożenia wojennego będzie to uzależnienie c a ł k o w i t e. Zgodnie z przyjętym przez PRL na przełomie roku 1979/80 "statutem Zjednoczonych Sił Zbrojnych i organów kierowania nimi na czas wojny", dowodzenie wojskami polskimi przechodzi całkowicie w ręce tzw. Jedynego Najwyższego Naczelnego Dowództwa, którym będzie po prostu dowództwo Armii Radzieckiej z jej sztabem. Strona polska zgodziła się nawet na to, że przy tym dowództwie nie będzie żadnego polskiego przedstawicielstwa lub choćby misji łącznikowej! Na niższych szczeblach: Polski Front, a więc wojska lądowe i lotnictwo ma podlegać radziekiemu naczelnemu dowódcy na zachodnim teatrze działań wojennych, cała Marynarka Wojenna PRL ma być włączona do Floty Baltyckiej ZSRR, nawet wojska obrony powietrznej kraju, a więc trzon obrony własnego terytorium, mają być dowodzone przez Rosjan i mogą być używane ... poza terytorium Polski !!!

Wszelkie rozkazy mają być kierowane do wojsk polskich bezpośrednio, z pominięciem polskiego dowództwa, w którego gestii pozostają jedynie nieliczne jednostki pomocnicze, wspomagające i zapatrujące tranzyt wojsk radzieckich oraz szkolące rezerwy. Żołnierze LWP nie będą mieli zagwarantowanej polskiej jurysdykcji ...

O tych ustaleniach - jak twierdzi Kukliński - nikt w LWP nie miał zielonego pojęcia poza ścisłym kierownictwem MON - nawet dowódcy okręgów i rodzajów sił zbrojnych znają je tylko fragmentarycznie.

Również w czasie pokoju tzw. Zjednoczone Dowództwo Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego jest w całości, aż do szczebla szefa oddziału w sztabie, obsadzone przez kadrę radziecką. Oficerowie innych armii spełniają wyłącznie funkcje informacyjne i łącznikowe. Wspomiane dowództwo jest po prostu filią radzieckiego sztabu generalnego.

To Moskwa określa stan liczebny Wojska Polskiego, jego struktury, uzbrojenie, kierunki szkolenia, itp. Nawet /nieprawdziwy/ stan



Wojska Polskiego przedstawiony w czasie rokowań wiedeńskich określony został przez radziecki Sztab Generalny, w Moskwie! Kukliński był świadkiem, jak nieśmiała sugestia Świątkiewicza, by te dane nieco urealnnić, została skwitowana przez drugowizandkowego generała Armii Radzieckiej krótkim: nie! nie!

Wszystko to dowodzi, że zdrada Porozumień Siergiejewych była tylko logicznym następstwem zdrady zapoczątkowanej: postawienia się przez suwerennych narodu, sprawozdania PRL do ręki upokarzającego i wyzyskiwanego wasala. Rumuński satrapa Ceausescu naciskał, by zgodził się na jedyne, radzieckie dowództwo w razie wojny, po prostu wstał od stołu obrad i z całą delegacją opuścił Moskwę. Jeruzalski się na to nie zdobył. To jest fakt historyczny, któregoś dnia zmieniając patrystyczne frazesy w jego ustach oraz sprofanowaną retorykę.

Rewelacje Kuklińskiego z pewnością naszej sytuacji nie odmieniają, choć z pewnością utrudnią nieco życie generacjom, którzy ustami Urbana wyrażają swoją irytację, nie podejmując wszak - rzecz znamienita - ich merytorycznej krytyki. Czytelnikom tych rewelacji pozostaje zaś uświadomienie polskim chłopcóm decydującym się na wojenną karierę, komu w istocie będą służyli, do kogo i na czyj rozkaz będą musieli strzelać.

Opracował: P.G.

## Pytania o przyszłość

Konwersatorium "Doświadczenie i Przyszłość" wzywa wszystkich ludzi troszczących się o sprawy publiczne do dyskusji nad problemami kraju i sposobami ich rozwiązania. Konwersatorium, grupujące wybitnych intelektualistów, naukowców, publicystów i działaczy społecznych, rozpoczęło pracę jesienią 1978 - wówczas stawało się oczywiste, że Polska zbliża się do kolejnej katastrofy. Integrując przedstawicieli różnych zawodów, światopoglądów i orientacji politycznych "Dip" zachęcał do wspólnej rozmowy oraz wspólnych działań nad naprawą Rzeczypospolitej. Pracując przy pomocy ankiet i samujących je raportów przygotował cztery poważne opracowania; przedostatnie w lutym 1981, pod tytułem "Społeczeństwo wobec kryzysu", ostatnie - w kwietniu 1982, "Polska wobec stanu wojennego". Swoimi poprzednimi raportami przygotowywał "Dip", obok innych grup i środowisk, przemiany Sierpnia i miesiący, które po nim nastąpiły. Uczestnicy Konwersatorium czynnie wzięli się zarówno do grona doradców pomagających strajkującym w 1980 robotnikom, jak i do późniejszych, niezależnych działań społecznych, które obserwaliśmy i obserwujemy do dziś. Sygnalizując obecnemu apeli "Dip", opatrzonego charakternym opracowaniem nasświetlającym sytuację Polski w 1987, to: Stefan Bratkowski, Jerzy Ciemiński, Kazimierz Dziewanowski, Jan Górski, Jerzy Jaruzelski, Andrzej Krasiniński, Wojciech Łamentowicz, Jan Malanowski, Andrzej Oseka, Aleksander Paszyński, Jan Roshner, Henryk Samsonowicz, Andrzej Stelmachowski, Jerzy Stembrowicz, Jan Strzelecki, Jerzy Szacki, Klemens Szaniawski, Andrzej Szczyplowski, Ryszard Turaki, Andrzej Wisłowiejski, Janina Zakrzewska, Andrzej Zakrzewski, Witold Zalewski. "Świat wszedł w okres daleko idących przemian. Rozwój sytuacji w ZSRR bez względu na tendencje, które w nim zycieją, będzie miał poważny wpływ na rozwój sytuacji w Polsce - piszą dziś uczestnicy Konwersatorium. - Tak więc, niezależnie od tego jaki kierunek postępowania przyjmie władza, społeczeństwo powinno, naszym zdaniem, kontynuować poszukiwania własnych, alternatywnych

rozwiązają. Nieraz już widzieliśmy, że myśli, rodzące się w głowach i zapisane na papierze, przyjmowały w zmierzonych okolicznościach postać faktów materialnych."

"W dalszych rozważaniach - stwierdza "DiP" - bierzemy pod uwagę trzy punkty. Po pierwsze, procesy degradacji ekonomicznej, cywilizacyjnej i ekologicznej, nękające nasz kraj nie uległy zahamowaniu, a przeciwnie - w wielu dziedzinach nasilają się. Trzeba, jak sądzimy, wielkiego pogotowia obywatelskiego, by im się przeciwstawić. Po drugie, nie można zaakceptować tezy, że Polacy powinni biernie czekać na rozwój sytuacji zewnętrznej i ewentualne korzystne zmiany, jakie może on przynieść. Po trzecie, zwolnienie większości więźniów politycznych pozwala rozważyć hipotezę, że władze w PRL zaczynają dostrzegać powagę sytuacji i - być może - próbują stopniowo przejść do wariantu współpracy ze społeczeństwem. Jeśli to sformułowanie nie jest całkowicie błędne, trzeba by ustalić jakie są możliwe plany współpracy między społeczeństwem a władzą, jakie są tego warunki oraz co należy robić, aby taką możliwość przybliżyć. Jeśli natomiast powyższa hipoteza nie jest prawdziwa, to pora również myśleć i o tym." Dalej autorzy tych słów stwierdzają: "Chodzi o szeroką nad nimi dyskusję i o konkretne propozycje, projekty, programy." Proponują więc następujące obszary myślenia: demokracja; stosunki międzynarodowe; prawo i praworządność; gospodarka; wieś i rolnictwo; gospodarka komunalna; kwestia mieszkaniowa; polityka społeczna; edukacja narodowa; nauka; kultura.

A oto kilka pytań porządkujących te zagadnienia, jakie formuluje "DiP" - pytań wybranych tu spośród wielu innych: Jaka jest treść polskich aspiracji politycznych w istniejącym układzie warunków zewnętrznych? W jaki sposób działająca rzecz wytworzenia wspólnej, możliwie szeroko uzgodnionej wizji polskich celów w zakresie polityki międzynarodowej?

Jakie zjawiska w systemie obowiązującego prawa i w metodach jego stosowania należy uznać za najbardziej niebezpieczne z punktu widzenia wypełniania przez prawo funkcji regulatora społecznego? W jaki sposób należy przeciwdziałać procesowi "barbaryzacji prawa"?

Jak układać stosunki z kapitałem zagranicznym, na jakich warunkach, przy spożytkowaniu jakich wzorów? Na jakich warunkach pożądana byłaby współpraca z rynkiem radzieckim - tak, aby obie strony mogły czerpać istotne korzyści i aby można było uniknąć dalszej eksploatacji polskiego potencjału gospodarczego przez stronę radziecką?

Czy można stworzyć formy ogólnokrajowej wymiany poglądów między działaczami wiejskiego ruchu społecznego i gospodarczego? Jak zbliżyć się do rozwiązania najważniejszego problemu wsi, ustanowienia samorządu, który by choć częściowo uniezależnił wieś od niedołączanej i skorumpowanej administracji?

Jakimi sposobami może społeczeństwo oddziaływać na rzecz zażegnania katastrofy mieszkaniowej? Jakich środków użyć dla presji na zmianę polityki władz i systemu inwestowania? Jak zmusić ją do uznania, że jest to sprawa, w której nie ma chwili do stracenia?

Co można zrobić, aby przeciwdziałać: a/ wyczerpaniu czasu pracy, b/ pracy noctnej kobiet, c/ bezpłatnej pracy młodzieży, d/ pracy w warunkach niebezpiecznych dla zdrowia, e/ rosnącej

częstość i liczebność wypadków przy pracy?  
 Czy można liczyć na przygotowanie społecznymi siłami raportu o  
 stanie praw pracy w Polsce i ew. projektu "Kodeksu pracy"?  
 Jakże konkretne kroki można i należy przedsięwziąć, by w  
 warunkach degradacji cywilizacyjnej i gospodarczej zapewnić  
 młodzieży polskiej rozwój wysiłowy na miarę potrzeb epoki, na  
 miarę wymagań, jakie stawia położenie kraju?

## Strachy z Kosmosu

Mieszkańcy Warszawy i okolice zostali uszczęśliwieni radziecką  
 telewizją. Z radzieckiego satelity poprzez radziecki nadajnik.  
 /dar potężnego brata dla biednych Polaków/ umieszczony na  
 szczycie Pałacu Kultury i Nauki /to też dar/ zalewa ich teraz  
 radziecka głośność. My, na prowincji możemy tylko zazdrościć.  
 Pomiędzy spikerki mają ładniejsze i młodsze, a komentatorów  
 schludniejszych od Małczyńskiego i Popiołka. Korespondent  
 renomowanej gazety zachodniej stwierdził autorytatywnie, że  
 program z radzieckiego satelity nie jest gorzszy od telewizji PPL.  
 Nie wiadomo, czy należy się z tego cieszyć, czy wręcz odwrotnie.  
 Jedno jest pewne: w Warszawie można już t e ż oglądać  
 telewizję satelitarną. Powiało Europą. Wschodnią co prawda, ale  
 na to lepszą.

Zachodnia jest gorsza. Strażnicy naszej moralności i czystości  
 ideologicznej z zatoroszeniem połączonym z determinacją usiłują  
 nas obronić przed atakami z Kosmosu, skąd Reagan i jego  
 apoplecznicy już strzelają w naszą stronę obcymi treściami, nie  
 mówiąc o formach. Właściwie już od dawna wiedzieli, że era  
 porażek jest dostępnej /przynajmniej pod technicznym względem/  
 telewizji satelitarnej nadchodzi. Przygotowywali się do tego  
 nieszczęścia towarzysze doktorzy, docenci habilitowani i decydenci  
 nierahabilitowani, organizowali sympozja i narady. Po dziesięciu  
 mniej więcej latach otrzymali wynik swoich mozolnych badań,  
 przemyśleń, których celem było znalezienie odpowiedzi na  
 pytanie, czy Polakom można pozwolić na oglądanie obcych programów  
 telewizyjnych. Odpowiedź brzmi: NIE MOŻNOCI Po rosyjsku: NIEŁZIA.  
 Chodzi oczywiście o to, żeby nie zeszedł polskiego krajobrazu  
 talerzowymi antenami na dachach. Zatrzeszyć się o to minister  
 łączności, po czym czuwanie nad estetyką tegoż krajobrazu  
 przekazać ... ubecji. To nie jest przypadek, bowiem towarzyszy  
 Urbanski z Państwowej Inspekcji Radiowej boi się anten, które  
 mogą być niebezpieczne, mogą pod wpływem wiatru spaść komuś, nie  
 daj Boże, na głowę. Całe szczęście, że mamy Służbę Bezpieczeństwa,  
 która będzie z właściwą sobie sumiennością sprawdzała dachy,  
 balkony i strychy z myślą o naszym - oczywiście - bezpieczeństwie.  
 Tym paru osobom, które są godne zaufania, pozwolenie na  
 oglądanie obcych form i treści zostanie oczywiście udzielone.  
 Na wszelki wypadek jednak - tylko na rok. Dla bezpieczeństwa.  
 Niedawno "Głos Szczeciński" doniósł z ukontentowaniem, że w



Szczecinie i okolicy wydano aż 10 takich pozwoleń. Tu i ówdzie w oficjalnej prasie na fali głośności pozwolono sobie nawet na delikatne podważanie sensu zakazów, o których wiadomo, że i tak przepływu informacji nie zahamują. Przed przeszło trzydziestu laty rodacy na prymitywnych "Pionierkach" słuchali rewelacji Światły, teraz słuchają wywiadu z pułkownikiem Kuklińskim. Żadne jazgotzące zagłoszarki tu nie pomogą. Zrozumieli to już nawet zarządcy NRD i przestali sprawdzać, w jakim kierunku zorientowane są anteny telewizyjne na dachach domów ich poddanych. Węgrzy transmitują do swojego, tworzonoego właśnie systemu telewizji kablowej, program z Austrii. Tymczasem u nas, w kraju szczytującym się od wieków pluralizmem intelektualnym i tolerancją, o tym, co Polak może oglądać, decyduje już nie tylko cenzor, lecz zwykły kiszczakowski policjant!

## Przekleci czy błogosławieni?

Wypowiedź członka Rady Konsultacyjnej, mec. WŁADYSŁAWA SIŁY-NCWICKIEGO dla "Przekazu"

- *Jakie przestanki kierowały panem, gdy zdecydował się pan na uczestnictwo w Radzie?*

- Przyjąłem zaproszenie do udziału w Radzie Konsultacyjnej ze względu na to, że jestem konsekwentnym zwolennikiem dialogu. We wrześniu 1986 zwolniona została w Polsce ogromna większość więźniów politycznych. Było to spełnienie pewnego zasadniczego postulatu społeczeństwa. Rada Konsultacyjna ma być następnym krokiem w kierunku szukania porozumienia między władzą państwową a społeczeństwem. To porozumienie jest jednakowo potrzebne obu stronom. Nikt tu nikomu nie robi łaski. Jest ono dla nas wszystkich koniecznością, jeśli mamy pokonać trudności, jakie stoją przed nami. Na pierwszym posiedzeniu Rady Konsultacyjnej powiedziałem, że pokolenie które osiągnie porozumienie narodowe, będzie błogosławione, pokolenie które możliwości porozumienia zmarnuje, będzie przeklęte.

- *Jakie argumenty wysuwali w rozmowach z panem przeciwnicy udziału w Radzie? Czy jakieś zarzuty wobec Rady sprawdzili się?*

- Przeciwnicy udziału w Radzie, twierdzili, że będzie to jeszcze jedna organizacja fasadowa, bez żadnego znaczenia, służąca tylko celom propagandowym dla rządu. Obawy, że na posiedzeniu Rady nie będzie można wypowiedzieć swobodnie opinii i krytykować postępowania władz, jednak nie sprawdziły się. Wypowiedzi są zupełnie swobodne i zostały - jakkolwiek w niedostatecznie szerokim zakresie - ogłoszone. Czas pokaże czy krytyka okaże się skuteczna, a wysuwane postulaty - jak np.

zaniechanie wszelkiej dyskryminacji i utrudnień w pracy z powodów dawnej działalności związkowej - zostaną spełnione.

*- Wiele osób ma zastrzeżenie, co do braku konkretnego statusu Rady, co ułatwić może jej instrumentalne traktowanie. Czy może pan to skomentować?*

- Rada nie jest instytucją stacjonującą. Ma uprawnienia wydawania opinii i ocen, podejmowania krytyki, wysuwania postulatów. Na razie można powiedzieć, że poglądy członków Rady są przedstawiane otwarcie, a krytyka postępowania władz - bardzo surowa. Powiedziano na przykład na Radzie, że państwo nie walczy z alkoholizmem, bo czerpie zyski z monopolu. Jak jednak będzie z uwzględnieniem postulatów członków Rady przez władze państwowe - pokaże czas... Moją obecność w Radzie uzależniam m.in. od tego, czy będzie nadal możliwość swobodnej krytyki; czy wypowiedzi na Radzie będą publikowane i czy wysuwane postulaty będą - choć częściowo realizowane przez władze. A zatem: czy głosy nasze nie będą głosami wołającego na puszczy. Natomiast nie uzależniam mojej bytności tam od wypowiedzi innych jej członków. Głosy, jakie są na Radzie, są rozmaite, ale ja jestem zwolennikiem pluralizmu i nie każdy musi w danej sprawie zgadzać się ze mną.

*- Czemu tak późno opublikowano materiały z I posiedzenia Rady? To posiedzenie odbyło się 6 grudnia 86, a jego stenogram opublikowano w kwietniu 1987. Czy postulaty podnoszone przez niektórych członków Rady, by mogła się ona zbierać z własnej inicjatywy, zostały zaakceptowane przez W. Jaruzelskiego?*

- Opóźnienie ogłoszenia materiałów z I posiedzenia tłumaczono tym, że niektórzy członkowie Rady bardzo długo nie autoryzowali swoich wystąpień. Obecnie przyjęto zasadę, że autoryzacji trzeba dokonać w ciągu 2 tygodni - w przeciwnym razie ogłoszony zostanie tekst taki, jaki został utrwalony na taśmie.

Postulaty, aby Rada mogła się zbierać z własnej inicjatywy, zostały w zasadzie przyjęte, ale jeszcze nie określono, jaka minimalna ilość jej członków musi w takim wnioskiem wystąpić.

*- Stoimy wobec groźby zamarnowania resztek aktywności społecznej, pesymисти mówią o możliwości wyrostego z frustracji, terroryzmu. Jakże społeczeństwo ma gwarancje autentyczności deklarowanych przez władze intencji?*

- Marnowanie aktywności społecznej jest jednym z naszych problemów zasadniczych. Nie wydaje mi się, abyśmy stali teraz wobec groźby terroryzmu. Stoimy natomiast wobec groźby niechęci do pracy, niechęci do aktywnego działania, zaniedbań, opuszczania rąk, swego rodzaju sabotażu. Społeczeństwo czeka pewnych gwarancji, czeka spełnienia postulatów demokratyzacji, zwiększenia zakresu wolności... Ludzie chcą być podmiotem, a nie przedmiotem: działają społecznych i jeśli to się zszcnie realizować, jeśli poprawiać się będzie sytuacja społeczeństwa da ono "żołnierza, który zechce się bić" o własną przyszłość.

*- Jako prawnik obserwuje pan zapewne negatywne zjawisko związane ze zwiększeniem represyjności w polityce karnej państwa. Czy za pośrednictwem Rady podjąć pan problem dużej*

*Wielki niemiecki przepiór przeważa, pozwalających na dowolne interpretowanie litery przez przez sądy i kolegia?*

- Polityka karna naszego państwa jest krytykowana na Radzie Konsultacyjnej. Wyszukane są postulaty objęcia abolicją - tzn. zupełnym puszczeniem w niepamięć i skreśleniem z rejestrów karnych wszystkich skazań o charakterze politycznym z okresu stanu wojennego. Wskazuje się też - to postuluje również nauka w Polsce - potrzebę złagodzenia przepisów karnych generalnie. Surowość naszych przepisów nie jest uzasadniona - należymy w dzisiejszym świecie do krajów wyjątkowo spokojnych.

Rozmawiał: JOT

## Podstuchane w tawernie:

- W kryzysie, w jakim znalazła się polska flota, zwłaszcza hamulców, nie ma zapotrzebowania na absolwentów szkół morskich. Ale równocześnie widak całą absurdalność przepisów, które nie pozwalają bezrobotnym absolwentom na pracę za granicą. Aby uzyskać na to zgodę trzeba najpierw odbyć pięcioletni staż we flocie krajowej, co jest wszak niemożliwe wobec braku miejsc pracy. Eddko się zamyka. W efekcie flota traci, wysyłając za granicę najbardziej doświadczonych marynarzy, "młodzież" zaś kładzie na lądzie wykonując prace nie związane w ogóle z morzem...

- Pogłębia się frustracja absolwentów WSM. Studenci rezygnują ze studiów, ale na ogół po III roku, kiedy to, po zaliczeniu szkolenia wojskowego, można łagodnie przejść do rezerwy. Wyższe szkoły morskie są bowiem jedynymi cywilnymi uczelniami, które w czasie studiów umożliwiają zaliczenie całej służby wojskowej. Jest to właściwie coraz częstszy dziś motyw napływu młodzieży do szkół o tym profilu.

- A w jakie warunki trafiają ci nieliczni, którym uda się zamustrować na statek? Na statkach panuje alkoholizm, druga zaś dominująca tam namiętność, to handel i przeryt. Przed obieną tylni pokusami rzadko chroni dziś autorytet kapitana, który - jako ten najstarszy w końcu na statku zarabiający - liczy się coraz mniej. Odporności na tę aurę panującą obecnie w polskiej flocie nie wyrabiają też uczelnie, którym brakuje dziś nauczycieli większego formatu, w rodzaju starej przedwojennej kadry oficerskiej. No i wreszcie - w kraju bida, a więc trzeba się nachapać jak najwięcej i jak najszybciej, by przegonić inflację ...

W sumie coraz bliżej nam do floty liberyjskiej pod każdym względem - tyle, że Liberia tę flotę ma nadal podją, ale wielką - my zaś niedługo nie będziemy mieć jej wcale, eksportując pozostającą po niej kadre właśnie do Liberii.

# Schadenfreude

Do instrumentów politycznych - wewnętrznych i zewnętrznych, chętnie stosowanych przez władzę, należy problem niemiecki. Taktyczne wzbudzenie niechęci do niektórych polityków RFN poprzez doprowadzenie do ich wypowiedzi obfitych komentarzy, wycłbrzymianie incydentów, straszenie zionkostwami, to tradycyjne chwytły, wzmacniane bądź wyciszane, zależnie od potrzeb. Jedną z nich jest przypominanie o zagrożeniu naszej państwowości ze strony NRD i odradzającym się tam rewizjonizmie. Zabiegi te przeważnie nie wzbudzają w społeczeństwie polskim niechęci i wrogości do Niemców jako ludzi /dla przypomnienia - w NRD żyją, jak wiadomo, "sami dobrzy..."/. Zapewne jedną z przyczyn są szerokie kontakty osobiste ułatwiające wzajemne poznanie a także duża pomoc materialna jakiej doświadczyliśmy w trudnym okresie stanu wojennego.

Wobec nieskuteczności starych ustod wykorzystano okazję, jaką były głupie wybryki publiczne i sędziwicowane głosy prasy w czasie wizyty w RFN papieża Jana Pawła II. Konstrukcja serwowanych w PRL komentarzy akcentowała polskosć papieża by na tym tle wyścisłej okazać złośliwość, wulgarność i wrogość, a także ostrą krytykę, z jaką się tam spotkał. Tak przedstawiała to rządowa propaganda, obszernie cytując zarzuty i epitetę /np. konserwatysta/. Z drugiej strony wiadomo, że prasa w krajach demokratycznych nie oszczędza nikogo i zawsze można tam znaleźć uszczypliwie publikacje. Poza tym "humor niemiecki" nie jest synchronizmem wdzięku, dobrego smaku i subtelności. Artykuły w "Sternie" i w "Spieglu", demonstracja negusów przed katedrą w Kolonii, zapewne nie należą do przykładów taktu i delikatności. Czy jednak dowodzą, że w RFN wszyscy Niemcy są wrogo nastawieni do Jana Pawła II dlatego, iż jest Polakiem? Wydaje się, że władze w Warszawie chciały upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: obudzić niechęć do Niemców i poprzez dobór cytatów wytknąć papieżowi to, co im samym powiedzieć byłoby niezręczanie.

## Terrorysty czy frustraci?

Trzy incydenty lotnicze w ciągu jednego tylko majowego tygodnia zwróciły uwagę opinii publicznej w Polsce i świecie. Najtragiczniejszy z nich, to katastrofa Ila-62; na wyjaśnienie jej przyczyn przyjdzie jeszcze trochę poczekać, i jeśli nawet dowiemy się prawdy o przyczynach tej masakry - to nie zostanie zapewne odwołany obowiązek korzystania w PRL-u z radzieckiej aparatury. Niestety. Dwa pozostałe wypadki, mimo że bez śmiertelnych ofiar, są właściwie również tragiczne. Ich sprawcami są młodzi: 18-latek, 21-latek i 22-latek, chłopcy. Jeden, milicjant i były student. Jeden, który porzywa autobus, by dostać się na lotnisko w Warszawie, wsiąść w podstawiony samolot i nieie



daleko stąd, a nie osiągnąwszy tego - detonuje na sobie porządany ładunek. Milicjant i jego kolega, którzy z bronią w rękę usiłują opanować mały samolot, by zbiec prosto z "szczytu" do "lepszego świata" w Szwecji lub na Bornholm. Szwedzi obrony beznadziejnie nieudane - mimo różnych swoich podstępów jednak terrorystyczne. Tyle, że terroryzm to jakby "z rozpaczy", niekonsekwentny i, na szczęście, bezradny. Widać, że nie zastosowali go profesjonalści, lecz niedzielni uciekinierzy z socjalistycznego raju - młodzi Polacy, którym, według wszelkiego prawdopodobieństwa, było tu niedobrze.

Cwałowość takiej formy emigracji - godna potępienia, ale przy tym intrygująca. Było im aż tak źle, że zdecydowali się na takie ryzyko /wybuch w autobusie, zestrzelenie przez lotnictwo wojskowe/? Byli aż tak zbuntowani - przeciw komu lub czemu? Dusili się brakiem perspektyw materialnych i duchowych? Blazego odrzucili przedtem wszystko, co najbliższe: dom, przyjaźni, ojczyznę? Czy dla tego - jak piszą niektórzy publicyści - "straconego pokolenia" - nie ma już w Polsce przyszłości? Byłoby tragicznie, gdyby odpowiedzi na te pytania w coraz szerszych kręgach młodzieży stawały się twierdzące. Wtedy narastającym morzu frustratów, szaleńcze akty agresji mogą być coraz częstsze, nie kończące się wcale na lotniakach, gdzie wyćwiczeni agenci ochrony dają sobie, jak na razie, radę z naiwnymi osiemnastolatkami.

Faru mądrych ludzi ostrzega od kilku lat przed narastającą beznadzieją i nie skanalizowanym buntem polskiej młodzieży. Mądrale z ministerstw, rad i komitetów twierdzą z kolei, że wystarczy piłka nożna, ciuch oraz disco. A jak nie wystarczy - skoro Jackowi Kalkowskiemu, poszukiwanemu listami gończymi zomowcovi z Gdańska nie wystarczy? Jego kolega, 22-letni Jędrzej Pedrycz, po ucieczce z pruszczańskiego lotniska, sam zgłosił się na posterunek MO /w Kolbudach/. Ile lat odsiadki dostanie ten "ciężki przestępca", jakie przejdzie wcześniej przesłuchania, i co z niego po nich zostanie? Jeśli tylko na karaniu polegać na rozwiązywanie skomplikowanych dziś problemów młodego pokolenia - to ogólniejszej od razu nową wersję programu mieszkaniowego "Główny cel - własna cela", i sprawa będzie załatwiona. Przyszłość kraju również.

## Gołabek pokoju

W terminologii urzędowej pojawił się nowy termin "plan Jaruzelskiego". Człowiek, generał zamierzał stać się "gołabkiem pokoju", który najpierw uratował własny kraj a teraz uchroni też Europę a może i więcej? Zawsze to propozycja bardziej przyzwoita niż oferta niesplacania zaciągniętych pożyczek. Zrozumiały rozgłos w kraju oraz pozyskanie belgijskiego ministra spraw zagranicznych Leo Tindemansa jako propagatora generalnego pomysłu wśród polityków państw zachodnich wskazują, że władze PRL zabiegają o wciągnięcie się z jakimś spektakularnym przedsięwzięciem na międzynarodową arenę. W sytuacji gdy gospodarka się sypie a ludzie zmęczeni codziennością tracą nadzieję na poprawę swego losu, władza chce przedstawić się światu jako aktywny ośrodek wielkiej polityki. Rzecz w tym, że prawie każdego dnia w różnych miejscach na kuli ziemskiej ogłoszone są różne plany i propozycje, co naturalnie zawsze wzbudza jakieś zainteresowanie. Czy w rzeczywistości europejskiej, której kształt nadaje polityka wielkich mocarstw, wzięcie z sali obrad PROM-u może wpłynąć na cokolwiek?

## "Raportujemy o dużej rozbieżności..."

### CE REDAKCJE:

działalność tak zwanych grup operacyjnych w pierwszych miesiącach od wyzwoleniu spod okupacji niemieckiej jest w Polsce od lat świadomie fałszowana. Okolicznościowe wywiady i doniesienia wspomnienia byłych pełnomocników rządu lubelskiego opisują grozę zniszczeń wojennych i opłakany stan wojenki trwałego, jaki przejmowali w administrację polską. Nie brak też barwnych opisów przygód, trudów i niebezpieczeństw, na jakie narażeni byli ludzie podążający tuż za piaszczą linią frontu. A jednak, jak wszystko co dotyczy pierwszych lat powojennych, publikacje te do dziś jeszcze pełne są niedoróbek. Zawierają tylko prawdy częściowe i należą do najubożniej retuszowanych przez cenzurę.

Przywisiłym powodem swego fryzowania historii jest drażliwa cenzura stosunek wojsk radzieckich do ludności cywilnej i najętku tymczasowego na terytoriach polskich odbitych od Niemiec. Formalnie stosunek wojska do przemysłu regulował rozkaz najwyższego dowódcy Armii Czerwonej nr 220172/S z dnia 9 sierpnia 1944 r. Rozkaz stanowił, iż wszystkie obiekty i zasoby przemysłowe stanowiące własność państwową, prywatną i przechodząca pod tymczasowy zarząd państwowy, to jest:

- zakłady przemysłowe wszelkiego rodzaju, kopalnie, fabryki, warsztaty /w tym wytwórnie przemysłu spożywczego/, młyny, piekarnie, itp;
- zakłady energetyczne, elektrownie, ślęć i zakłady wodne;
- zakłady użyteczności publicznej: gazownie, stacje wodociągowe, kanalizacyjne oraz ich ślęć;
- zakłady handlowe, hurtowe i detaliczne;
- zakłady surowca, półfabrykatów do produkcji żywności, opału, materiałów pędnych i technicznych, smarów, pasów, narzędzi itp., tak na miejscu w zakładach przemysłowych jak i poza nimi;
- budynki przemysłowe, mieszkalne i biurowe zakładów, urządzenia i sprzęt biurowy /maszyny do pisania, meble, itp./;

- dokumenty;
- wywakuowane przez okupantów i znajdujące się poza terenem zakładów w torach kolejowych, stacjach, itp. narzędzia, surowiec, produkcja, itp.

nie mogą być traktowane jako zdobycz wojenna Armii Czerwonej i Armii Wojska Polskiego i dowództwa wojskowe nie mogą nimi dysponować, ani ich częściowo nawet rekwirować za wyjątkiem materiałów pędnych i smarów, które uważane są za zdobycz wojenną. Za niepodlegającą dyskusji zdobycz wojenną uznawał rozkaz sztabu o uzbrojeniu, środki transportu, umundurowanie, materiały inżynierskie i inne materiały pozostawione przez armię niemiecką. Komendantzi garnizonów zobowiązani zostali do pomocy pełnomocnikom rządu w zabezpieczeniu mienia przed ewentualnymi rekwizycjami i innymi naruszeniami praw własności.

Rozkaz nr 220172/S obowiązywał do dnia 20 lutego 1945, kiedy to wydano tzw. Postanowienie Państwowego Komitetu Obrony ZSRR, które w sprawach Polski ustanawiało następujące wytyczne:

- Wszystkie obiekty przemysłowe na terenie Polski, nawet nowopobudowane, względnie rozbudowane przez okupanta przekazuje się Polsce.
- Ewentualny wywóz sprzętu i materiału pochodzącego z okresu po 1939 roku potrzebny armii sowieckiej może odbyć się tylko w porozumieniu z przedstawicielami polskimi. Odnosi się to jednak tylko do materiału i sprzętu niezbędnego do prowadzenia wojny.
- Przekazuje się miejscowym władzom polskim wszelkie składy ziarna, mąki, itp., o ile bezpośrednio materiały te nie są potrzebne do prowadzenia wojny.
- Przyjmuje się za zasadę wprowadzenie wszędzie administracji polskiej /aż po Odrę/ za wyjątkiem strefy przyfrontowej. W strefie tej, szerokości ca 60 km działają organy bezpieczeństwa armii. Dla zharmonizowania współpracy wprowadza się między dowództwem armii a pełnomocnikami grup operacyjnych, względnie administracji polskiej specjalnych łączników - oficerów polskich.

Od strony formalnej zarówno cytowany rozkaz Stalina jak i późniejsze "Postanowienia", także przez niego podpisane, były dla strony polskiej korzystne. A jednak w oficjalnych publikacjach na temat grup operacyjnych o dokumentach tych cisza. Tymczasem pełnomocnicy do spraw gospodarki delegowani przez Wydział Grup Operacyjnych Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów i Ministerstwo Przemysłu przybywali na teren opanowany przez Armię Czerwoną i od niej musieli przejąć większość majątku trwałego. Rozkazły naczelnego dowództwa wojsk radzieckich stanowiły więc dla polskich grup operacyjnych podstawę prawną do przejęcia majątku. Rzeczywistość tamtego okresu dalece jednak odbiegała od teorii obowiązujących praw i dlatego właśnie cytowanie tych praw jak i publikowanie pełnej prawdy o działalności grup operacyjnych jest tak bezczłownie cenzurowane. A jak wyglądała rzeczywistość? Jej pełny obraz skrywają archiwa partyjne i rządowe, włącz niedostępne nawet dla historyków. Na szczęście zachowało się jeszcze w formie rozproszonej sporo dokumentów z okresu początków PKL, których ujawnienie może odzwierciedlić skrywaną prawdę. Z takich właśnie rozproszonych źródeł pochodzą dokumenty poniżej dokonywanej Grupy Operacyjnej Pomorsze obejmującej zastępczo dzierżawę terytorium byłego Województwa Pomorskiego z siedzibą w Bydgoszczy. Są to raporty kierowane do ministra przemysłu Miłosława Miłca. Publikujemy je in extenso, bez skrótów i redakcyjnych poprawek.

## RAPORT NR 4 PEŁNOMOCNIKA GŁÓWNEGO dla Spraw Gospodarki na Pomorzu

### Dotyczy: sytuacji ogólnej.

Grupa Operacyjna działa zgodnie z programem. Całkowicie oswojony teren Pomorza jest objęty przez nas. We wszystkich bez wyjątku wypadkach nasi pełnomocnicy byli pierwszymi przedstawicielami władzy administracyjnej.

Cbocnie posuwamy się tuż za frontem, obejmując Świecie 13 lutego 1945 r. poprzez pobojuwisko w dwa dni po oswojeniu, mimo odległości 6-ciu km od pierwszej linii i wycekując uwolnienia Grudziądza dostownie pod bramami tegoż miasta.

Na całym dotąd objętym terenie Pomorza jest substancja produkcyjna przemysłu praktycznie biorąc nieuszkodzona i zabezpieczona, chociaż składy zapasów i gotowych wyrobów zostały prawie wszędzie po oswojeniu aplądrowane lub bezmyślnie zniszczone. Przemysłowy potencjał produkcyjny Pomorza jest w porównaniu z okresem roku 1939 bardzo powiększony zwłaszcza w zakresie przemysłu metalowego, przetwórczego i wojennego.

Praca pełnomocników jest na terenie Pomorza szczególnie ciężka i wymaga dużego samozaparcia. Większość naszych wysiłków musimy poświęcić władzom sowieckim i ich specyficznemu komentowaniu umów. Mimo to stwierdzamy stopniowe odzyskiwanie terenu w nasze wiadanie gospodarcze, nawet w wypadkach przemysłu zbrojeniowego.

Akty samowoli wojskowej są wciąż jeszcze na porządku dziennym. Pracę Grupy podzieliłem zgodnie z wytycznymi na dwa etapy: w I-szym pełnomocnik obejmuje i organizuje rejon przemysłowy, w II-gim koryguje i sprawdza swój rejon, tworzy załączki, organizuje wydział przemysłowy itd.

Szkic działalności rejonowej i położenie gospodarcze przedstawiam oddzielnie.

Przemysł Pomorza jest gotowy do pracy wytwórczej, jeżeli rozważymy:

- 1/ Zagadnienie stosunku władz wojskowych do przemysłu, do bieżącej produkcji przemysłowej - do ludności lutejszej.
- 2/ Zagadnienie energetyczno-opałowe.
- 3/ Zagadnienie polityki gospodarczej /płace i ceny, środki obiegowe, kredyt 30.000.000 złotych/.

### **Zagadnienie stosunku władz wojskowych na Pomorzu**

Stosunki nasze z władzami sowieckimi przechodziły zmienne koleje. W małych ośrodkach wojsko ustosunkowywało się życzliwie do naszych pełnomocników, pomagało w uporządkowywaniu terenu gospodarczego, a nawet o przydziały zgłaszało się do naszych pełnomocników, lecz nie zdejmowało swoich wart.

W większych ośrodkach jak Bydgoszcz, Toruń - musieliśmy stoczyć ciężkie boje z komendantami, którzy prawie codziennie wynajdowali preteksty dla utrzymania chaosu i samowoli ze strony oddziałów wojskowych. Dzisiaj teren jest mniej więcej uporządkowany - stworzyliśmy natychmiastowe informowanie o aktualnych grabieżach i trzeba wyjaśnić ze strony rządu



Wzeczypospolitej zasadnicze pytanie odnośnie własności i produkcji przemysłowej na Pomorzu. Władze wojskowe stoją na stanowisku, że wszystkie maszyny i wszelka produkcja od roku 1939 - stanowią własność niemiecką i winny być traktowane jako trofea wojenne. W terenie spotykamy oficerów sowieckich usiłujących spisywać odpowiednie maszyny i urządzenia. Wszelkie wartościowe zapasy, tysiące ton cukru, soli, wody, gotowych wyrobów metalowych itp., są obstawione wartami rosyjskimi. Zdobywamy pewne ilości dla potrzeb ludności, lecz wymaga to ogromnego nakładu energii i przebiegłości z naszej strony. Proszę usilnie o rządowe wyjaśnienie pojęcia "trofea wojskowe" gdyż podstawowy Rozkaz Najwyższego Dowódcy Czerwonej Armii Nr 220172/S z dnia 9 sierpnia 1944 r. został, według naszych informacji, odwołany, względnie nie jest honorowany. Naczelnikiem trofejnego oddziału I-szej Białoruskiej Armii jest generał ... or Zmakin. Wobec powyższego stanowiska, ewentualna bieżąca produkcja przemysłowa stoi pod groźbą konfiskaty przez wojska rosyjskie i dlatego sprawa ta ma zasadnicze znaczenie. Proszę o odpowiednią interwencję dyplomatyczną. Stosunek władz rosyjskich do ludności pomorskiej - wymaga pewnego wygowania, wobec masowego internowania wszystkich Polaków, którzy podlegali tzw. Finddeutsch'owaniu. Na Pomorzu był to zabieg przymusowy wobec ludności polskiej i tylko osoby karane sądowo zostały przez okupanta wyłączone. Dzisiaj jednostki te, o nieciekawej często przeszłości, szczerzą się, że zachowały legitymacje polskie, podczas gdy element przymusowy wcielony na listy niemieckie różnego stopnia podlegał internowaniu - a zakłady gospodarcze tracą nieraz swoją załogę. Reasumując stwierdzam, że lokalnie udało nam się dojść do porozumienia z niektórymi komendantami rosyjskimi, zasadniczo jednak sprawa własności przemysłowej i zapasów - jest sporna i wymaga centralnego rozstrzygnięcia.

## Zagadnienia gospodarcze

Władze sowieckie /komendanci wojsni względnie ich zastępcy w Toruniu: major Zieliński, major Skoczko, major Głazunow, w Chełmży - lejtnant/ twierdzą nadal, że wszystkie surowce i produkty znajdujące się na terenie miasta i powiatu Torunia są łeb zdobyczą wojenną i wyłączną własnością Armii Czerwonej. Także niektóre fabryki w całości np. fabryka "Unica" i Worn Seltzer w Toruniu, Hurtownia Materiałów Żelaznych C.B. Dietrich i Syn /materiały rolnicze i budowlane/ składy farb i materiałów drogerijnych - Kapucyński.

W krynach Rychtara, Lubickich, Ostaszewo, Faktoryfikacji Ekspozytu w Toruniu, Kuchni Miejskiej, w Fabryce Konserw Sólczona, Cukrowni Chełmża, Cukrowni Uniatów, Kołno, w Fabryce Lasek w Uniatów w Uniatów, w Fabryce Formelady Składe, w całości powołali na naszą maszyną urządzeń, dysponują w całości magnetyzami i produktami wytwarzane je masowo bez zapłaty, powitowania, twierdząc, że nasi przedstawiciele nie mają prawa dysponować. Chodzi o wszystkie wyrobki o całej postaci, o które trzeba centralnie pobrać, aby wywozić do Torunia, np. w Faktoryfikacji Torunskiej było 1.000.000 tys. sztuk surowców i 2.500.000 tys. faktur i do tej por...

Młyn Rychtera: 3000 t zboża i niewiele mniejsze ilości mąki i kaszy.

Cukrownia Chełmża: 13.700 ton cukru /przy wystawieniu paszportu władze sowieckie twierdziły, że znajdowało się w magazynach 12.000 ton. Na zwróconą uwagę o rozbieżności tłumaczyli rozgrabieniem 17.000 worków cukru przez ludność cywilną i wojsko, chociaż była wystawiona przez cały czas warta cywilna. Większość cukru została wywieziona samochodami, a ostatnio podłagami, kiedy to ładowano po kilkadziesiąt wagonów dziennie/.

Raportujemy o dużej rozbieżności między stanem faktycznym remanentu przejętego przez władze sowieckie a remanentem przygotowanym przez te władze dla nas np.: w fabryce marmelady i sztucznego miodu Unamel w Unistawiu, remanent rzeczywiście wynosił 700 ton, w paszporcie władz sowieckich dla nas - zaledwie 100 ton miodu.

"Union" Fabryka metalowa w Toruniu była projektowana przez nas na wytwórnię części samochodowych /200 obrabiarek/. Do 24 lutego wstęp do fabryki wskutek pozornego zamknięcia był wzbroniony, a następnie zakazany tłumaczeniem braku rozkazu Dowództwa Frontu. 4 marca major Zieliński, zastępca komendanta wojennego dla spraw gospodarczych w Toruniu oświadczył, że fabryka Union zostaje przekazana sowieckim oddziałom wojskowym. Wskutek tego istnieje prawdopodobieństwo wywiezienia obrabiarek. Prosimy o interwencję odnośnie wykorzystania przez naszych specjalistów zakładu dla produkcji części samochodowych, z których mogłaby również korzystać armia sowiecka. Fabryka Born i Schütze odpowiednia do reperacji i produkcji traktorów rolniczych - władze Armii Czerwonej zatrzymały kierownictwo fabryki we własnych rękach, chcąc urządzić warsztat reperacyjny dla samochodów, mimo że na terenie Torunia pełnomocnik przeznaczył i uruchomił inne zakłady na te cele. Z uwagi na doniosłość produkcji i reperacji traktorów dla celów rolniczych wobec zarekwirowania całego prawie pogotwia końskiego, prosimy o interwencję.

Władze sowieckie wywają masowo nawet meble, pianina, maszyny do pisania, itd.



Niezależnie od działalności pełnomocników dla spraw gospodarki działających w terenie i niezależnie od postępowania władz sowieckich, występuje na terenie miasta i powiatu Toruń ptk. Felistak posługujący się stemplem Szefa Sztabu Zapobiegania Armii Polskiej, obecnie stacjonowany w Koronowie, a dłuższy czas stacjonowany w Toruniu, który zabezpiecza objekty przemysłowe, handlowe, magazyny, nawet uprzednio przez nas zabezpieczone, usuwając wyznaczonych przez nas kierowników i nasze zabezpieczenia, posługuje się przy tym cywilnym obywatelom Skibickim. Miało to miejsce:

Firma Treuss, Fabryka Torebek i Drukarnia - naszego kierownika per zapolczaka usunął chcąc go aresztować i zdegradować rządy ponownie pokazania się na terenie fabryki.  
 Fabryka Mebli Tews - naznaczonego przez nas kierownika magazyn Odzieży Robotniczej - przejęto powyższy magazyn i k...  
 sięgę kompletów robotniczych oddano obywatelowi Orchołskiemu, które przez noc zostały rozgrabione.  
 Firma Dietrich - do kierowniczczi naszej zgłosił się ob. Skibicki

z ramienia płk. Felistaka żądając opuszczenia firmy i wydania kluczy. Firma posiada na składzie wanny, lustra, rury wodociągowe, itd.

W majątku "Pigzy" pow. Toruń na zarządzenie płk. Felistaka zostało zabranych 400 zarodowych macior /owiec/ od jagniąt w większości zmarowanych. Prosimy o interwencje w Sztabie Głównym Armii Polskiej odnośnie nie honorowania przez płk. Felistaka funkcji zabezpieczających naszych pełnomocników, posługiwania się przy tym podejrzanym elementem i rabunkowego eksploatowania gospodarki.



Odnośnie aprowizacji władze sowieckie zajęły wszystkie magazyny surowców i produktów spożywczych i mimo wielokrotnych interwencji w dowództwie 2-go Białoruskiego Frontu u gen. majora Noskova wydały w ciągu miesiąca do 4 marca znikome ilości surowców żywnościowych z tychże zapasów.

Łudność w Toruniu w ciągu miesiąca otrzymała znikomy przydział. Prosimy o interwencje odnośnie honorowania postanowienia Państwowego Komitetu Obrony z 20 lutego 1945 roku.

### **Sprawy "eingedeutschów"**

#### **w Chełmży i Toruniu mieście i powiecie**

Komendant wojenny miasta Chełmży wydał rozkaz milicji aresztowania wszystkich volks- i eingedeutschów /III grupa, zielony wykaz/. Partia aresztowana 1-4 lutego obejmuje fachowców przemysłowych między innymi Cukrowni w Chełmży. Aresztowanym, tutejsi przymusowi Polacy z milicji /o przeszłości kryminalnej/ odebrali dowody osobiste. Wszyscy aresztowani zostali wywiezieni do obozu koncentracyjnego między Przasnyszem a Ciechanowem. Ten wartościowy element według relacji jednego ze zbiegów ginie z powodu głodu i chorób. Wszystkie interwencje u komendantów wojennych nie dały rezultatu. Odmówiono przyjęcia list z reklamacjami. Konieczna interwencja natychmiastowa.

### **Trzecia kategoria**

Komendanci wojenni nie chcą odróżnić drugiej grupy od trzeciej, przeprowadzają aresztowania trzeciej kategorii Polaków, którzy pod przymusem zostali "eingedeutschowani". Ma to miejsce w mieście Toruniu, powiecie toruńskim, chełmińskim, świeckim i grudziądzkim.

23 lutego 1945

Pełnomocnik Główny  
dla Spraw Gospodarki na Pomorzu  
Dr D.J. Tilgner

## **RAPORT NR 5 PEŁNOMOCNIKA GŁÓWNEGO dla Spraw Gospodarki na Pomorzu**

Dotyczy: rekwizycji przez wojska sowieckie.

Ze wszystkich stron Pomorza - pol. konicy dla spraw gospodarki meldują mi o rekwizycjach zapasów - fabryk dokonywanych przez wojska radzieckie bez porozumienia z naszymi pełnomocnikami. Meldując o powyższym generalnym postępowaniu wojsk radzieckich na Pomorzu przytoczam szereg przykładów:

1. Fabryka Papieru i Celulozy Steinhausen i Saenger we Włocławku. Cały zapas papieru w ilości kilkuset ton jest zajęty przez wojsko radzieckie, tak że nie można przystąpić do przydzielania papieru dla celów propagandowych i druku elementarzy dla dzieci szkolnych.
2. Włocławski Młyn Elektryczny J. Im. Głowinsey - Włocławek, Kuławska 14. Młyn mimo uruchomienia wraz z zapasem 30 t. żyta i 55 t. pszenicy zostaje zajęty przez wojska radzieckie.
3. Włocławska Olejarnia Otto Planz. - Żaloga wojsk radzieckich nie udostępniła korzystania z fabryki.
4. Kleczarnia Świądzielca "Witamina" Włocławek, Starodebska 36 Masło i smalec w ilości ok. 6 ton i ok. 1,5 tony sera zarekwirowała armia radziecka.
5. Państwowe Zakłady Zbożowe we Włocławku, ul. Karnkowskiego 30/32 Poczegony zajęło wojsko radzieckie i mimo kilkukrotnych interwencji u komendanta wojennego nie chcą opuścić zakładu.
6. Instytut Sprzedaży Towarów i Wypoków we Włocławku, Czarna 19. Całość zapasów za wyjątkiem proszku do prania wywozi wojsko radzieckie mimo interwencji u komendanta wojennego i kpt. oddziału kierującego wywozkiem.
7. Ziemiańska Fabryka Cukroli "F. Boha i Głeba" we Włocławku Zapasy surowca na mączkęi kawy przy 10 tonach dziennie wypracują na 5 miesięcy. Zapasy mączki kawy w workach na ok. 180 ton. Postępowania wojska radzieckiego zablokowały fabrykę.

W następujących przedsiębiorstwach znajdujących się pod zarządem państwowym lub. uje wojsko radzieckie, zarekwirowały surowce i fabrykaty, co pozwala nam na zarządzanie nimi, pomimo kilkukrotnej interwencji u komendanta wojennego:

- Włocławski Młyn Elektryczny - Włocławek, Kaliska 74;
- Państwowa Włocławska Olejarnia - Włocławek, Kuławska 12;
- Instytut Młyn Robotowy - w Mieszkostynie, gm. Brześć Kujawski;
- Państwowe Zakłady Przemysłowe - Włocławek, Kaliska 46;
- Państwowa Szkoła Okiemnego, itd. - Włocławek 3-go Maja 27/29, Piekarska 16 i Józefów, gm. Pikułkowo.

Zakłady powiatu Inowrocław zarekwirowane i zablokowane przez wojska radzieckie mimo wielokrotnych interwencji u ppik. Pałczana:

8. Cukrownia S.M. Kruszewicz - /Zapas cukru 12.000 ton/
9. Cukrownia M. Janikowicz - /Zapas cukru 7.000 ton/
10. Cukrownia w Katwach - /Zapas cukru 7.800 ton/
11. Solvay - /ok. 2.000 ton sody kryst. i amoniaku, 120 t. sialidia itp./
12. Solna Sólina - Inowrocław - /900 ton soli/
13. Młynów 19 w okręgu Inowrocław.
14. Wielki powiatów toruńskiego i bydgoskiego zablokowane przez wojska radzieckie:
14. Przeźnia w Toruniu - /Zarekwirowana/
15. Młyn "Pichtera" w Toruniu - /Zapas kilka tysięcy ton zboża i maki/
16. Rektyfikacja Monopolu Państwowego w Toruniu - /Zapas 4.000.000 l. alkoholu/



17. Fabryka Maszyn "Bora i Schütze" - maszyny rolnicze
18. Fabryka "Krauze" Toruń - /maszyny rolnicze/
19. Cukrownia "Chełmża" - powiat Toruń. Największa w Europie - zapas cukru 21.000 ton. Wojska radzieckie nie wpuszczają nawet do samej fabryki, wskutek czego rury pękają od mrozu a maszyny i aparaty niszczeją. Wywożą masowo nie tylko cukier, ale również tkaniny filtracyjne, narzędzia i surowce, urządzenia laboratoryjne i biurowe ulegają dewastacji. Pomimo naszej interwencji pik Mikołajew odmówił całkowicie pozwolenia na wchodzenie na teren i zabezpieczenia urządzeń cukrowni, podobnie jak w innych wypadkach.
20. Fabryka Wyrobów Miesnych "Newag" w Bydgoszczy. Kilkadziesiąt ton gotowych wyrobów zarekwirowanych przez wojsko sowieckie.
21. Pomorska Fabryka Tłenu - 200 butli zarekwirowanych przez wojska sowieckie.
22. Fabryka Skóry "Bucholz" - Bydgoszcz - Całe zapasy kilkuset ton skóry wywiezione przez wojska sowieckie.
23. Fabryka Traków i Maszyn "Blumwe"
24. Fabryka Tektury i Papieru w Fordoniu.
25. Cukrownia "Dobre" Aleksandrów Kujawski - 7.000 ton cukru zarekwirowane przez wojska sowieckie.
26. Rzeźnia Miejska w "Nakle" - 70 ton mięsa solonego ulega zepsuciu wskutek oporu komendanta rosyjskiego zwolnienia zapasów.
27. 30 Berek /berlinek/ na Noteci - zawierających 3.900 ton żelaza i kafi, 140 ton sody, 4.400 ton cukru, 36 ton konopii itd. - zabezpieczonych przez nas lecz niedostępnych z powodu postawienia sowieckich posterunków wojskowych.

Powyższe przedsiębiorstwa oraz 30 dalszych powiatu Bydgoszcz są zarekwirowane mimo naszej interwencji przez wojska rosyjskie.

Zaznaczam, że wszędzie stosunki nasze z władzami sowieckimi są pełne kurtuazji i bez zadrażnień, a różnica wynika z różnego komentowania zasadniczych rozkazów odnośnie własności polskich.

24 lutego 1945

Pełnomocnik Główny  
dla spraw Gospodarki na  
Pomorzu  
Dr D.J. Tilgner

## RAPORT

z odbytej podróży służbowej dnia 9-12 marca 1945 do Tucholi, Chojnic, Starogardu celem zapoznania się z warunkami panującymi w terenie oraz wprowadzeniem pełnomocników rządu na wspomniane placówki.

Tuchola:

Funkcję pełnomocnika rządu w Tucholi objął ob. Zawadzki Stefan. Przewidziany na z-cę pełnomocnika ob. Kledzik Zygmunt z powodu choroby pozostaje w Sempolinie, a pozatem nie zdradza chęci objęcia wyznaczonego dlań stanowiska. W obecnej chwili ob. Zawadzki dysponuje dwoma dobranymi przez siebie pracownikami.

Na postawie własnych stwierdzeń: miasto nie doznało szkód na skutek działań wojennych; informacje z powiatu nie potwierdzają na razie większych zniszczeń. Bezpieczeństwo ludności i nieruchomości zapewnia ochrona wojska i zorganizowanej milicji. Miejscowe instytucje jak starostwo i zarząd miejski są w stopniu powstawania przy współdziałaniu pełnomocników. Przybył do miasta delegat szkolnictwa. Komendant miasta wykazuje maksimum dobrej woli przy współpracy nad odbudową życia gospodarczego w mieście i powiecie. Przekazywanie zakładów przemysłowych przez władze wojskowe na razie nie napotyka na trudności. Szereg zakładów, jak tartaki, młyny i młeczarnie mogą być uruchomione w krótkim czasie. Elektrownia, gazownia i wodociągi są nie uszkodzone i po usunięciu drobnych przeszkód jak np. brak pasów, wznowią pracę. Apropozycja ludności zapewniona. Komendant miasta domaga się przyspieszenia sprawy wymiany pieniędzy oraz zorganizowania akcji siewnej, obiecując daleko idące poparcie tej działalności. W mieście odczuwa się brak drukarni. Można by było kompletne urządzenie drukarni przenieść np. z Chojnic do Tucholi, tym bardziej, że władze wojskowe w Chojnicach demontują maszyny drukarskie z zamiarem wywiezienia. Komendant miasta Tucholi obiecuje pomoc w tym kierunku przez wystawienie odpowiedniego pisma i postawienie do dyspozycji środków transportowych. Na terenie miasta i w okolicach napotyka się wielkie ilości pozostawionych skór surowych z uboju bydła przez wojsko. Należy podjąć akcję zabezpieczenia tych skór przez umieszczenie w przeznaczonych miejscach i zakonserwowanie.

#### Chojnice:

Pełnomocnikiem rządu na miasto Chojnice i powiat wyznaczono ob. Naglera Walerego, zastępcą ob. Kaweckiego Jana. Do pomocy jako pracowników dowieziono z Bydgoszczy ob. ob. Szulewskiego Mariana, Napierałę Edmunda, Ratajczaka Szymona. Miasto Chojnice doznało znacznych uszkodzeń od pożarów i obstrzałów. Zniszczeniu uległo około 30% zabudowania. Miasto Chojnice przewidziano jako ośrodek szpitalny dla Armii Czerwonej. Ponieważ wszystkie ocalałe budynki są zajmowane na szpitale, ludność cywilna jest z nich wysiedlana. Zorganizowane władze miejscowe, jak starostwo i zarząd miejski nie mogą podjąć normalnej działalności, gdyż nie mają gdzie ulokować swoich biur. Tych samych trudności doznaje pełnomocnik rządu. Akcja pełnomocnika rządu nie napotyka na skuteczną pomoc ze strony komendy miasta. W sprawie przekazania zakładów przemysłowych zajętych obecnie przez wojska komendant oświadczył, że zwolnione od rekwizycji będą tylko te urządzenia, które są pochodzenia polskiego, natomiast własność niemiecka i ewakuowana z ZSER będzie traktowana jako zdobycz wojenna. Postępowanie władz wojskowych potwierdza powyższe stanowisko komendanta, gdyż obecnie demontuje się niektóre urządzenia jak drukarnie, fabrykę drutu i kamieni szlifierskich itp. W dniu mojego pobytu w Chojnicach zorganizowano akcję rekwizycyjną fortepianów i pianin w całym mieście. Chciałem osobiście interweniować u mającego przybyć do Chojnic zastępcy głównego intendenta armii, lecz nie mogłem doczekać się jego przyjazdu. Sprawa ta jest nagląca także ze względu na zabezpieczenie istniejących w zakładach fabrycznych zasobów materiałów jak nr. około 1.000 sztuk silników elektrycznych, około 1.500 szt. skór półwyprawnych, duże ilości materiału szlifierskiego, przetartego drzewa itp. Wyznaczony pełnomocnik rządu z zastępcami nie zdradzają żadnych chęci do pracy na tym

terenie, co obok istniejących, wyżej opisanych trudności, ręce sprawię ogólne zaniechanie spraw i nieosiągnięcie wyznaczonych zamierzeń. W związku z tym należy w krótkim odstępie czasu przeprowadzić kontrolę działalności pełnomocnika i jego zastępcy i w wypadku stwierdzenia braku pozytywnych skutków kroki w kierunku osiągnięcia zmiany nastawienia władz wojskowych Armii Czerwonej do uprawnień władz polskich.

#### Starogard:

Miasto i okolice doznają w największym stopniu skutków bliskości frontu. Bezpieczeństwo osobiste ludności polskiej wysuwa się na czoło zagadnień. Niezliczone wypadki popełnianych gwałtów na kobietach, grabież mienia i wybuchające co pewien czas, w piątym dniu zajęcia miasta, pożary, sprawiają, że ludność kryje się w piwnicach i z trudem daje się pociągnąć do zadań normalnego życia. Dobre chęci komendanta miasta nie pokrywają się z jego możliwościami do opanowania sytuacji. Na usilną moją prośbę o przydział broni dla organizowanej milicji oraz wyznaczenie oddziału żołnierzy dla zapewnienia bezpieczeństwa ludności, wyznaczył komendant tylko pięciu czerwonocermistów, tłumacząc się, że nie dysponuje większą ilością ludzi; co do broni, to jej nie posiada wcale. Wszystkie ocalałe zakłady przemysłowe są na ogół obsadzone przez wojsko i o ich zwolnieniu nie decyduje komendant miasta lecz poszczególni dowódcy oddziałów zainteresowanych. Pomoc komendanta ogranicza się w tym wypadku tylko do pośrednictwa. W związku z tym przewiduję duże trudności z przekazaniem zakładów przemysłowych władzom polskim. Interwencja u władz wyższych jest konieczna, gdyż wywóz mienia polskiego na już miejsce.

inż. Rusiecki Stanisław  
Sztab Grupy Operacyjnej  
"Pomorze"

Wyzwoliciele... ☞





# "PRZEKAZ"

to pismo dla dociekliwych;  
Zamieszcza rejonistażę, wywiady, publicystykę,  
recenzje i felietony.  
Cieca rozszerzyć listę poruszanych tematów.  
o zjawiska, które oficjalna prasa wypacza,  
a niezależna pomija.

Pismo nie jest związane z żadnym  
konkretnym kierunkiem  
politycznym,  
nawigując zaś do ideałów  
SIERPNIĄ '80.

WYDAWNICTWO GDAŃSKIE

Cena 300.